



PLAKAT 4 CZERWCA 1989-2023 W SAMO POŁUDNIE

Weź na marsz, powieś w oknie, pokaż solidarność



**DONALD
TUSK**
Czas
powiedzieć:
NIE!

FOT. MATEUSZ SKWARCZEK / AGENCJA WYBORCZA.PL



GAZETA

wyborcza

wyborcza.pl

NIE MA WOLNOŚCI BEZ SOLIDARNOŚCI

Człowiek
Roku
„Gazety
Wyborczej”

Hanna Machińska

FOT. DAWID ZUCHOWICZ / AGENCJA WYBORCZA.PL

WOLNA SOBOTA

PiS zżera naszą duszę • Kości na polskiej granicy
• Gdy wysiądą elektrownie • Hollywood zarabia na poprawności • Mateuszek i Zbyszek, czyli wojna chłopców



WYSOKIE OBCASY

Dowbor:
Starsza pani
potrafi

ALE HISTORIA

**Polski
Ludowej**
nie da się obronić

wydaje Agora SA
nr indeksu 348198



4 CZERWCA W SAMO POŁUDNIE

Istotą tego marszu jest sama demokracja

Osiem lat powinno było wystarczyć, żeby pozbyć się złudzeń.

Ale nadal niektórzy tonują zagrożenie ze strony mafijnej władzy. Jakbyśmy byli w Szwajcarii, Niemczech czy Szwecji. Tymczasem gnamy autostradą na Węgry, do Turcji i Rosji!

JAROSŁAW KURSKI

W

W październiku 2015 roku, niemal osiem lat temu, opublikowaliśmy w „Wyborczej” stanowisko redakcji przed nadchodzącymi wyborami parlamentarnymi. Tytuł odzwierciedlał istotę tekstu: „**Stawką tych wyborów jest sama demokracja**”. Wzywaliśmy do głosowania jedynie na partie demokratyczne, nie zaliczając do nich – co oczywiste – Prawa i Sprawiedliwości i skrajnej, nacjonalistycznej prawicy. Nasz komentarz zapowiadał wszystko to, co po zwycięstwie PiS-u się wydarzyło: upartyjnienie mediów publicznych i sądów, zawłaszczenie instytucji demokratycznych, gwałty na konstytucji, podeptanie parlamentaryzmu, zniszczenie trójpodziału władzy, łamanie praw obywatelskich, praw kobiet i praw mniejszości, nachalną politykę historyczną, klerykalizację państwa, wyprowadzanie Polski z Unii Europejskiej itd., itp.

Dziś to dla wszystkich oczywistość, choć wówczas publikacja wywołała szyderstwa i śmiech. Lejtmotywem było zdanie „Nie straszcie PiS-em”. **Sprzysjała temu panująca od miesięcy atmosfera beztrojski i irracjonalnej antyliberalnej przekory**. Na przykład znany i lubiany działacz LGBT+, człowiek jak mało kto uosabiający szykanowaną mniejszość, agitował do głosowania w wyborach prezydenckich na Andrzeja Dudę i sam oddał na niego głos. Już niebawem Duda podpisał drakońskie prawo antyaborcyjne, a ów działacz dowiedział się od swego prezydenta, że „nie jest człowiekiem, tylko ideologią”.

Każdy może się pomylić, ale dziś wiemy już zdecydowanie więcej. Teraz nie będzie to wybór między Dudą a Komorowskim. Teraz to będzie wybór między zamordyzmem a tolerancją, dyktaturą a demokracją, między Wschodem a Zachodem. Wybór jak w roku 1989.

Wydawałoby się, że osiem lat powinno wystarczyć, by pozbyć się złudzeń. Nadal jednak niektórzy zagrożenie ze strony mafijnej władzy tonują i relatywizują. **Jakbyśmy byli w Szwajcarii, Niemczech czy Szwecji. Tymczasem idziemy ścieżką, a raczej gnamy autostradą na Węgry, do Turcji i Rosji! Gdy to piszę, prezydent Duda podpisał haniebną antykonstytucyjną usta-**

wę, która ma wykluczyć z życia publicznego lidera opozycji i wręcz każdego, kto władzy PiS-u się sprzeciwi.

Co w tej sytuacji myśleć o politykach, którzy nie są w stanie się spotkać ramię w ramię w jednym miejscu o jednej godzinie 4 czerwca w Warszawie? Ufam, że teraz zdołają się przemóc. Ufam, że będą tworzyć wspólny rząd i razem czyścić tę stajnię Augiasza, w jaką PiS zamienił nasz kraj. Ufam, że pokażą sprawczość i ocalą demokrację!

Te wybory nie będą już demokratyczne, ale będą ostatnimi wyborami, które dają szansę na zwycięstwo demokratów!

Potem system się domknie. Dojedziemy do Budapesztu, Ankary i Moskwy.

Przemądrzały komentarz, infantylni politycy czy konfesyjni elektorat tzw. prawicy, który nie pojmuje tej elementarnej prawdy – napawają mnie grozą.

Przeraża mnie odporność na fakty. Przeraża niezdołność uczenia się na błędach.

Przeraża stan znieczulenia wobec grozy sytuacji.

Słyszę od dziennikarskiej braci, że „mamy problem” z 4 czerwca, bo „to jest marsz Tuska”, „ impreza Platformy Obywatelskiej”. Popierać więc? Nie popierać? Isć? Nie isć?

I znowu zgroza! I znowu jakby się nie w Polsce nie wydarzyło, jakbyśmy żyli sobie w Szwecji. Znowu cieniowanie i relatywizacja, że za Tuska to czy tamto.

Sam uważam, że jego wybór na przewodniczącego Rady Europejskiej, choć z perspektywy jego osobistej kariery i wizerunku Polski był korzystny, to w planie wewnętrznym był katastrofą. Uruchomił fatalną dynamikę rozpadu formacji pozbawionej lidera. Premierostwo Ewy Kopacz; klęska wyborcza Bronisława Komorowskiego; słaba kampania parlamentarna; drastyczne podziały; krótkowzroczny rygoryzm budżetowy moszczący miejsce dla populistów itd. Ale to się już stało. Teraz to nieważne, co było. Ważne, co będzie!

Ja na marsz 4 czerwca poszedłbym bez Tuska czy z Tuskiem, nawet z samym diabełem, jeśli tylko ta manifestacja ma pomóc uwolnić nasz kraj od piekła, jakie szykuje Kaczyński.

Można mieć różne pretensje do Donalda Tuska, ale nie można nie widzieć, że dziś jest najmocniejszym graczem opozycji. To jego boi się Kaczyński. Dlatego chce go postawić przed sądem kapturowym, zozydźić i znieśla-

wić w „narodowych” mediach. **Zniszczyć Tuska, żeby zisćić się sen Kaczyńskiego, żeby nad Wisłą bezkarnie rządziło i kradło Prawo i Sprawiedliwość – tak jak w Turcji AKP, na Węgrzech Fidesz i Jedna Rosja Putina! Precz z opozycją, zrobimy im proces brzeski i do Berezy...**

Polska brunatnieje. Jak w latach trzydziestych. Państwo pis to endekka ideologia i sanacyjna praktyka polityczna.

...

Jedna lista demokratów ma sens, jeśli nie powstanie za późno. Te wybory to ostatnia chwila. Potem będzie jak w Turcji i na Węgrzech. Tam opozycja się zjednoczyła, ale za późno. Nie mogło być inaczej, skoro, tak jak w Polsce, partia rządząca kontroluje media, uprawia wulgarną propagandę, uchwała prawo wyborcze pod swoich zwolenników, liczy głosy i zatwierdza ważność głosowania. Ma nieograniczone państwowe zasoby na autopromocję, a państwowe koncerny prowadzą kampanię na rzecz partii władzy.

Pokolenie piszącego te słowa pamięta taką rzeczywistość. **Taki był PRL. Żyliśmy w tym błocie, ale się z niego w 1989 roku wydobyliśmy. Teraz też się wydobydziemy!**

Współczesne społeczeństwa rozdarte są na pół między nacjonalistycznym populizmem a demokratycznym liberalizmem. Wystarczy tylko trochę przechylić boisko, by utrwalić system stałego wygrywania wyborów. Dzięki temu Duda wygrał nieuczciwie z Trzaskowskim ostatnie wybory prezydenckie. Tak sama była logika ostatniego zwycięstwa Erdogana nad demokratycznym oponentem – mimo zjednoczenia opozycji tureckiej. Wyborów nie trzeba nawet fałszować. Wystarczy, by państwo i jego media były skrajnie stronnicze, a prawo wyborcze odpowiednio uszyte.

...

Polska scena ma dwa bieguny, a reguła D'Hondta zjawisko to umacnia. Dlatego Kaczyński stworzył jeden brunatno-populistyczny obóz, który nazwał Zjednoczoną Prawicą. I od ośmiu lat wygrywa wybory.

Nie wierzę w Trzecią Droge, ale uznaję, że niektórzy wyborcy w nią wierzą i muszą mieć swoją reprezentację. Trzymam więc kciuki, by partia Szymona Hołowni z PSL-em odniosła sukces. Bo jeśli tej koalicji powinie się noga i wpadnie pod próg, uzyskując dumny wynik 7,99 proc., to nie tylko sami utoną, ale też utopią wszystkich demokratów, utopią przyszłość

naszych dzieci, utopią Polskę na długie lata. A wybory wygra PiS.

Boję się, bo to jest podobna droga, którą kroczyła pewna siebie Zjednoczona Lewica w 2015 r. W sondażach mieli po 12-14 proc., ale skończyli pod progiem, na poziomie 7,55 proc. Kaczyński dostał pełnię władzy.

To przygnębiające, że w obliczu tak wysokiej stawki, właściwie najwyższej, nie można się dogadać co do spraw elementarnych: nie atakujemy się; współpracujemy, uzgadniamy, nie zaskakujemy się; na marszach idziemy ramię w ramię; umawiamy się na Polskę po wyborach itd.

Może teraz, po tak ordynarnej próbie wyeliminowania opozycji, to się uda. Na wspólną listę demokratów też nie jest jeszcze za późno. Chodzi o to, by później niczego nie żałować.

Niech powróci dawna obywatelska solidarność.

...

Ten tekst pełen jest troski i racjonalnych ostrzeżeń. Ale na koniec powiem:

Wierzę w zwycięstwo demokratów! Wierzę w zdrowy rozsądek społeczeństwa. Wierzę w jego mobilizację. Wierzę w wygraną, bo nie stać mnie na luksus pesymizmu. Zwycięstwo bierze początek w naszych głowach i sercach.

Ten marsz będzie wielkim sukcesem Polski demokratycznej.

Będzie początkiem długiego powrotnego marszu do Europy, do tradycji i wartości 4 czerwca 1989 roku! ●



FOT. MARTYNA NIECKO / AGENCJA WYBORCZA.PL



CZEKA NAS BITWA O WSZYSTKO

Nie myślę o tej rozgrywce, która nas czeka, w kategoriach odwetu. Dla mnie słowo „polityka” staje się synonimem słowa „troska”

Z DONALDEM TUSKIEM*
ROZMAWIA BARTOSZ T. WIELIŃSKI

PiS przeforsował powołanie tzw. komisji ds. zbadania rosyjskich wpływów. Będzie pan jej pierwszym celem. Przez osiem lat rządzący zbierali na pana haki, upolitycznione służby podsłuchiwały pana współpracowników Pegasusem. Kilka tygodni przed wyborami komisja zakończy pracę, a TVP jej raport rozdmucha, co ma być pana politycznym końcem. Jak zamierza się pan bronić?

– Decyzja o powołaniu tej komisji i podpis prezydenta Andrzeja Dudy pod ustawą, która łamie konstytucję, zakończy raczej kariery polityczne jej autorów. Dawno już nie miałem poczucia takiej determinacji, a polska polityka w ostatnich latach rzadko budziła w ludziach aż tak autentyczne emocje. PiS i Dudzie udało się je wywołać wła-

śnie poprzez powołanie tej komisji. Te emocje mają ogromne znaczenie, bo przekroczone została pewna granica. Nie pierwszy raz w polskiej historii ludzie żywiołowo reagują na ewidentne łajdactwo polityczne, a powodują nimi kwestie bardziej istotne niż ich poglądy polityczne czy programy partii, które popierają.

To, co zrobił PiS, uderzyło w poczucie godności Polaków i upokorzyło ich.

Mimo zaangażowania Kaczyńskiego, Dudy i wszystkich piśowskich liderów opinia publiczna – jak rzadko – jednoznacznie potępiła tę inicjatywę. Uważam, że PiS ewidentnie strzelił sobie w stopę i że Kaczyński bez wątpienia zapłaci za to polityczną cenę.

Będą używać różnych metod, by dyskredytować swoich głównych oponentów. I nie potrzebują do tego komisji, bo przecież robią to i tak cały czas. Trudno mi sobie wyobrazić, co jeszcze w TVP Info można powiedzieć na mój temat, oprócz tego ciągłego potoku pomysł, który na mnie wylewają, codziennie nazywają mnie tam w ten czy inny obelżywy sposób.

Mówią, że jest pan zdrajcą, rosyjskim agentem i Niemcem...

– W jakimś sensie PiS na tę nachalną propagandę znieczulił lub uodpornił istotną część polskiej opinii publicznej. Ale część zabetonował i to na pewno na jakiś czas są ich wy-

borcy. Natomiast z całą pewnością to polowanie na czarownice, ta nagonka czy próba usunięcia mnie ze sceny politycznej metodami prawno-administracyjnymi raczej zawęży, niż poszerza elektorat piśowski.

Dostaję mnóstwo zapewnień o wsparciu, czy jest to rząd amerykański, który wydał bardzo jednoznacznie krytyczne oświadczenie, czy Timothy Snyder, czy zwykli ludzie, których spotykam. Ostatnio, gdy byłem z wnukami w zoo w Oliwie, podszedł do mnie taki potężny mężczyzna, który wyglądał na zawodnika MMA, i przekazał mi krótki komunikat, który znaczeniem nie odbiegał od tego, co przekazał rząd USA. Powiedział mi: „Nie daj się pan tym skur...”

Aż tak mocno się wyraził?

– Słowo w słowo. Stworzenie przez PiS tej komisji zakrzywia dotychczasowe osie polityczne. Spotykam dzisiaj na swojej drodze ludzi, którzy jeszcze wczoraj zamierzali w ogóle nie głosować, którzy nie popierali Platformy, dzisiaj są wściekli i czują się ugodzeni tak, jakby ta komisja dotyczyła ich, a nie mnie.

Po co Kaczyński się na to zdecydował?

– Znając go, widzę w tym typową dla niego zapiekłość. Jest tym typem skorpionia, który w szale czasami potrafi ukąsić samego siebie.

Przyznam, że naiwnie liczyłem, że prezydent zawetuje ustawę o komisji albo w prewencyjnym trybie odeśle ją do Trybunału Konstytucyjnego...

– Pan nie mówi tego poważnie...

Wydawało mi się, że skoro planuje międzynarodową karierę dyplomatyczną i presję na niego wywierały Stany Zjednoczone, a w Ukrainie trwa wojna...

– Ja nie mam żadnych iluzji. Słyszeliśmy wielokrotnie pogłoski, że Duda jest gotów wykonywać różne sugestie czy polecenia naszych zachodnich sojuszników w nadziei, że po ukończeniu kadencji zapewni mu to perspektywę dalszej kariery politycznej czy finansowej. Już sam fakt, że przez ostatnie miesiące tak często czytaliśmy komentarze na ten temat, jest upokarzający. Jesteśmy wielkim narodem i dużym krajem położonym w szczególnie istotnym dla świata miejscu. Mamy tyle powodów do narodowej dumy, a jednocześnie tak wielu w Polsce analizuje, czy pan prezydent Duda podejmuje decyzje z nadzieją na nagrodę, na wypłatę.

Wydaje mi się, że w jego przypadku strach przed Kaczyńskim jest równie silny. Nie chcę wnikać ani spekulować, jakie są powody tak patologicznej zależności od Kaczyńskiego, ale ona jest oczywista. W tym przypadku strach przed prezesem okazał się większą motywacją niż nadzieja na bezpie-

czeństwo materialne, które mogliby mu zapewnić jacyś ludzie na Zachodzie.

Duda mówi, że opinia publiczna ma wyrobić sobie opinię o mechanizmach sprawowania władzy. Zabrzmiało, jakby Kaczyński mu pokazał jakieś kwity. Zastanawiam się, co PiS może na pana mieć.

– Przecież to nie ma znaczenia. Pamiętam sprawę senatora Krzysztofa Brejzy inwigilowanego Pegasusem i gotowość do manipulowania informacją [TVP pokazała sfalszowane SMS-y rzekomo ściągnięte z komórki Brejzy przez CBA za pomocą Pegasusa]. Widzieliśmy, jak wycinają fragmenty moich wystąpień i pokazują je zestawione ze słynnym „für Deutschland”. Skoro są ludzie, którzy publikują nieustannie moje zdjęcie na tle Buczy z sugestią, że to ja odpowiadam za zbrodnie rosyjskie w Ukrainie, to nie mam ochoty jakoś wnikliwie zastanawiać się, co oni jeszcze mogą zmontować.

Działacze PiS powtarzają, że „uczciwi nie mają się czego bać”. A dla mnie jest to zapowiedź, że są oni gotowi do każdego świństwa, każdego kłamstwa, każdej manipulacji, do podsłuchiwania, nagrywania, a także do robienia deep fake’ów przy użyciu sztucznej inteligencji. Wytrzymam te ciosy, nic na tym nie zyskają.

Przed komisją będą mogli przeczłgać każdego: polityka, naukowiec, artystę czy eksperta. Wiceszef MON Wojciech Skurkiewicz zapowiedział, że dziennikarze też będą wzywani.

– Komisja to narzędzie, które zostało skonstruowane dla tchórzów, którzy w sposób tchórzliwy chcą zapaskudzić życie publiczne nie tylko kłamstwem, ale też materiałami z podsłuchów i podglądów. Tak, by w sposób bezprawny, niezgodny z konstytucją eliminować ludzi z życia publicznego. A jednocześnie zagwarantuje bezkarność tym, którzy będą ujawniali podczas jej prac tajne materiały.

W środku Europy stworzono narzędzie, którego niedemokratyczność może zawstydzić Putina. Bo akurat czegoś takiego to nawet Putin nie wykombinował.

Szukam analogii w naszej historii. Na myśl przychodziły wybory brzeskie, proces brzeski, a po nich Bereza Kartuska.

– Nie szukałbym analogii, które mogą sprawić wrażenie przesadnego dramatyzowania. Można przecież znaleźć analogię bliższą losów naszej generacji. Można porównywać rządy PiS do czasów PZPR, do zachowania się komunistów po wprowadzeniu stanu wojennego i u schyłku PRL-u. Paradoks polega na tym, że ci komuniści, którzy mieli prawo obawiać się utraty władzy – były kraje, gdzie połała się krew – zdecydowali się na przykład udostępnić część mediów publicycznych „Solidarności”. A dzisiaj? Nawet nie można sobie wyobrazić, że by TVP Info dało okienko Platformie Obywatelskiej czy Tuszkowi.

Nie szukałbym porównań historycznych, bo one były zawsze złudne. Sytuacja jest bardzo dynamiczna, PiS w łamaniu zasad dopiero się rozpędza. Wydaje mi się, że ważniejsze od patrzenia w przeszłość jest to, by wreszcie ludzie otworzyli szeroko oczy i zobaczyli rzeczy takimi, jakimi są, zaczęli nazywać je po imieniu.

Życie podpowiada różne metody wyparcia tego, co się dzieje. Dotyczy to nie tylko zachowania symetrystów w mediach, to jest zupełnie zrozumiały ludzki odruch. Codziennie widzisz lajdactwa władzy, a skoro niewiele możesz zrobić, więc jakoś się w tym systemie urządzasz. Pisowskiej władzy na tym właśnie najbardziej zależy. Żeby ludzie jakoś się urządzali, nie reagowali. Bo w końcu trudno być każdego dnia, przez całe życie, bojownikiem o wolność i niepodległość.

Uważam, że doszliśmy do momentu, gdy niestety trzeba się wyrwać z tego komfortowego przekonania, że sytuacja w Polsce jest do wytrzymania. Ludzie muszą przez moment odrzucić pozory normalności i bardzo twardo powiedzieć: nie.

Sięgnąłem po analogie historyczne, by porozmawiać o niebezpiecznym procesie. Autorytarna władza się nie zatrzymuje – za jednym świństwem idą następne. W hitlerowskich Niemczech była najpierw ustawa o uzdrowieniu służby cywilnej, a potem ustawy norymberskie.

– Nie jestem współczesną Kasandrą, która wieści, co stanie się strasznie. Mam do wykonania konkretne zadanie. Istotną część Polek i Polaków oczekuje od ludzi takich jak ja nie ponurych analiz i prognoz, ale mocnego, szybkiego działania, żeby ten zły proces zatrzymać.

Oczywiście co do PiS nie mam żadnych wątpliwości. Stopień demoralizacji tej partii oraz środowisk, które się z nią związały, budzi skojarzenia z najgorszymi przykładami z dwudziestowiecznej historii. W PiS pękły wszystkie tamy. To zaskakujące, jak łatwo i szybko zaczęli myśleć o polityce wyłącznie w kategorii cynicznej skuteczności. Wyraża się to w przekonaniu, że mogą zrobić każde lajdactwo i świństwo, bo czują się bezkarni. Kaczyński, Duda i inni stali się niestety wręcz wzorcami tego typu zachowań. Stracili jakąkolwiek busolę etyczną, nie odróżniają dobra od zła, prawdy od kłamstwa, to przestało w ich myśleniu odgrywać jakąkolwiek rolę. Im chodzi jedynie o utrzymanie władzy i własnej bezkarności.

Czy po tym, jak PiS powołał komisję ds. wpływów, marsz 4 czerwca powinien odbywać się pod szyldem jednej partii? Nie powinien być ponadpartyjny?

– Zaprosiłem wszystkich, w tym przywódców opozycji. Zgłasza się wiele osób, orga-

łatwe sprawy. Wezwałem do manifestacji, podjąłem się jej zorganizowania i finansowania. To wielkie przedsięwzięcie i wolałbym, żebyśmy sobie wszyscy w tej sprawie pomagali, a nie marudzili, jakim prawem Tusk coś zrobił. Chcę, żeby 4 czerwca ludzie na ulicy pokazali tej władzy wzniesione pięści – czy to się komuś podoba, czy nie.

Wspólnej listy opozycji i tak chyba już nie będzie...

– Obiecałem sobie, że nie będę się już na ten temat wypowiadał. Im bardziej oczywiste wydawało mi się, że zjednoczenie opozycji zwiększa szanse na wygraną, tym bardziej obrywałem od tych, którzy mają inny pogląd w tej sprawie. Wszystkie argumenty już wybrzmiały. Nie dam się już namówić w tej sprawie na dyskusję.

Przez Polskę przechodziły już bardzo wielkie demonstracje, w obronie niszczonego przez PiS sądownictwa, w obronie praw kobiet. Emocje po jakimś czasie gasną, skąd pewność, że teraz będzie inaczej?

– Nie zgadzam się na lekceważenie wielkiego wysiłku ludzi, którzy wychodzili na ulice, mimo że mieli świadomość, iż w ten sposób nie zmienią w Polsce władzy. Wiemy, co semantycznie niosą w sobie słowa „demonstracja” czy „manifestacja”. Chodzi o to, by pokazać sobie i władzy, ilu nas jest, jakie są nasze poglądy, na co się zgadzamy, a na co nie. To przynosi efekty.

Możemy się spierać, jaki wpływ na losy Polski w ostatnich latach miały te manifestacje i protesty. Ja uważam, że gdyby ich nie

Komisja to narzędzie skonstruowane dla tchórzów.

Wytrzymam te ciosy, nic na tym nie zyskają...

nizacji i środowisk. Od kilkunastu miesięcy staram się mobilizować opinię publiczną oraz partie i polityków do różnych działań. Im więcej nas będzie, im bardziej zjednoczy się opozycja, tym będziemy skuteczniej konkurować z PiS.

Trzeba działać. Przeciwnik jest bardzo zdeterminowany, wyposażony we wszelkie narzędzia i nie waha się przed zadawaniem ciosów poniżej pasa. Więc opozycja musi zachowywać się jak sprawna armia, bo czeka nas naprawdę bitwa o wszystko. I nie przesadam – dla ludzi, którzy serio myślą o takich wartościach jak demokracja, praworządność, przyzwoitość w życiu publicznym, to będzie bitwa o wszystko. Tu nie ma ani miejsca, ani czasu na dzielenie włosa na czworo, na kalkulacje, co się komu bardziej opłaca.

Z innych partii dochodzi oburzenie, że pan się rozpycha łokciami, że chce ich zdominować.

– Tu przecież chodzi o to, żeby na ulice wyszło jak największe ludzi! W październiku 2021 r. poprosiłem Polaków, by zgromadzili się na placu Zamkowym, gdy pojawiło się realne ryzyko polexitu. W ciągu 24 godzin zwołałem manifestację, na którą przyszyły dziesiątki tysięcy ludzi. To miało wielkie znaczenie. Kaczyński, Duda zobaczyli, że błyskawicznie można Polaków zmobilizować i że polexit nie przejdzie. Warto było, choć usłyszałem dziesiątki pretensji, że z nikim tego wieczoru nie konsultowałem. Ale przecież jak zaczęliśmy konsultować tak oczywiste rzeczy jak wyjście na ulice, gdy dzieje się zło, to do ustaleń dojdziemy jakieś dwa miesiące po wyborach.

My musimy tę bitwę wygrać, a nie zastanawiać się, czy ten czy inny lider jest mniej lub bardziej ważny. Wziąłem na siebie nie-

było, bylibyśmy dziś w dużo gorszym miejscu. Z mojego doświadczenia wynika, że nie ma czegoś takiego jak jałowa, niepotrzebna manifestacja. To, że ludzie widzą siebie nawzajem, stoją ramię w ramię, wymieniają się poglądami, to czasami jedyny sposób budowania kapitału zaufania między nimi. Jeśli tysiące ludzi jest gotowych wyjść na ulice, chwycić się za ręce, to jest to wielka lekcja bezinteresowności. Nie ma nic bardziej motywującego w polityce niż widok drugiego człowieka, który jest w stanie bezinteresownie, a nawet coś ryzykując, walczyć o sprawę, która jest wspólna.

Ale Polska pod rządami PiS i tak stawała się autorytarna.

– Jesteśmy gdzieś w połowie drogi do pełnego autorytaryzmu. To, że pisowski system przybiera ciągle bardzo pokraczną i niepełną formę, wynika właśnie ze skali społecznego oporu. Oczywiście można narzekać, że demonstrowano zbyt rzadko, że można było z większą siłą. Ale pomyślmy, ile rzeczy udało się zatrzymać.

Wróćmy na chwilę do czasów, gdy demonstrowanie i konfrontacja z władzą były moją codziennością. Tak się złożyło, że od początku stanu wojennego w 1981 r. do wolnych wyborów w roku 1989 minęło osiem lat. I osiem lat trwają rządy PiS. Z nastrojem różnie wtedy bywało, ale nigdy do głowy by mi nie przyszło, żeby powiedzieć, że manifestacje nie mają sensu.

Pamiętam te czasy dokładnie, bo to był mój debiut w polityce, pamiętam nielegalne demonstracje, które gromadziły garstkę ludzi pod koniec lat 70. I dokładnie wiem, że nie byłoby Sierpnia 1980 r., a w konsekwencji niepodległej i demokratycznej Polski, gdyby nie to, że przez jakiś czas 300, 500, 1000 osób odważało się wyjść na ulicę. By-

wało też, że garstka szaleńców, która decydowała się na – wydawałoby się – stracenią, jałową, bezsensowną walkę, rok później występowała w roli przywódców wielomilionowych ruchów.

Dlatego jeśli w niedzielę 4 czerwca na ulicach Warszawy pojawiają się wielkie tłumy ludzi, to będzie zwycięstwo samo w sobie, które będzie poważnym ostrzeżeniem dla władzy. Wiem, że postacie o deficycie odwagi osobistej i publicznej, takie jak prezydent czy prezes PiS, panicznie boją się dużych liczb. Nie ma polityków, nawet jeśli to są bardzo zli ludzie, odpornych na tłum, na widok tysięcy ludzi, którzy wyszli na ulicę z tą samą myślą – żeby odsunąć ich od władzy i pociągnąć do odpowiedzialności.

Demonstrowanie ma też praktyczne znaczenie przed wyborami, bo ludzie zobaczą, jak wielka jest ich moc. Bardzo wielu w polityce szuka wektora siły, wektora mobilizacji. Jeśli więc zobaczą tłumy, które wyszły na ulice, bo się z czymś nie zgadzają, to uznają, że coś w tym jest i że warto być w tej sprawie razem. A przecież po stronie ludzi, którzy wyjdą 4 czerwca na ulice w Warszawie, będzie podstawowa racja etyczna. Będą też mieli wspólny, poważny cel – zmienić złą władzę.

Hannah Arendt pisała o szczęściu publicznym. Pamiętam chwilę, gdy je odczuwałem, momenty euforii, gdy byłem wśród tysięcy ludzi myślących tak samo, którzy w dobrej sprawie wyszli na ulice. To były pierwsze pielgrzymki papieskie, to był strajk w stoczni w Gdańsku w sierpniu 1980. Takie momenty mobilizują ludzi, którzy przecież na co dzień mają troski i poważne zajęcia, nie chcą – i mają prawo nie chcieć – myśleć o polityce każdego dnia.

Zdaje pan sobie sprawę z tego, że nadchodzą wybory i tak będą nieuczciwe. Nie będzie równego dostępu mediów, PiS do kampanii zaprzęgnie każdą instytucję państwa.

– Moją rolą jest to, by ludzie nie popadli w polityczny fatalizm, a u niektórych widzę taką podświadomą akcję demobilizacyjną. Wybory nie będą uczciwe, tak jak poprzednie wybory parlamentarne i prezydenckie nie były uczciwe, bo cała polityka PiS jest nieuczciwa. Te nieuczciwe wybory odbywają się w Polsce właściwie każdego dnia, bo nieustannie trwa kampania nienawści i pogardy w mediach publicznych wymierzona m.in. we mnie. Wielokrotnie pogwałcono demokratyczne reguły. Wiemy o tym od dawna. Na każdym spotkaniu słyszę obawy, że wybory będą nierówne, bo PiS ma pieniądze, telewizję, obrzydza opozycję, czym się da. I że na końcu i tak je sfalszują.

Ale to nie jest powód, żeby mówić, że nic się nie da zrobić. Obawy są uzasadnione, ale to nie powinno nas demobilizować, tylko mobilizować. Musimy wygrać te wybory

A pan zakłada, że PiS rzeczywiście sfalszuje wyborcze wyniki?

– Wydaje mi się to mało prawdopodobne. Będziemy jednak mieli tyle demokracji, tyle wolności, tyle prawdy w życiu publicznym, ile sobie wywalczymy. Jeśli karty wyborcze nie wystarczą, ponieważ oni będą chcieli zrobić jakieś świństwo, to trzeba będzie temu adekwatnie przeciwdziałać. Ludzie będą musieli stawić temu czoła. Trzeba walczyć i nie poddawać się, nawet jeśli okoliczności są złe.

Nieustannie demaskujemy afery władzy – MON przez pół roku nie potrafi znaleźć rosyjskiej rakiety w lesie – albo ujawniamy kolejne szwindle, takie jak dojenie NCBR. Ale w sondażach PiS ciągle jest na pierwszym miejscu.

– Setki tysięcy ludzi w Polsce to bezpośrednie ofiary PiS i kłamliwej propagandy mediów publicznych. Z różnych powodów, m.in. ze względu na trudy życia czy utrudniony dostęp do informacji, albo z powodu tradycji historycznej lub geografii, stają się bezbronni wobec opresji. Bo przecież nieustannie oglądanie kłamstwa i pogardy to też opresja ze strony władzy. Jednak ja wy-

ciagam z tego raczej optymistyczne wnioski. Mimo że nawet w czasach głębokiego PZPR nie było tak wielkiej koncentracji złej woli, mimo że nawet wtedy partia nie miała w ręku tylu narzędzi, to mimo wszystko – mówię o tym z przekonaniem – poparcie dla PiS oscyluje nie wokół aż 35 proc., lecz to jest jedynie 35 proc.

Zdecydowanie więcej niż połowa Polek i Polaków jest odporna na truciznę, na ten narkotyk, jaki ta władza podaje nam od ośmiu lat każdego dnia. I nie chodzi mi o pocieszenie siebie czy innych, tu nie ma alternatywy „szklanka do połowy pusta czy pełna”. Jeśli dzisiaj mamy ok. 20 proc. twardego zwolenników PiS i do tego 10-15 proc. otumanionych propagandą, to oznacza, że mamy powody, by wierzyć w zwycięstwo. Ale by wygrać, trzeba zrozumieć, że działania PiS, Kaczyńskiego i całego obozu władzy mają nas nie demobilizować, tylko mobilizować.

Zalóżmy, że wygrywacie wybory, a pan zostaje premierem. Prezydentem pozostanie Andrzej Duda, który będzie wetoować ustawy albo odsyłać je do Trybunału Konstytucyjnego, gdzie Julia Przyłębska będzie taśmowo uznawać je za niezgodne z konstytucją.

– Istotną część decyzji dotyczących wymiaru sprawiedliwości w Polsce była podejmowana w sprzeczności z zapisami konstytucji. Znajdziemy nieustawowe sposoby, żeby część tych decyzji unieważnić. Pytanie brzmi, jaka będzie skala wygranej oraz jaka będzie determinacja partnerów. Staram się wytłumaczyć politykom z innych ugrupowań, że warunkiem naszego demokratycznego sukcesu będzie nie tylko wygrana, ale też determinacja, żeby ludzie zobaczyli efekty tego zwycięstwa. Dzień po wyborach trzeba będzie być jeszcze bardziej zdeterminowanym i trzeba będzie mieć odwagę cywilną, żeby naprawdę do zwycięstwa przekuć w natychmiastowe działanie.

Już to mówiłem, że jeśli chodzi o prezydenta Dudę, to odwaga nie jest jego najbardziej narzucającą się cechą. Nie zaryzykuje więc wiele, jeśli założę, że podejmując decyzje, będzie brać pod uwagę to, kto wygrał wybory i kto sprawuje władzę. Nie dlatego, że jest demokratą, ale ze względu na swój charakter.

Błędem jest przypuszczenie, że opozycja po zwycięstwie utknie w proceduralnych sporach. Trzeba będzie działać z zaskoczenia. Mamy do czynienia z przeciwnikiem bezwzględny, niezłe przygotowanym, dysponującym bez porównania większym od naszego. Więc przed wyborami musimy być w stanie go zaskakiwać, musimy być bitni,

musimy potrafić zmienić taktykę z dnia na dzień, jeśli będzie trzeba. A przede wszystkim musimy być ogarnięci pasją wygrywania. I te same cechy będą potrzebne tuż po wyborach. Jeśli pan mnie pyta, co zrobić z tym czy tamtym, jeśli wygramy, to mogę dzisiaj powiedzieć, że na większość tych pytań mam odpowiedź. Ale nie będę jej w tej chwili ujawniał.

Pytam, bo PiS właśnie się przygotowuje na taki scenariusz. Minister Czarnek przecież rozdaje swoim drogim nieruchomości, minister Ziobro zmienił ustawę o prokuraturze, by zachować w niej wpływ. PiS mości sobie przetrwalnik na czas, gdy będzie w opozycji.

– Te bezwstydne działania wyglądają na paniczne. Wcale nie są dobrze przygotowane. To moim zdaniem potwierdzenie tego, o czym przekonuję Polaków: oni już wiedzą, że przegrają wybory. I to, że tak namiętnie dbają o gromadzenie majątku na czas wyborów, moim zdaniem jest o wiele cenniejszą wskazówką i prognozą wyborczą niż sondaże czy komentarze w mediach. Znajdziemy jednak metody – konwencjonalne albo niekonwencjonalne – by odebrać to, co zostało zagarnięte, żeby niektóre instytucje przywrócić demokracji i przyzwoitości.

Będzie zemsta za łamanie demokracji przez PiS?

– W ogóle nie odczuwam potrzeby zemsty. Odwet jest zresztą nudnym zajęciem, to namiętność ludzi słabych i niewierzących we własną sprawczość, że można coś dobrego zrobić. Jestem ostatnią osobą, o której można powiedzieć, że ma obsesję rozliczeń. Wręcz przeciwnie, zarzucono mi, że byłem zbyt łagodny, że za sztywno trzymałem się konstytucji i za bardzo próbowałem szukać porozumienia, gdy po raz pierwszy zostałem premierem. Niezależnie od tego, co mi robią i co mi zrobią, na pewno nie będę nikogo namawiał do odwetu.

Natomiast jest dyskretna, ale jednak bardzo oczywista różnica między odwetem a rozliczeniem, ujawnieniem prawdy i zadośćuczynieniem za krzywdy. A krzywd jest bardzo dużo. Każdego bez wyjątku, kto złamał prawo i naruszył normy etyczne, spotka za to odpowiedzialność karna i polityczna. Od tego będą jednak niezależne sądy i niezależna prokuratura, a nie politycy. Ja nie powołam swojej komisji, gdzie pięciu moich posłów przegłosuje, że Kaczyński jest winny.

Będę też starał się pojednać. Ale nie z Kaczyńskim, tylko z wyborcami PiS. My musimy próbować odtworzyć tę podstawową tkankę społeczną, musimy nauczyć się znowu żyć ze sobą w naszym kraju. Trzeba dać

szansę tym, którzy głosowali na PiS i którzy stali się ofiarami tej manipulacji i opresji propagandowej PiS. Musimy tak budować przestrzeń wspólną, żeby skończyć dziełnie ludzi.

Bezwstyd PiS, to ich poczucie bezkarności przez lata. To spowodowało, że praca nad rozliczeniem ich z korupcji, złodziejstwa, łamania konstytucji i prawa będzie prosta, niewymagająca jakichś szczególnych wysiłków. Oni w świetle jupiterów napisali już swoimi decyzjami akt oskarżenia. Wszystko jest jasne.

W 2014 r. wyjechał pan do Brukseli, został szefem Rady Europejskiej. I wtedy zaczęło w Polsce dziać się źle. Nie żałuje pan tej decyzji? Może trzeba było zostać w Polsce, przypilnować partii?

– Gdybym uwierzył w to, że losy Polski w ostatnich ośmiu latach zależą wyłącznie od moich decyzji, to znaczy, że mi odbiło. Staram się niczego nie żałować z tego, co w życiu robiłem. Niedługo przyjdzie moment, kiedy opowiem i opiszę wszystko to, co w nim było złe i dobre. Ale to jeszcze nie ten czas. Gdy sięga się po miecz, to nie po to, by myśleć o tym, co się działo w ostatnich 15 latach, tylko żeby walczyć i wygrać.

Radą Europejską kierował pan cztery lata, czego pan się nauczył na tym stanowisku?

– Oglądałem z bliska dramatyczne, a nawet tragiczne zdarzenia, i uczestniczyłem w nich. Poznałem wszystkich bohaterów istotnych zdarzeń i w Europie, i na świecie. Widziałem, jak wybuchła pierwsza wojna rosyjsko-ukraińska. Oglądałem z bliska dramat brexitu. Patrzyłem, jak rośnie dramatyczny podział w amerykańskim społeczeństwie, bardzo podobny do polskiego. Poznałem wystarczająco dobrze Donalda Trumpa i podobnych do niego polityków na całym świecie. I zobaczyłem, ile jest analogii do tego, co dzieje się w naszym kraju. Zrozumiałem, że to, co dzieje się w Polsce, będzie miało wpływ na to, co się będzie działo na świecie, i odwrotnie. Że spór między obrońcami i wrogami demokracji to nie jest zabawa intelektualistów. On odbywa się praktycznie w każdym miejscu na Ziemi. Każdy ma swój Kapitol, którego musi bronić. Polska jest tego niestety bardzo spektakularnym przykładem.

Nauczyłem się, że pielęgnowanie demokracji wymaga czułości i determinacji, takiej rzeczywiście codziennej harówki ogrodnika. Przeczytaliśmy na ten temat setki książek, ale jakoś czasami o tym zapominamy, gdy przez kilka lat w takich państwach nic złego się nie dzieje. A tymczasem demokra-

cja bez nieustannego wysiłku nie ma szansy przetrwać.

To dotyczy w jakimś sensie też polskiej niepodległości. Bo podobna trucizna, która tak zatrula dusze Rosjan, jest również z winy PiS obecna w naszym życiu publicznym.

– Nauczyłem się też, że polityka powinna być możliwie wolna od ideologicznych gorsztów. Urodziłem się liberałem, dla mnie wolność pozostaje wartością najważniejszą, ale dzięki europejskiemu doświadczeniu zrozumiałem, że te wyzwania, które kiedyś wydawały się abstrakcyjne, wymagają zaangażowania państwa. Musiałem spędzić kilka dni na Grenlandii, by zrozumieć, co faktycznie oznacza katastrofa klimatyczna. Widziałem na własne oczy skutki zamachów terrorystycznych. Do tego dochodzi rewolucja technologiczna, zagrożenia ze strony Chin.

Jednym słowem jest wiele powodów, dla których dojrzały polityk, który nie jest zamknięty właśnie w swoim gorsecie ideologicznych przekonań, musi uznać, że obrona wolności w wymiarze indywidualnym będzie wymagała coraz większej aktywności państwa. Z całą pewnością naiwne jest przekonanie, że sama wolna konkurencja i wolny rynek są wystarczającą receptą na zmieniające się czasy.

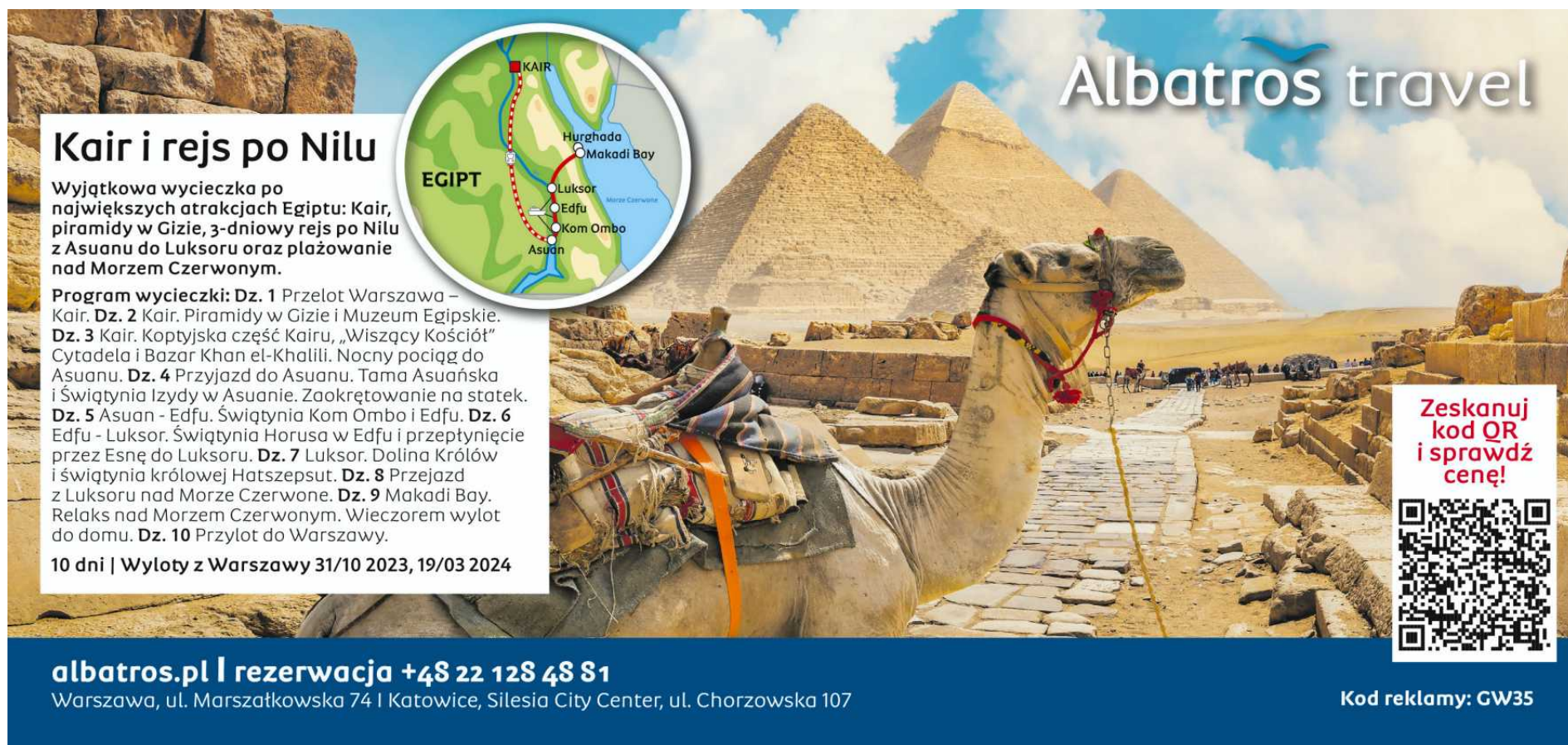
Skreślił pan w lewo...

– Tu nie chodzi o żadne zawijasy ideologiczne. Mam wrażenie, że jako szef Rady Europejskiej przez te lata dowiedziałem się więcej o człowieku, o świecie, o polityce niż wielu polityków, którzy zamknęli się w swojej ideologii albo w swojej lokalności.

To jest też jeden z istotnych powodów, dla których nie myślę o tej rozgrywce, która nas czeka, w kategoriach odwetu czy że teraz pokonam Kaczyńskiego i znowu będę na podium. Dla mnie słowo „polityka” staje się synonimem słowa „troska”. Troska o dzieci i wnuki, troska o to, co się dzieje w naszym kraju, takie nieustanne myślenie, jak budować bezpieczeństwo ludzi i wartości w tym bardzo dynamicznie zmieniającym się świecie. ●

***Donald Tusk**

• przewodniczący Platformy Obywatelskiej, prezes Rady Ministrów (2007-14), przewodniczący Rady Europejskiej (2014-19), przewodniczący Europejskiej Partii Ludowej (2019-22), były wicemarszałek Sejmu i Senatu, w czasach PRL opozycjonista.



Kair i rejs po Nilu

Wyjątkowa wycieczka po największych atrakcjach Egiptu: Kair, piramidy w Gizie, 3-dniowy rejs po Nilu z Asuanu do Luksoru oraz plażowanie nad Morzem Czerwonym.


Program wycieczki: Dz. 1 Przelot Warszawa – Kair. Dz. 2 Kair. Piramidy w Gizie i Muzeum Egipskie. Dz. 3 Kair. Koptijska część Kairu, „Wiszący Kościół” Cytadela i Bazar Khan el-Khalili. Nocny pociąg do Asuanu. Dz. 4 Przyjazd do Asuanu. Tama Asuańska i Świątynia Izdy w Asuanie. Zaokrętowanie na statek. Dz. 5 Asuan - Edfu. Świątynia Kom Ombo i Edfu. Dz. 6 Edfu - Luksor. Świątynia Horusa w Edfu i przepłynięcie przez Esnę do Luksoru. Dz. 7 Luksor. Dolina Królów i Świątynia królowej Hatszepsut. Dz. 8 Przejazd z Luksoru nad Morze Czerwone. Dz. 9 Makadi Bay. Relaks nad Morzem Czerwonym. Wieczorem wylot do domu. Dz. 10 Przelot do Warszawy.

10 dni | Wyloty z Warszawy 31/10 2023, 19/03 2024

albatros.pl | rezerwacja +48 22 128 48 81
Warszawa, ul. Marszałkowska 74 | Katowice, Silesia City Center, ul. Chorzowska 107

Kod reklamy: GW35

Zeskanuj kod QR i sprawdź cenę!



Kwaśniewski: Pokażmy, że jest nas dużo!

PIS SZYKUJE BŁOTO

Prezydent Duda poprawiał swój wizerunek międzynarodowy, a teraz go osłabił, a nawet zniszczył

Z **ALEKSANDREM KWAŚNIEWSKIM**, BYŁYM PREZYDENTEM RP, ROZMAWIA **AGNIESZKA KUBLIK**

Komisja ds. badania wpływów rosyjskich na bezpieczeństwo wewnętrzne Rzeczypospolitej w latach 2007-22 bardzo wiele zmienia w Polsce, prawda?

– Jak bardzo, to się okaże, bo przechodzimy wyraźnie w stronę koncepcji niedemokratycznej. Taki miękki autorytaryzm, w którym tworzy się ciała o celu wyłącznie politycznym, gwałcąc konstytucję, omijając prawa. A zaangażowana jest w to i większość parlamentarna, i prezydent, więc rzeczywiście to niezwykły regres, jeśli chodzi o standardy demokratyczne.

Podpis pod ustawą o tej komisji zmienia i sytuację Andrzeja Dudy. Sam pan miał nadzieję, że zawetuje ustawę, ale okazał się człowiekiem całkowicie zależnym od Kaczyńskiego.

– Dla mnie to bolesne, bo pan prezydent decyduje się na działania niekonstytucyjne, wchodzi dwoma nogami w taką bieżącą grę polityczną i to osłabi instytucję prezydenta.

Już tyle razy osłabiał...

– Ale wydawało się, że ostatnio ma lepszą passę. To, co robi w sprawach ukraińskich, budowało jego lepszy wizerunek, jego działania były energiczne, utrzymywał bardzo bliskie kontakty z prezydentem Zelenskim i ze Stanami Zjednoczonymi.

Teraz osobiście zdecydował się na wielkie ryzyko, bo ten poprawiający się wizerunek, szczególnie w układzie międzynarodowym, sobie mocno osłabił, żeby nie powiedzieć, że wręcz zniszczył.



FOT. WOJCIECH OLSZAKA/EASTNEWS

Pan liczył, że Duda zawetuje komisję, bo będzie stawiał na siebie, na międzynarodową karierę?

– Myślałem, że nie podpisze, bo jednak zrozumie, że musi chronić konstytucję. A niekonstytucyjność tej ustawy jest poza sporem. Chociażby to, że komisja uzyskuje uprawnienia karania, bez możliwości odwołania się od tej kary. Tam są dziesiątki zapisów, które są absolutnie pogwałceniem tej konstytucji. Zresztą i sam Duda przyznał, że ma wątpliwości co do zgodności ustawy z konstytucją, skoro wysłał ją do Trybunału Konstytucyjnego. Mógłby zrobić odwrotnie, nie podpisać i skierować do Trybunału. I dopiero gdyby Trybunał orzekł, że wszystko jest zgodne, podpisać.

To by mogło zablokować powstanie komisji, nie wiadomo na jak długo, bo w Trybunale pat, nie ma pełnego składu, nie „odklócili się”, jak apelował Duda.

– Ale wtedy wina byłaby po stronie Trybunału, nie prezydenta. Ale Duda zdecydował się na to, by komisja szybko powstała, czyli dostarczyła paskudnego materiału przeciwko opozycji w trakcie kampanii wyborczej. PiS liczy, że to wpłynie na wynik wyborczy, że opozycja przegra.

Zdążą przed wyborami?

– Tak, jeśli to będzie coś w rodzaju trybunału ludowego. Mieliśmy taki proces, Rumunia i skazanie w ciągu pół godziny małżeństwa Ceaușescu na karę śmierci.

Tu chodzi o przedwyborczą śmierć cywilną. Duda podpis pod ustawą uzasadniał słowami, że „opinia publiczna musi sama sobie wyrobić zdanie bezpośrednio”.

– Powiem pani, jak to należy czytać: my, PiS, jesteśmy tymi, którzy bronią Polski przed niebezpieczeństwami zewnętrznymi, przede wszystkim przed Rosją, ale też przed Niemcami, przed Unią Europejską itd., a po drugiej stronie są kosmopolici, którzy nie rozumieją, co to jest polska suwerenność, którzy są w stanie ją sprzedawać i sprzedawali ją w przeszłości, np. Rosjanom.

Komisja ma dać opinii publicznej dowody na Tuska i Pawłaka. Oczywiście nie będzie czasu na żadne pogłębione wyjaśnienia, dyskusje o kontekstach historycznych. Bo i po co, z pracy komisji ma wyłonić się obraz, że rząd Platformy i PSL – proszę zauważyć, to jest atak na dwie formacje, które są istotne w tych wyborach – sprzedawały Polskę Rosji. Albo wykazały się jako minimum nie-

Koncepcja opozycji,
by nie wystawiać
kandydatów do komisji,
jest trafna,
bo nie można
legitymizować takich
tworów

Dlaczego poświęcił swoją karierę międzynarodową?

– To jest problem tej prezydentury od początku – wybicie się na niepodległość.

Raczej jego brak...

– Na pewno Duda jest pod ogromnymi naciskami PiS.

Ale teraz, w drugiej kadencji?

– Myślę, że zbudował sobie takie przekonanie, że pokazanie wpływów rosyjskich może służyć dobrze Polsce. Moim zdaniem to nieprawidłowa ocena. No więc przekonał siebie pewnie do tego, że transparentność jest wartością. Tylko że w sprawie transparentności zachowuje się niezwykle niekonsekwentnie, bo mógłby nam zaproponować ćwiczenie z transparentności już teraz, nie powołując komisji, a jako zwierzchnik sił

zbrojnych pokazać całą prawdę o tej rakiecie zbłąkanej, o której jedni wiedzieli w grudniu, drudzy w kwietniu, mówię o ministrze obrony narodowej i premierze, a społeczeństwo by się w ogóle nie dowiedziało, gdyby kobieta na koniu nie natrafiła na jej kawałki.

Za takie sugestie i pan może zostać zaproszony przed tę ruską komisję, bo Jarosław Kaczyński mógłby ocenić, że gada pan jak „przedstawiciel Kremla”.

– Jeżeli celem tej komisji jest, żeby wszystkim nam założyć knebel i żebyśmy się zaczęli bać, to PiS nie zna charakteru Polaków, bo Polacy się nie przestraszą. A po drugie, to już nie byłaby demokracja, ale system czyisto autorytarny. I od razu mówię – nie boję się.

odpowiednią twardością wobec Rosji itd. Wróci temat, o czym rozmawiał Tusk z Putinem na molo w Sopocie, w 2009 r.

Tusk już to zeznawał podczas procesu smoleńskiego (chodziło o organizację wizyty przez kancelarię premiera), mówił przed sądem, że pokazywał Putinowi, gdzie jest plaża, po której biega, gdzie jest jego dom, a premier Putin opowiadał, że ma dużo ochrony i bardzo z tego powodu cierpi.

– I o katastrofę smoleńską będą pytać, by pokazać narodowi, że oto my jesteśmy jedynymi obrońcami polskiego bezpieczeństwa i polskiej suwerenności, myśmy nigdy z Rosjanami żadnych układów nie mieli, co nie jest prawdą, ale wątpię, by komisja to pokazała. PiS chce obrzucać błotem.

Pan by się stawiał, gdyby pana wezwali?

– Nie wiem, trzeba jakiejś ogólnej koncepcji, jak się zachować. Komisja może dotkliwie karać za niestawienie się, 20 tys. zł za pierwsze, za drugie 50 tys. Tylko bardzo bogaci ludzie mogą sobie pozwolić, żeby takie kwoty wpłacać. A i tak przecież jest możliwość doprowadzenia się delikwenta przed oblicze komisji.

Koncepcja, że opozycja nie wystawia kandydatów do komisji, jest trafna, nie można legitymizować tego rodzaju tworów czy potworów. Trzeba też będzie wymyślić, jak reagować na te wszystkie kłamstwa, nadużycia, które będą.

Opozycja bardziej zwarta, nawet Hołownia dołączy do marszu 4 czerwca.

– Niewątpliwie i bardziej zwarta, i powinna być bardziej zderzowana. To już nie przelewki. Droga w kierunku Turcji została wyraźnie zarysowana. Erdogan, który wygrał wybory prezydenckie w niedzielę, też różnymi kruczkami prawnymi

wyeliminował de facto z możliwości kandydowania zarówno burmistrza Stambułu, jak i Ankary, a oni prawdopodobnie mogli być bardziej poważnymi kontrkandydatami niż jego ostateczny konkurent w wyborach. Wszystkie systemy autorytarne mają cały arsenał tego rodzaju działań. Ta komisja weryfikacyjna to jest potężny regres demokratyczny, opozycja musi się brać do pracy.

Marsz 4 czerwca staje się jeszcze ważniejszy.

– Mam nadzieję, że będzie potężny i ponad jakimikolwiek podziałami na opozycji. Nawet trochę się zdziwiłem, że prezydent zdecydował się podpisać ustawę o komisji przed 4 czerwca. Niewątpliwie dołał paliwa politycznego temu marszowi i opozycji. I mam apel: kto może, niech przyjeżdża! Pokażmy, że jest nas dużo, to po pierwsze. Po drugie, pokażmy, że jesteśmy zjednoczeni. I po trzecie, że mamy gotowość do walki, dajmy sygnał całej Polsce, także środowiskom wątpliwym, że jesteśmy siłą, która może wygrać. Niezdecydowani zawsze orientują się na tych, którzy mogą wygrać, chcą być w obozie zwycięzców.

Po 4 czerwca musimy poczuć, że opozycja demokratyczna jest zdolna wygrać w Polsce wybory. To ma znaczenie psychologiczne. Tak naprawdę 4 czerwca to początek kampanii, moment, by pokazać, że opozycja jest zdolna, jest zdeterminowana i jest gotowa nie tylko wygrać, ale też przejąć władzę.

A jest?

– Myślę, że jest. ●

PO PRAWDZIE

Wreszcie jest gdzie donieść

Co zatem każdy wyborca wiezieć powinien o Rosyjskiej Komisji Wyborczej PiS.

Agnieszka Kublik

Tyle niewiarygodnie cudownych możliwości, tyle świetnych okazji, by komuś zaszkodzić, zniesławić, zaszczyć, sponstrować, zaleźć za skórę, zniszczyć, znieważać. Pozbyć się konkurencji, sąsiada, żony, teściowej, kochanki... A co, jeśli ta komisja posłuży nie tylko PiS do stricte wyborczych celów, czyli ustrzelenia Tuska przed jesiennymi wyborami? A co, jeśli naród wykorzysta komisję ds. badania wpływów rosyjskich do celów niepolitycznych – również w drugim tego słowa znaczeniu? Do niszczenia bliźniego?

W czasach, gdy nieufność dominuje nad zaufaniem (w polityce, w pracy, w domu, na ulicy, w autobusie, w sklepie...), gdy ludzie godzinami dniami i nocami ślęczą przed świecącymi ekranami, by kogoś opluć albo poczytać, jak jest ktoś opluwany. Z badań wiadomo, że satysfakcję daje to tym, którzy jej sami w swoim życiu nie doświadczają, są sfrustrowani, zawistni, chcą przykuć uwagę, pragną sławy i chwwały. A tu do państwowej instytucji można bezkarnie donieść na lekarza, prawnika, nauczyciela, wykładowcę, sprzedawcę... No, na każdego można!

Ta Rosyjska Komisja Wyborcza PiS to może być dla tego typu ludzi doskonała wręcz okazja, by się spełnić. Komisja ma uprawnienia i możliwości jak żadna inna wcześniej i – miejmy nadzieję – nigdy więcej.

A skąd ta nazwa?

Rosyjska, bo – jak komentował wybitny prawnik prof. Wyrzykowski – „zarówno z punktu widzenia tworzenia prawa, konstytucyjnej zasady przyzwoitej legislacji, ale też zawartych w niej regulacji, w tym samym stopniu odpowiada ideom prawa rosyjskiego, co zaprzecza Konstytucji RP”;

Wyborcza – bo ma zastąpić uczciwą kampanię wyborczą;

PiS – bo ma rozstrzygnąć wybory na korzyść PiS.

Co zatem każdy wyborca (tak, także PiS) wiezieć powinien o Rosyjskiej Komisji Wyborczej PiS?

Przed RKWPiS (w której zasiadać może każdy, bo kandydat nie musi mieć nawet wyższego wykształcenia, wystarczy „niezbędna wiedza w zakresie funkcjonowania organów władzy publicznej”, a ABW prześwietla członków dopiero po fakcie) może zostać wezwany każdy. Bo każdy może być podejrzany, że jest pod wpływem rosyjskim. A więc prezydent, posłowie, senatorowie, radni, sędziowie, prokuratorzy, prawnicy, pracownicy administracji rządowej, instytucji państwowych lub samorządu, policjanci i żołnierze (ale nie ci z wojsk obrony terytorialnej), dziennikarze, wydawcy, redaktorzy, członkowie stowarzyszeń, fundacji, związków zawodowych, organizacji pracodawców...

RKWPiS ma prawo do tajemnic zawodowych – adwokata, radcy prawnego, notariusza, lekarza i dziennikarza, ale nie tajemnicy spowiedzi.

RKWPiS ma do dyspozycji najważniejsze organy państwa, czyli m.in. Agencję Bezpieczeństwa Wewnętrznego, Agencję Wywiadu, Służbę Kontrwywiadu Wojskowego, prokuratorów, Najwyższą Izbę Kontroli, Sąd Najwyższy, Naczelny Sąd Administracyjny, sądy powszechne, wojskowe i administracyjne, organy administracji rządowej i samorządowej.

Wszystkie one mają obowiązek udostępnić RKWPiS wszystko, nawet materiały niejawnie czy akta sądowe. RKWPiS może dostać dane telekomunikacyjne oraz składać wnioski o przeszukanie i zabezpieczenie dowodów.

RKWPiS może ukarać za wszystko, czyli za nic. Bo za „wpływy rosyjskie”, a to pojęcie bardzo nieostre i o to chodzi. Bo można wpływać nieświadomie i być winnym.

RKWPiS może człowieka cywilnie zabić na zawsze, bo winnym wyda aż na 10 lat zakaz pełnienia funkcji związanych z dysponowaniem środkami publicznymi (czyli np. premiera, posła, senatora). Ale i zakaz pełnienia jakiegokolwiek funkcji publicznej, pracy na kierowniczym stanowisku w administracji czy w organizacji pozarządowej, która otrzymuje dotacje od państwa.

RKWPiS zawiadamia o tym publicznie, czyli zniesławia w majestacie prawa. Raz na zawsze, bo odwołać się nie ma jak.

Swoją drogą, takie donosy obywatelskie mogłyby zablokować prace RKWPiS, bo przecież ktoś musiałby splotki, ploteczki chyba jakoś weryfikować. Czy od razu RKWPiS będzie je traktować jako wiarygodne fakty o wpływie? I podawać do publicznej wiadomości, by – jak to ujął Duda – „opinia publiczna sobie wyrobiła zdanie bezpośrednio”.

Duszną atmosferą polowania na nie swoich z czasów IV RP powraca. Wtedy też tropili układ. W IV RP byłych agentów SB, teraz ruskich agentów. ●

ROZWAŻNI I ROMANTYCZNI

Demokracja oddolna czy budowanie dialogu między społeczeństwem obywatelskim a politykami – to brzmi jak mowa trawa z rocznego raportu jakiegoś think tanku. Ale proszę nie zasypiać – chodzi o fundamenty demokracji. Jeden z pierwszych badaczy tych zjawisk w XIX w., Alexis de Tocqueville, miał romantyczne marzenie, że społeczeństwa obywatelskie same się rodzą i rozkwitają. Dziś wiemy, że owszem, to bujny ogród, pod warunkiem że się go politycznie pielęgnuje – Anglosasi używają wprost pojęcia „gardening”. Po indywidualnym potencjale obywateli – wykształcenie, stan zdrowia, geny – oraz równających szanse instytucjach państwa społeczeństwo obywatelskie to trzeci motor rozwoju cywilizacyjnego. Szczególnie gdy jego organizacje – w literaturze fachowej określane mniej lub bardziej zręcznym akronimem OSO – są w stanie wywierać presję na polityków w kierunku progresywnych zmian. Lecz takiego mechanizmu wyzwalającego w III RP nie zdoła-

liśmy ustabilizować. Od początku OSO i obywatele działali zrywami; jako państwo utkwiliśmy w modelu „demokracji podażowej”, gdzie to politycy kreują niby-obywatelskie instytucje, zresztą bez szczególnej dbałości o wiarygodne konsultacje społeczne. Nietrudno więc o różne rozczarowania, gdy skąpe środki społecznej ekspresji (referenda, petycje) nie są zbyt poważnie traktowane przez świat polityki. Takie były wnioski kilkunastu polskich i norweskich OSO sformułowane w zeszłym roku na pierwszym zlocie w Oslo. A receptę przedstawiono jedną: najwyższy czas przestawić Polskę na model „demokracji popytowej”. Tyle że ktoś ten popyt na zmiany musi mobilizować. Ktoś, czyli „asertywne OSO”, które nie tylko będzie nakłaniać obywateli do asertywności, ale też reprezentować tych nieasertywnych i wycofanych. „Demokracja popytowa” stawia więc dwa twarde warunki: skutecznego reprezentowania obywateli przez OSO oraz partnerskiego współzarządzania krajem przez rządzących i OSO. OSO muszą mieć zdolność mediacyjną uznaną przez

polityków. I bez wzajemnej dobrej woli nic się tu naprawić nie da. Zbudowana w ten sposób demokracja przyszłości będzie opierać się nie na jednym, ale na dwóch modelach przedstawicielstwa: do tradycyjnej reprezentacji partyjnopolitycznej wynikającej z wyborów dołączają reprezentatywne OSO jako uzupełniające (niekonfrontacyjne względem polityki) reprezentowanie interesów obywateli. W błędzie są osoby uważające się za pozbawione złudzeń (lub nadziei), które mają różne obywatelskie zloty i kongresy za szlachetne, ale bez realnego przełożenia na cokolwiek, spotkania towarzyskie ludzi dobrej woli. Te spotkania pomagają wspólnie wymyślać nowe twórcze pomysły, jak budzić obywatelską ekspresję, na jakich polach i jakimi narzędziami działać. Oraz po prostu się poznawać – aktywistom, OSO oraz im z zapraszonymi politykami. Ta metoda drobnych kroków działa – tak jak podcięte tu i tam deski śnieżne na górskim stoku niepostrzeżenie łączą się w lawinę. Anglicy, Szwedzi, Norwegowie przecierali przed nami podobne

szlaki i na koniec odkrywali, że nie wiedzieć kiedy zbudzili uspięone głęboko potencjały społeczne, dając jednocześnie odnowioną legitymację swoim demokratycznym rządcom. U nas można by zacząć od wspólnej podstawy, zarysu tego, co chcemy osiągnąć i jakimi metodami, np. w formie społecznej ustawy „O dialogu obywatelskim i kodeksie dobrych praktyk”. Porozmawiajmy o tym – już dziś i jutro w Warszawie. Zapraszamy wszystkich Państwa. ●

Bartłomiej Nowotarski – konstytucjonalista, politolog, prof. Uniwersytetu Ekonomicznego we Wrocławiu. Uczestniczył w formacjach demokratycznych Polski, Tunezji i Egiptu.

DEMOKRACJA ODDOLNA

Z inicjatywy Niny Witoszek (Uniwersytet w Oslo) oraz nowojorskiego Evolution Institute 2-3 czerwca w Collegium Civitas w Warszawie odbędzie się kongres „Budowanie dialogu i partnerstwa pomiędzy społeczeństwem obywatelskim a politykami”.

Swoje doświadczenia przedstawiają: **David van Reybrouck** (Belgia) – pisarz i historyk, założyciel G1000 Citizens' Summit na rzecz demokracji uczestniczącej w Holandii; **Sarah Monaghan** (Irlandia) – była rzeczniczka kampanii Together for Yes Campaign w referendum, które zalegalizowało aborcję w Irlandii w 2018 r.; **Jerry Lieberman** (USA) – współzałożyciel międzynarodowego Evolution Institute; **Erik Solheim** (Norwegia) – były minister rozwoju i środowiska (2005-12), podsekretarz generalny ONZ; **Lex Paulson** (Sciences Po, Paryż) – prawnik, politolog i konsultant, który współtworzył strategię czterech kampanii prezydenckich w USA, w tym Obamy w 2008 r., a we Francji – Macrona w 2017. W panelu eksperckim wystąpią m.in.: Bartłomiej Nowotarski, Radosław Markowski, Jan Jakub Wygnański. Kilka godzin przewidziano na dyskusję pomiędzy przedstawicielami partii politycznych oraz aktywistami społecznymi. Zapraszamy. Szczegóły i rejestracja na stronie Civitas.edu.pl.

Człowiek Roku „Wyborczej”

ZASIANE ZIARNO GDZIEŚ ZAKIELKUJE

Nie zamykam się w jednej przestrzeni światopoglądowej



Z **HANNA MACHIŃSKĄ**, PRAWNICZKĄ, OBRONCZYNIĄ PRAW CZŁOWIEKA, BYŁĄ ZASTĘPCZYNIĄ RZECZNIKA PRAW OBYWATELSKICH, KTÓRA WŁAŚNIE ZOSTAŁA CZŁOWIEKIEM ROKU „WYBORCZEJ”, ROZMAWIA **WALDEMAR PAŚ**

Co u pani słychać?

– Przez ostatnie pół roku otrzymałam ogromne wsparcie społeczne i propozycje współpracy z wielu środowisk. Ludzie prosili, że bym kontynuowała aktywność. Po rozstaniu z biurem rzecznika czułam, że spełnienie tych oczekiwań to rodzaj misji. A przecież każdy z nas ma jakąś misję do wykonania.

Nie mogłam powiedzieć „przepraszam, wycofuję się”.

Jaka jest pani misja?

– Głośno mówić o miejscu, w którym dzisiaj się znajdujemy, o ewidentnym, widocznym kryzysie w dziedzinie praw człowieka, demokracji, rządów prawa. Takiego kryzysu nie doświadczaliśmy po 1989 roku.

Dużo dostała pani ofert pracy?

– Mnóstwo, nawet po kilka dziennie.

Nadal pracuję na Wydziale Prawa i Administracji UW. Zostałam zewnętrzną ekspertką w Senacie. Jestem zapraszana w różne miejsca, jeżdżę od morza do Tatr, rozmawiamy o naszych polskich i europejskich sprawach.

Najbardziej mi odpowiadają propozycje, dzięki którym mogę mieć wpływ na rozwiązywanie problemów. W czasie forum biznesu w Gdyni rozmawialiśmy o praworządności, przedsiębiorcy przecież miewają bolesne doświadczenia z policją, prokuraturą i sądami.

Chodzi o areszty wydobywcze?

– Tak, ale to dotyka nie tylko ich. Po wykładzie podeszło kilku przedsiębiorców, pytając, co mogą zrobić, jak się zaangażować. A ponieważ działałam w Fundacji im. Henryka Wujca, no to podpowiedziałam, że Fundacja zapewni wsparcie fantastycznym organizacjom pozarządowym, może ją dofinansują.

Chcę poruszyć sumienia ludzkie, abyśmy w trudnych czasach nie byli obojętni, nawiązując do słów redaktora Mariana Turskiego.

Zasiadam w wielu ważnych gremiach, np. w Towarzystwie Komunikacji Społecznej, Stowarzyszeniu im. prof. Z. Hołdy, Stowarzyszeniu Sędziów Sądów Administracyjnych, Radzie Instytutu Spraw Publicznych, Radzie Fundacji im. S. Batorego, Radzie Helsińskiej Fundacji Praw Człowieka i innych. Mam bardzo dobre związki z Fundacją im. T. Pieronka i Fundacją Służby Rzeczypospolitej. Nie zamykam się w jednej przestrzeni światopoglądowej.

I to nie są działania pozorne. Robimy różne bardzo ważne rzeczy.

Często wyjeżdża pani na spotkania w Polsce?

– Zwykle dwa razy w tygodniu, czyli znacznie częściej niż w czasach pracy RPO. Choćby dlatego, proszę pozwolić mi na prywatny wtręt, nie mogłabym wypełniać misji bez ogromnego wsparcia mojego męża. Odbyłam wiele spotkań eksperckich o przywróceniu praworządności i ochronie praw człowieka, rozmawiamy o problemach na granicy polsko-białoruskiej i polsko-ukraińskiej, o zabezpieczeniach wdrożonych przez europejskie trybunały. Mówię o strażonych ośrodkach dla cudzoziemców, miejscach bardzo opresyjnych.

Niedawno na Uniwersytecie w Zurychu, gdzie otrzymałam doktorat honoris causa, opowiadałam o sytuacji na granicy polsko-białoruskiej. Tam też muszą wiedzieć o kryzysie praw człowieka w Polsce.

Nie chce pani stworzyć własnej organizacji pozarządowej?

– Zdecydowanie wolę działać w ramach istniejących instytucji. Nie ma sensu tworzyć kolejnych.

Wejdzie pani do polityki?

– Niektórzy wierzą, że wystartuję w wyborach, a po kraju jeżdżę w ramach kampanii wyborczej.

Pewnie myślą, że buduje pani polityczne struktury.

– Nic z tego. Nie będę w polityce.

NIEPARLAMENTARNIE W PARLAMENCIE

Jakie złe słowa władzy utkwily pani w pamięci?

– W parlamencie padło wiele słów niegodnych tego miejsca. Pamiętam, jak traktował nas, zwłaszcza rzecznika Adama Bodnara, poseł Stanisław Piotrowicz. Pamiętam, jak profesor i posłanka Krystyna Pawłowicz z zaciętością mówiła o fladze Unii Europejskiej, że to szmata.

Jakiś czas później czekałyśmy na debatę sejmowej komisji o sytuacji w zakładach karnych. Prof. Pawłowicz podeszła, serdecznie wspominaliśmy czasy studenckie, razem studiowałyśmy.

Na tym posiedzeniu mówiłam m.in. o problemach tzw. kącików sanitarnych w więziennych celach. Trzeba respektować ludzką potrzebę intymności i godności.

Wtedy prof. Pawłowicz zmieniła się w okamgnieniu. Zaczęła krzyczeć, że tu jest komisja i nie będziemy mówili, użyla dość wulgarnego wyrażenia, którego nie powtórzę...

O kiblach?

– Nawet proszę nie wymawiać tego słowa. Co miało oznaczać zachowanie ówczesnie posłanki Pawłowicz? Demonstracja, że tak

że w tej grupie są też osoby popierające to, co się dzisiaj dzieje w Polsce. Ale uważam, może naiwnie, że zasiane ziarno gdzieś zakielkuje, powstanie refleksja po naszych spotkaniach, ktoś porozmawia o nich z domownikami.

Tymczasem brutalizacja języka w przestrzeni publicznej ma się coraz lepiej.

– Trudne czasy wywołują frustrację, ludzie posługują się trzema słowami do opisu rzeczywistości.

To zadanie szkoły i dla nas, akademików, musimy promować najlepsze wzorce.

Często idąc korytarzem, słyszę, jak studenci wyrażają się dosadnie. Zatrzymuję się i przypominam, że to uniwersytet. Jako osoba, która zajmuje się dydaktyką, narzucam studentom reżim, aby mówić o konkratach, co można lub trzeba zrobić tu i teraz.

Naprawa złego języka powinna być zadaniem nas wszystkich. I zapewne tak się dzieje w bardzo wielu miejscach.

Głęboko wierzę, że doczekamy odwrotu od języka brutalizacji. Pan uważa, że nie?

Czy sztuczna inteligencja, o której tyle się teraz mówi, może nam w tym pomóc? Mogłaby zbierać nienawistne, niekulturalne wypowiedzi i zachowania z mediów społecznościowych, a potem wysyłać ludziom upomnienia. Sugerujemy, aby pan się powstrzymał, bo jak nie, to...

– No właśnie, co? Na razie sięgnijmy do naszej inteligencji, chociaż sztuczna inteligencja jest wielkim, globalnym wyzwaniem i może być poważnym zagrożeniem dla praw człowieka.

Mówi więzień: mam dwoje dzieci, jedno w Szwecji, drugie w Polsce. A mogę zadzwonić tylko raz w tygodniu, muszę wybierać, z którym porozmawiam.

Czemu ma służyć taka opresyjność? Temu, aby tych ludzi pozbawić pozytywnej energii rodzinnej?

Młode osoby opowiadają mi dzisiaj, że jak gdzieś idą, a mają kolorowe włosy czy torby w tęczy barwach, to widząc policjanta, przechodzą na drugą stronę

oto teraz będziemy traktowali więźniów? To był taki wulgarny krzyk.

Kiedy słucham różnych wypowiedzi w Trybunale Konstytucyjnym, ten obraz mam przed oczami.

Co chce pani przez to powiedzieć?

– W demokratycznym świecie sędzia każdego sądu, w tym sądu konstytucyjnego, reprezentuje powagę, kulturę osobistą, rozsądek, umiejętność doboru argumentów.

Nie sądziłam, że osoba w pełni ukształtowana intelektualnie może tak krańcowo zmieniać zachowanie i stosować metody krzyku, poniżania.

Czy da się naprawić skutki nienawiści, która rozlała się w ostatnich latach?

– Wierzę, że tak. Inaczej nasza rozmowa nie miałaby sensu.

Na przystankach Tour de Konstytucja, a w tym roku jest już III edycja tej wspaniałej akcji, mówimy o naszych prawach zagwarantowanych w konstytucji, promujemy kulturę dialogu, kulturalnego języka, doboru argumentów.

Miałam okazję debatować m.in. z sędzią Igoem Tuleją, organizatorami TdK – Robertem Hojdą i mec. Kingą Dagmarą Siadlak, a także Andrzejem Chyrą, dyrektorką szkoły Agnieszką Tomasik czy redaktorem Piotrem Jaconiem.

Gdy mamy przed sobą 500 uczniów z trójmiejskich liceów, to należy założyć,

WCIAŻ MAMY NIELUDZKIE PRAWO

Co pani widzi, podróżując po Polsce?

– Dzisiaj, idąc ulicami polskich miast, widzimy starych, młodych, pięknych ludzi. Otwarte restauracje, ogródki kawiarniane, intensywne barwy i zapachy. Ale pod tą cieniutką warstwą kryją się dramatyczne problemy egzystencjalne, mnóstwo opresji, obaw co do zamiarów państwa i innych ludzi.

Niektóre moje studentki, ich koleżanki, które już mają dzieci, wyjeżdżają lub zamierzają wyjechać z Polski. A przecież to młode pokolenie powinno brać sprawy w swoje ręce. Odpowiadają jednak: mamy jedno życie, nie zamierzamy go tutaj zmarnować.

Młode kobiety nie chcą planować rodziny w Polsce. Drakońskie prawo antyaborcyjne, działania prokuratur przeciwko lekarzom tworzą atmosferę strachu. Wykluczane są kolejne grupy, np. osoby z niepełnosprawnością, którym nawet odmawia się głosu w Sejmie, zastawia się drzwi krzesłem. Dlaczego rządzący nie dostrzegają dramatu tych ludzi i ich opiekunów?

Stygmatyzuje się dzieci z in vitro, mówiąc o produkcji ludzi. Pamiętamy sztydery komentarze polityków o osobach w procesie korekty płci. Wciąż mamy nie-ludzkie prawo, które nakazuje takim osobom wytaczać procesy rodzicom.

Opis polskich miast jak z wiersza Wiktora Woroszyńskiego „Państwa faszystowskie”. Wielu chce wyjechać?

– Oczywiście większość zostanie. Ale i oni są sfrustrowani wylewającą się nienawiścią, brakiem zrozumienia, podstawowej empatii ze strony instytucji państwa.

Wierzę, że przyjdzie taki moment, kiedy powroty do Polski będą atrakcyjne z punktu widzenia przestrzegania u nas praw kobiet, osób LGBT+, innych mniejszości.

Weźmy uchwały anty-LGBT, które w pewnym momencie objęły jedną trzecią terytorium Polski. Skuteczne okazały się działania rzecznika Adama Bodnara, dzięki któremu sądy zaczęły uchylać te uchwały.

Tymczasem każdy z nas idzie na małe, codzienne kompromisy. Na przykład w imię wyrabiania celów w pracy czasem trzeba stłumić rozsądek albo poczucie przyzwoitości.

– Trzeba podawać dobre wzorce i przekonywać, jak ważne są nasze decyzje. Studenci zbyt często ograniczają się do lektury podręczników. Proponuję im, co jeszcze warto przeczytać albo obejrzeć, aby poszerzyć horyzonty.

Bardzo lubię dyskutować ze studentami o filmie „Złota Dama” z 2015 roku. To historia obrazu Gustava Klimta, narodowego skarbu austriackiego zrabowanego w czasie wojny przez nazistów żydowskiej rodzinie. Film pokazuje batalię prawną między państwem austriackim a spadkobierczynią tego obrazu. Wątki prawne fascynujące.

Na pewnej konferencji siedziałam na kolacji obok leciwego profesora. Powiedział mi: byłem jednym z sędziów, którzy zwrócili obraz spadkobierczyni.

Mówię więc studentom: słuchajcie, może jako prawnicy będziecie prowadzili procesy o wymiarze historycznym. To zmieni wasze życie, trzeba mieć tylko otwartą głowę.

Staram się, żeby wykłady były czymś więcej aniżeli suchą logiką: jeżeli p, to q. Ale powtarzam też, że do końca swoich dni nie uwolnią się od zasad logiki.

NIE WYOBRAŻAM SOBIE, ŻE POLSKA NIE OTWORZY DRZWI

Pani wykład na Uniwersytecie Warszawskim o murach był wstrząsający.

– Myślę, że było wiele późniejszych wykładów, które nawet mną wstrząsnęły. Na przykład na UJ spotkaliśmy się z uchodźczynią z Kamerunu, która opowiadała o strasznym traktowaniu na granicy. Choć była w ciąży, to polska Straż Graniczna wypychała ją cztery razy na Białoruś. Gdy zemdlą, przewieziono ją do szpitala. Dzisiaj jej dziecko ma 8 miesięcy, a ona jest objęta ochroną międzynarodową – co było możliwe dzięki zaangażowaniu osób niosących pomoc humanitarną; do dziś utrzymują ją i jej dziecko.

Na wydziale prawa UAM podczas obchodów upamiętniliśmy naszą koleżankę Lenę Bryzik, która zginęła w katastrofie kolejowej pod Szczekocinami. Ta młoda Rosjanka o polskiej duszy podbiła świat naukowy; cieszę się, że co roku odbywają się wykłady jej imienia.

Mówiłam o strasznym losie kobiet, które ratując rodziny, dzieci, przyjeżdżają z odległych krajów do Polski, nie spodziewając się tak strasznej opresji na granicy polsko-białoruskiej. Niektóre zakończyły życie w lesie, również mężczyźni umierają na polskiej ziemi, można powiedzieć na naszych oczach.

Ktoś może powiedzieć, jeżeli porównamy Polskę i Włochy, gdzie Morze Śródziemne jest takim strasliwym cmentarzem, to nie jest źle...

Tak powiedział wiceminister Maciej Wąsik w Senacie.

– ...buntuję się przeciwko takiemu stawianiu sprawy. Każda niepotrzebna śmierć

jest okrutna, a zwłaszcza śmierć, gdy państwo tworzy bariery, które nie pozwalają ratować ludzi. To jest odpowiedzialność Polski za to, że w tej chwili mamy zidentyfikowanych 45 zmarłych i blisko 300 zaginionych na granicy z Białorusią.

Podczas Nocy Muzeów uczestniczyłam we wstrząsającej debacie, przemawiały osoby pomagające uchodźcom na miejscu, np. Człowiek Lasu, pod takim pseudonimem można go znaleźć na Facebooku. Młody mężczyzna, ma dzieci, ale poświęca się szukaniu ludzi po lesie, jakby miał wdrukowaną misję ratowania ludzi. Ma przy tym niezwykłą intuicję; opowiadał, jak zobaczył kawalek kalosza, a leżał tam w ciężkim stanie młody chłopak. Uratował go.

Czy zmarłych może być więcej?

– Słyszałam wypowiedzi o znalezionych szczątkach ludzkich. Dopuszczenie przez nasze państwo do takiego okrucieństwa, aby ludzie umierali z wycieńczenia w lesie, jest nie do usprawiedliwienia.

Kiedy w Senacie słuchałam ministra Waśnika, zastanawiałam się, czy on kiedykolwiek widział, w jakiej traumie są ludzie, którzy próbują dostać się do Polski.

Przedstawiciele jego zaplecza politycznego mówią „nachodźcy”.

– To brutalne, prymitywne metody propagandowe. Z najwyższych politycznych pięt jest sączony ten jad. Skutek: coraz częściej doświadczamy zachowań rasistowskich.

Od 26 maja znów trwa kryzys na granicy. Dzień Matki, a małe dzieci i ich mamy patrzą na Polskę przez płot graniczny.

– Osoby niosące pomoc humanitarną zajmują się kilkoma rodzinami, głównie z Syrii, ale też z Iraku. To 12 dzieci i dziewięć dorosłych, a teraz nawet więcej [rozmawiamy wieczorem we wtorek 30 maja], są w dramatycznej sytuacji. Uciekali przed skutkami trzęsienia ziemi w Aleppo, ich domy są kompletnie zniszczone. Niektórzy są w złym stanie zdrowia, cierpią na poważne schorzenia, jest kobieta w ciąży, inna pogryziona przez psy.

Są wykończeni. Przez telefon składają niosącym pomoc ludziom oświadczenia, że proszą o ochronę międzynarodową w Polsce. Choć są za murem, to fizycznie znajdują się na naszym terytorium. Polska ma obowiązek ich wpuścić, poddać procedurę ochrony międzynarodowej, bo wszyscy się o to ubiegają.

Nie możemy zapomnieć o rzeszy osób niosących pomoc uchodźcom.

W chwili, gdy rozmawiamy, wciąż trwa próba sił. Czym się skończy?

– Nie wyobrażam sobie, że Polska ze względów humanitarnych nie otworzy im drzwi. Białoruskie służby graniczne zapowiedziały tej grupie represję, jeśli nie przedostaną się do Polski. A jednocześnie służby niebiałoruskie pozwalają im wrócić znad granicy.

SKAZANY ZA PEDOFILIE MA PRAWO DO WOLNOŚCI

Jakie wrażenia miała pani po wizycie w ośrodku dla osób z zachowaniami dysocjalnymi w Gostyninie?

– Jakbym znalazła się w upiornym szpitalu psychiatrycznym i więzieniu zarazem. A przecież są to osoby, które odbyły karę pozbawienia wolności i są pacjentami przebywającymi w Gostyninie i Czersku. Niektórzy mówią: w więzieniu było nam lepiej. Ogromna skala naruszeń ich praw. Przeróżnie budzi pracownik ochrony chodzący krok w krok za pacjentem.

Nie mogę zrozumieć pani sędzi, która wizytuje ośrodek i jest raczej zadowolona z tego, co tam się dzieje.

Dzisiaj wśród prawników jest coraz więcej zwolenników represyjnych postaw.

– Zatruwająca Polskę mowa nienawiści jest wykorzystywana do wywoływania poczucia strachu, zagrożenia. Wywoływanie lęku przed innością, dehumanizacja sprawców przestępstw. Czy wie pan, kiedy została przyjęta ustawa uruchamiająca ośrodek w Gostyninie?

W 2013 roku, czyli za rządów PO-PSL.

– Tak. Choć wybitni psychiatrzy, psychologowie wręcz krzyczeli: uwaga, prowadzimy do dramatu. Sprawa Trynkiewicza i działania pod publiczność doprowadziły do uchwalenia tej pokracznej ustawy, która łamie fundamentalne prawa człowieka.

Elity, media liberalne boją się mówić, że pedofil ma prawo wyjść na wolność po zakończeniu kary.

– Ale pamiętajmy, że tam znajdują się osoby, które zostały skazane za przestępstwa pospolite, nie tylko na tle seksualnym. Również osoba skazana za pedofilię ma pełne prawo wyjść na wolność.

Dla mnie znacząca była wypowiedź prof. Michała Królikowskiego z wydziału prawa UW, który jako wiceminister odpowiadał za uchwalenie tej ustawy. Później przyznał, że to był błąd i bierze na siebie odpowiedzialność. Ale co nam po tym?

Co zrobić z Gostyninem?

– W dzisiejszych warunkach? Nie daj Panie Boże tknąć tę ustawę, bo będzie gorzej. I tak mamy za mało narzędzi identyfikujących nieprawidłowości. Jest oczywiście Krajowy Mechanizm Prewencji Tortur i zespół ds. wykonywania kar przy RPO.

– Trzymała ludzi w kotle od godz. 14 do 21.30, a następnie do północy w dwóch komisariatach. Sąd uznał wszystkie zatrzymania za bezzasadne i nieprawidłowe. Funkcjonariusze z kordonu mieli maski na twarzach, na mundurach nie było identyfikacji, co jest złamaniem policyjnych procedur. I nikt nie poniósł za to odpowiedzialności.

Czy jakiś policjant odpowiedział za użycie pałki teleskopowej i połamanie nogi parę lat temu?

– Żaden. Demonstrantka miała po interwencji policjanta złamaną rękę w trzech miejscach – też nikt za to nie odpowiedział.

Młode osoby opowiadają mi jeszcze dzisiaj, że jak gdzieś idą, a mają kolorowe włosy czy torby w tęczy barwach, to widząc policjanta, przechodzą na drugą stronę ulicy.

Policja budzi dziś strach.

– Dlatego KMPT od kilku lat prowadzi kampanię „Państwo bez tortur”. Uważałam, że powinno się ją nazwać „Polska bez tortur”, bo tortury są, ale wciąż nie ma ich w kodeksie karnym, o co zabiegał Adam Bodnar. Występowałam do ODIHR/OBWE [Biuro Instytucji Demokratycznych i Praw Człowieka / Organizacja Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie], potwierdzili, że przestępstwo tortur musi być w kodeksie karnym.

W niektórych przypadkach lepiej nie znaleźć się w komisariacie.

– Jaka jest odpowiedzialność funkcjonariuszy po sprawie Igora Stachowiaka? Jeden z biegłych stwierdził, że działania policji nie

przewracają o własne nogi. To po prostu żalosne, jak działa policja w Polsce.

Trzeba przywołać też raport NIK o nadużywaniu środków przymusu bezpośredniego czy bardzo ograniczonej możliwości korzystania ze szkoleń.

Do tego policjanci nie używają kamer nasobnych, wyłączają je albo w ogóle nie zakładają, żeby nie można było nikogo zidentyfikować i ocenić przebiegu akcji.

Czy kamery mieli policjanci prewencji, którzy pacyfikowali demonstracje, trzymali protestujących w kotłach?

– Oczywiście, że nie mieli. Co więcej, świadomie, celowo i z wielką zręcznością eskalowali konflikty swym niesłychanie brutalnym zachowaniem. Taki pokaz siły. Przy czym obecny na miejscu dowódca nie mógł decydować o rozwiązaniu kotła, musiał zadzwonić do kogoś po zgodę.

Jak wytłumaczyć to, że policja nie wypuszcza z kotła starszej osoby o kulach, która musi iść do toalety?

Pokazałabym tym policjantom w ramach szkolenia kilka filmów z lat 70. To idzie w kierunku jak najgorszym.

A rozmawiamy w przededniu demonstracji 4 czerwca.

Sądzi pani, że będą policyjne prowokacje?

– Nie mam wątpliwości, że będzie to demonstracja pokojowa, ja też się na nią wybieram.

Ale przy poprzednich takich wydarzeniach zdarzały się różne represje, np. zatrzymywanie ludzi po drodze, drobiazgowo sprawdzanie samochodów, niedopuszczanie do wjazdu do Warszawy itd.

Mam nadzieję, że teraz tak nie będzie.

Ile czasu zajmie przywrócenie normalności w służbach mundurowych?

– To proces zmiany mentalności, nie tylko rozkazów. Policja i inne służby mundurowe muszą aktywnie uczestniczyć w naprawie. Punkt wyjścia to szkolenia, wyposażenie w kamery nasobne, monitorowanie wszystkich działań.

Trzeba też będzie naprawić przepisy.

Niedawno zmieniony kodeks karny wykonawczy ogranicza np. kontakty więźniów ze światem zewnętrznym. Wbrew podstawowym zasadom resocjalizacji ogranicza się kontakty z rodziną i adwokatami. Mówi więzień: mam dwoje dzieci, jedno w Szwecji, drugie w Polsce. A mogę zadzwonić tylko raz w tygodniu, muszę więc wybierać, z którym dzieckiem porozmawiam w tym tygodniu.

Czemu ma służyć taka represyjność? Temu, aby tych ludzi pozbawić pozytywnej energii rodzinnej? W ten sposób karze się nie tylko więźniów, ale ich dzieci, rodziny.

A przed nami wejście w życie drakońskiej nowelizacji kodeksu karnego.

– Możliwy wyrok dożywocia bez możliwości ubiegania się o zwolnienie. Będzie można karać już 14-letnie osoby. Sankcje 30 lat pozbawienia wolności. To jest niesłychane.

No i fatalnie działająca służba zdrowia w więzieniach. Pamiętam przypadek bardzo ciężko chorego na nowotwór, którego jako główny lek dawano no-spę. Do tego wypowiedzi polityków, w tym premiera, o karze śmierci.

Czemu ma służyć dyskusja o karze śmierci?

– Zaspokajaniu najniższych oczekiwań społecznych. Znowu podgrzewa się atmosferę, wywołuje radykalne postawy nienawiści. Zabiłeś dziecko? To stryżek. To jest właśnie manipulowanie opinią publiczną.

A liberalna część elit prawniczych, mam wrażenie, milczy od lat. Dominuje opowieść o karze jako o zemście. Nie chodzi tylko o karę śmierci, ale też o tendencję do zastraszania kar, grzywien, mandatów. Aby nareszcie dać lupnia winnym.

– Kurczy się nasza przestrzeń normalności.

Młode kobiety nie chcą planować rodziny w Polsce.

Wykluczane są osoby z niepełnosprawnością.

Stygmatyzuje się dzieci z in vitro.

Mamy prawo, które nakazuje osobom w procesie korekty płci wytaczać procesy rodzicom

Niektórzy wierzą, że wystartują w wyborach, a po kraju jeżdżą w ramach kampanii wyborczej. Nic z tego. Nie będę w polityce

To KMPT opisał opresyjne metody stosowane w zakładzie karnym w Barczewie – wszystko wskazuje na to, że dochodziło tam do podtapiania, podduszania. Sprawa jest w prokuraturze.

Również KMPT stwierdził nieludzkie traktowanie osoby zatrzymanej w komisariacie w Rykach, sprawcami byli zastępca komendanta i jego podwładni.

Za słabo nadzorujemy zachowania funkcjonariuszy służb mundurowych. Czują przyzwolenie, a nawet zachętę do nagannych zachowań.

Chodzi o to, aby dać więźniom lupnia, żeby wiedzieli, że odbywają karę?

– Słyszymy z ust polityków, że więzienie to nie sanatorium. Ale żaden polityk nie mówi, że więzienie jest po to, żeby po zakończeniu kary człowiek umiał włączyć się do normalnego życia i nie popełnił już przestępstwa.

Tak samo jest z policją?

– To, co policjanci wyprawiali w czasie demonstracji o prawa kobiet, przypominało interwencje milicji i ZOMO z lat 70., kiedy funkcjonariusze byli brutalniejsi niż w latach 80.

W latach 2020 i 2021 polska policja pokazała swoją najgorszą twarz.

To była niewyobrażalna, niczym nieuzasadniona opresyjność i brutalność.

Co policja zrobiła z demonstracją demokratów 11 listopada 2022 roku w Warszawie?

przyczyniły się do jego śmierci, ale inni uważali co innego.

Tych przypadków jest dużo więcej.

We Włocławku ocenialiśmy dramatyczne zdarzenia, które zakończyły się śmiercią dwóch osób. Dostałam bardzo dokładne zdjęcia ciała po sekcji zwłok jednej z nich, zwróciliśmy się do ekspertów międzynarodowych. Ten człowiek po prostu został skatowany na śmierć, uznali. Ale polscy biegli nie zauważyli, że ofierze wybito zęby.

Biuro rzecznika zorganizowało seminarium o interwencjach policji podczas zajęć spowodowanych przez osoby chore psychicznie albo pod wpływem narkotyków, alkoholu itd. Przypadków śmierci po interwencji policji jest znacznie więcej.

Pamiętamy postrzelenie chorego człowieka, co w „Wyborczej” we wstrząsający sposób opisywał Piotr Żytnicki.

– Nie chodzi tylko o brak umiejętności, wyszkolenia, popełnione błędy, ale przede wszystkim o brutalne traktowanie osób zatrzymanych.

Komitet Przeciwko Torturom Rady Europy, słysząc o tych wydarzeniach, odbył pierwszą w Polsce wizytę ad hoc w różnych miejscach policyjnych. Raport z tej wizyty ukazał się w 2020 roku.

Ostrzegli: jeśli złe policyjne zachowania będą eskalowały, to sytuacja wymknie się spod kontroli.

Czy już się wymknęła?

– Chyba tak. Grupa policjantów oddaje 17 strzałów do jednego człowieka i sami się

CZY WŁADZE OPROTESTUJĄ JEDWABNE?

W ubiegłym tygodniu UW odsłonił tablicę upamiętniającą ofiary getta ławkowego.

– Trzeba docenić ten gest, choć z drugiej strony nie sposób nie zapytać, dlaczego wcześniej nie było nas stać na oddanie sprawiedliwości i przyznanie, że w przeszłości działy się straszne rzeczy. I dlaczego takich tablic wciąż nie ma na innych uczelniach.

Bo to nie jest wstyd. Co więcej, władze ścigają tych, którzy mówią prawdę.

– Ukazują się badania, które mówią o naszej trudnej historii, że w czasie II wojny światowej były wśród Polaków osoby, które zachowywały się w sposób haniebny, wydawały Żydów, skazując ich na śmierć.

Nie możemy zaprzeczać tej historii.

Władze zaprzeczają faktom im niewygodnym.

– Minister edukacji Przemysław Czarnek zaprzeczył wnioskom z badań prof. Barbary Engelking.

Niedługo ukaże się książka redaktora Piotra Pytlakowskiego o strefie niepamięci. To wstrząsająca lektura, oparta na dokumentach, o tym, jak na ścianie wschodniej, w tych małych miasteczkach Polacy mordowali Żydów.

Odpowiedzią władzy na ujawnianie faktów jest zaprzeczanie i nakładanie cenzury. To godzi w wolność słowa i wolność akademicką prowadzenia badań naukowych, o czym mówi art. 73 Konstytucji RP.

Co robić?

– Naszym zadaniem jest obrona wolności słowa, prawa do informacji, wolności badań naukowych, zgromadzeń i stowarzyszeń. Na tym opiera się państwo w środku Unii Europejskiej i Rady Europy, które podjęło się respektowania zobowiązań międzynarodowych, europejskich, konwencji praw człowieka, przede wszystkim własnej konstytucji.

Działania polityczne nie mogą zagrażać prawu do dochodzenia do prawdy, nie mogą wpływać na badania naukowe.

To, co się zdarzyło, przejdzie do bardzo ciemnych kart polskiej historii.

Jak się przed tym bronić?

– Nie można ulegać presji politycznej, zdecydowanie potrzeba mocnego głosu organizacji pozarządowych, think tanków, bo zagrożenie wolności akademickiej skierowane przeciwko jednej osobie jest procesem kroczącym. Nie skończy się na jednym przypadku.

Na marginesie, atak na prof. Engelking jest absurdalny, bo idąc tą logiką, trzeba by zamknąć archiwa IPN i wstrzymać publikacje.

Dlaczego?

– Tam jest opisanych wiele bolesnych sytuacji dla Polski. Tylko dlaczego mielibyśmy nie mieć dostępu do akt sądowych powojennych procesów o mordowanie Żydów? Niedawno dostałam opartą na faktach książkę Konstantego Geberta „Spodnie i talety”, wydaną w ubiegłym roku. Zamordowany zostaje krawiec Mordechaj Hyczek. Mordercy kłócą się o jego spodnie, kto powinien je wziąć.

A książki Mirosława Tryczyka, które boją prawdą historyczną o zamordowanych Żydach? Czy teraz władze będą oprostowały takie fakty, czy oprostują Jedwabne, inne miejsca, w których dokonano zbrodni?

Zawsze znajdują się osoby, które powiedzą: nie ruszajmy tego, to kwestia polityczna.

– Strach paraliżuje. Dostałam niedawno, wraz z innymi znamienitymi osobami, medal z okazji zakończenia obchodów powstania w getcie. Przy tej okazji otrzymałam tekst hymnu śpiewanego w niepu-

blicznej szkole z Krakowa. Słowa napisał nauczyciel tej szkoły. Przynajmniej jedno zdanie chciałam zacytować podczas uroczystości w redakcji „Wyborczej” z okazji nadania tytułu „Człowiek Roku”.

Zwróciłam się do tej szkoły, rozmawiałam z zastępczynią dyrektora. Ale nic z tego, bo usłyszałam, że cytując słowa szkolnego hymnu, mogę tym samym wykorzystać je w celach politycznych.

Dramat polega na tym, że niektórzy nauczyciele się boją, dyrektorzy się boją, mnóstwo porządnych ludzi ogarnia strach. Szkoły już wyprzedzająco wołają się nie wychylać, bo jak nie daj Boże to gdzieś wyjdzie na jaw, co powie kurator oświaty?

Lepiej uniknąć problemów, nałóżmy sobie prewencyjnie knebel, w ten sposób spokojnie przejdziemy przez trudny czas.

Taką miałam rozmowę. I co pan na to?

Bardzo smutne. Czy możliwe, że w tym roku w szkołach będą „Tęczowe piątki”?

– Wątpię. Pamięta pan „Kompas”, niewinny poradnik wydany przez Radę Europy? Popularyzowałam tę książkę. Były już organizowane lekcje i nagle „Kompas” został wstrzymany decyzją, notabene, ówczesnego ministra edukacji Romana Giertycha. Bo była jedna lekcja dotycząca osób LGBT, choć to sformułowanie nie padało. Bardzo delikatnie było napisane, że w szkole, w klasie mogą być osoby o odmiennej orientacji seksualnej.

„Kompas” był przetłumaczony nawet dla krajów arabskich. Tylko Polska go wstrzymała.

W Warszawie jest grupa matek czeczeńskich. I one zajmowały się bezdomnymi w Warszawie, pomagały w DPS w Radości. Jeździły tam z różnymi czeczeńskimi przysmakami, a młodzież prezentowała starszkom tradycyjne tańce. Chodziły po działkach, dostarczając jedzenie bezdomnym

Uważam, może naiwnie, że zasiane ziarno gdzieś zakielkuje, powstanie refleksja po naszych spotkaniach, ktoś porozmawia o nich z domownikami

CZECZENKI KARMIA BEZDOMNYCH

Rozzło się zło po 2015 roku, nie wiadomo, gdzie sprzątać najpierw.

– Ostatnio często opowiadam o ćwiczeniach antyterrorystycznych organizowanych przez Komendę Główną Policji, gdzie uzbrojona kobieta w hidżabie symbolizowała terrorystkę. To jaskrawy przykład hejtu, to rasizm. Wiele osób poczuło się dotkniętych.

Jeżeli politycy pokazują uchodźców w takim okropnym kontekście jak zoofilia, to ten przekaz zostaje w głowach ludzi i rodzi psychologiczny mechanizm: my ich nie chcemy.

Dajemy się zamknąć w naszych czterech ścianach. Zahukani przez reżim?

– Myślę, że chodzi też o wygodne życie. Często ci, którym nie wystarcza do pierwszego, mają największe pokłady pomagania innym.

W Warszawie jest grupa matek czeczeńskich, to głównie samotne kobiety. I one zajmowały się bezdomnymi w Warszawie, pomagały w DPS w Radości. Jeździły tam z różnymi czeczeńskimi przysmakami, a młodzież prezentowała starszkom tradycyjne tańce czeczeńskie.

Matki czeczeńskie nie mają przecież pieniędzy, borykają się z tyłoma problemami. Ich los w Polsce jest bardzo niepewny. Ale mówią: procedury się toczą, a my musimy pomagać. Chodziły więc po działkach, dostarczając jedzenie bezdomnym.

My często mamy za dużo do stracenia i dlatego teraz tak przeżywamy i zamykamy się w naszych czterech ścianach.

Potrzebny zimny prysznic?

– Czas się ruszyć.

W wielu miastach powstają stowarzyszenia pomagające osobom bezdomnym. Ada Porowska organizuje życie osobom bezdomnym z perspektywą wychodzenia z kryzysu bezdomności. Ona jest w tak mądry sposób sprawcza. Kiedy rozpoczęła się wojna w Ukrainie, to władze Warszawy poprosiły ją, aby zorganizowała punkt pomocy na Dworcu Zachodnim.

Jest też Agnieszka Sikora z fundacji Po Drugie zajmująca się bezdomnymi dziećmi. Czy ktoś powiedziałby, że w Warszawie są bezdomne dzieci? Agnieszka zaprosiła mnie na spotkanie z nimi, w kinie Falenica. Dobrze, że było światło zgaszone, bo miałam lzy, kiedy słuchaliśmy historii opowiedzianych przez dzieciaki. Gdzie spały, jak nocują, co spowodowało ich bezdomność, dlaczego uciekają.

Agnieszka tworzy im mądry dom z perspektywą rozpoczęcia nowego życia.

Dlaczego wpadły w bezdomność?

– Często pochodzą z rodzin dramatycznie patologicznych, jedyna droga to ucieczka z domu. Chłopak opowiadał, jak jeździł godzinami autobusami, a potem ławka w parku albo brama. Tak też bardzo szybko wpada się w narkotyki. Tu coś się kradło, a tu coś się udało zorganizować, bo byli głodni. Są dziewczyny, które urodziły dzieci.

– W 2015 roku NIK przygotowała raport o polityce migracyjnej – z konkluzją, że w ogóle nie jesteśmy do tego przygotowani, wszystkiego jest za mało, nie uczymy cudzoziemców tak, jak należy, nie potrafimy ich włączyć do społecznego krwioobiegu.

A potem kolejne raporty mówią, że jest coraz gorzej.

„LEX TUSK”

A teraz Sejm i prezydent przygotowali nam zamach stanu.

– Ostatnie dni to taka kumulacja dramatów, że nie wiadomo, w co ręce włożyć.

Najpierw przypomnijmy poprzednie grzechy tej władzy: ograniczanie niezależności sądów, nękanie niepokornych sędziów i prokuratorów, wytaczanie przeciw nim nieuzasadnionych postępowań dyscyplinarnych, zniszczenie Krajowej Rady Sądownictwa, Trybunału Konstytucyjnego, tendencyjne wskazywanie neosędziów na stanowisko prezesów sądów, w tym nowego prezesa Izby Karnej Sądu Najwyższego. Nie zapomnijmy o wyrzuceniu 150 prezesów i wiceprezesów sądów, co zostało oprostowane przez specjalnego przedstawiciela ONZ ds. wymiaru sprawiedliwości.

Ile było rezolucji, raportów organizacji międzynarodowych i orzeczeń Trybunału Sprawiedliwości UE oraz Europejskiego Trybunału Praw Człowieka. A rząd i TK mówią, że są to nieuprawnione działania. Wybierają sobie, jak rodzynki z ciasta, przepisy europejskiej konwencji praw człowieka, które nie będą obowiązywać w Polsce. Pouczają TSUE, że nie ma prawa orzekać w sprawach dotyczących sądownictwa. Z premedytacją stosują metody nielegalnych wywózek na Białoruś, na co wskazywała Dunja Mijatović, komisarz praw człowieka Rady Europy.

Przed nami jeszcze ciemniejsze chmury.

– Rozumiem, że prezydent Duda nie zamierza realizować zobowiązań, które podpisał 17 maja podczas IV szczytu Rady Europy w Rejkiawiku.

Projektuje się ustawę o walce ze szpiegostwem, też z nową niejasną definicją, co będzie stwarzało ogromne niebezpieczeństwo dla osób z organizacji pozarządowych, dziennikarzy. Nowe, szersze uprawnienia ma dostać ABW.

Ale w tej chwili najważniejsze to zastanowić się, co możemy zrobić jako społeczeństwo z tzw. lex Tusk.

Takie prawo uchwalano w Polsce 70 lat temu, w czasach stalinowskich. Pokazuje, do czego może doprowadzić dążenie do rewolucji, która zmiecie opozycję. Tak nie może być. Wiele zależy od nas.

Bo dziś na wszelki wypadek prewencyjnie spełniamy niewypowiedziane jeszcze życzenia władzy, o czym pisał w pierwszej lekcji Timothy Snyder „O tyranii”.

Musimy opowiedzieć się za prawami człowieka, za demokracją, za praworządnością.

Jak skomentuje pani postawę prezydenta?

– Podpisanie tej ustawy, a wcześniej wielu innych, jest sygnałem wykluczenia Polski z grona państw demokratycznych. Prof. Mirosław Wyrzykowski podkreślił, że prezydent jako strażnik konstytucji i jako prawnik nie odniósł się do argumentów ekspertów o niekonstytucyjności ustawy.

Nie po to wiele osób, takich Michnik, Modzelewski, Borusewicz, Labuda, Bujak, Frasyniuk, Pienkowska, Krzywonos i inni, walczyło o wyrwanie nas z komunizmu, abyśmy dziś znów stawali się państwem autorytarnym, a być może nawet totalitarnym. Na to nie ma zgody.

Dziś największą naszą wartością jest Unia Europejska i Rada Europy. To są nasze bezpieczniki na teraz i przyszłość. ●

MACHINA



FOT. STEFAN MASZEWSKI/REPORTER

DOBRA

Hanna Machińska opuszcza komendę dopiero z ostatnim wypuszczonym

Aleksandra Szyłto

ŻEBY KOWALSKI CZUŁ SIĘ WYSLUCHANY

MAGDA KRZYŻANOWSKA-MIERZEWSKA, radczyni prawna, w latach 1993-2018 prawniczka w Kancelarii Europejskiego Trybunału Praw Człowieka w Strasburgu:



– To jest świetny rok, żeby właśnie dr Hanna Machińska została uhonorowana nagrodą! Mamy 30. rocznicę ratyfikowania przez Polskę europejskiej konwencji praw człowieka, której organem wykonawczym jest Trybunał Praw Człowieka w Strasburgu. A nieprzypadkowo ten jubileusz, który powinien być powodem do wielkiej dumy i do poważ-

nej rocznicowej refleksji, jest przez nasze państwo właściwie okryty milczeniem.

Do 2014 r. Polska była gwiazdą konwencji. Mam na myśli liczbę skarg, jakie Polacy składali do Strasburga. Panowało poczucie, że nareszcie jest gdzie się poskarżyć, skoro wróciliśmy do Europy! Bezplatnie! Bez obowiązku posiadania fachowego pełnomocnika! Ugruntowywało się przekonanie, że każdy Kowalski może teraz „za granicą” dochodzić sprawiedliwości, jeżeli uważa, że jego prawa gwarantowane przez konwencję zostały przez władze publiczne naruszone. Ludzie nie bali się skarżyć, ufali w moc Trybunału i wiedzieli, że ich własne państwo nie będzie ich prześladować za składanie skarg.

Dzisiaj Polska jest na regularnej wojnie z konwencją i Trybunałem. Dwa wyroki ze Strasburga – dotyczące sędziów dublerów oraz obsadzania Sądu Najwyższego przez neo-KRS – nie tylko nie zostały wykonane, ale całkowicie niezgodnie z prawem zostały skierowane, w ramach nieistniejącej, a zatem nielegalnej procedury, do takiego niby ponownego rozpatrzenia przez Trybunał Julii Przyłębskiej.

Wcześniej taki krok zrobiła tylko Rosja, więc wpisaliśmy się w standardy rosyjskie. Dawni sędziowie Trybunału słusznie określili te dwa rozstrzygnięcia z alei Szucha jako „eksces orzeczniczy”.

Pierwsza intuicja może podpowiadać, że skoro Polska była gwiazdą Trybunału, jeśli chodzi o liczbę wnoszonych przeciwko niej skarg, to znaczy, że polskie organa wła-

dzy publicznej źle działały i naruszały prawa człowieka. Spójrzmy jednak z innej perspektywy – weszliśmy do struktur, dzięki którym zyskałyśmy szanse zmieniać standardy dotyczące respektowania praw ludzkich. I Polska przez lata całe lojalnie współpracowała z Trybunałem i wykonywała jego wyroki – zmieniała prawo albo sposób jego stosowania.

Ale dość gorzka prawda jest taka, że prawa człowieka jako realny element orzecznictwa w Polsce nie bardzo się przyjęły. Argument prawny oparty na orzecznictwie Trybunału zbyt często jest przez polskie sądy zbywany milczeniem. Albo jest taka postawa: skoro już strony postępowania nie mają argumentów, to sięgają po prawa człowieka. Po 30 latach obowiązywania konwencji!

Dlaczego tak jest? To są zaniedbania szkoleniowe, sposób prowadzenia edukacji prawniczej w naszym kraju. Za komuny na wydziałach prawa było dużo politycznego gadania „o ludzie” i „o partii”, więc w latach 90. – w reakcji na ideologizację prawa – nastąpiło odcięcie od takiego sposobu myślenia i ucieczka w formalizm. Zbyt często kształcimy techników prawa. Wadą takiego podejścia jest literalizm, nieumiejętność interpretacji tekstu prawnego inaczej niż tylko w kategoriach czysto językowych. Sięgnięcie po interpretację konstytucji czy konwencji wydaje się zbyt trudne albo zbędne. Albo i jedno, i drugie.

Przyczyny były też strukturalne: sposób zarządzania zasobami ludzkimi w sądow-

nictwie. Przez długie lata mieliśmy mnóstwo zapracowanych, kiepsko opłacanych i niedocenionych sędziów tak zwanych liniowych, pierwszoinstancyjnych. Jedynym dla nich sposobem na otrzymanie pozytywnej oceny ich pracy było uzyskanie awansu, bo inne sposoby doceniania ich codziennej harówki przez przełożonych działały słabo albo wcale. A skoro walczyłeś o awans, musisz orzekać tak, żeby druga instancja nie uchylała twoich wyroków. Jeśli druga instancja „nie lubi” praw człowieka, to je pomijasz. Z ostrożności.

Nie nauczyliśmy się na czas, że sąd musi być dla społeczeństwa – chodzi o to, żeby Kowalski czuł się tam wysłuchany i rozumiany. Wiele skarg Polaków do Trybunału przez lata było efektem nie tego, że Polska złamała czyjeś prawa, tylko tego, że człowiek wychodził z sali rozpraw, nie rozumiejąc, co się właściwie stało, a także uważając, że został potraktowany obcesowo i z wyższością.

Na tym tle działalność dr Hanny Machińskiej w Biurze Rady Europy – szkolenia, które organizowała dla sędziów, adwokatów, prokuratorów i radców – były nie do przecenienia. Tyle tylko, że Biuro prowadzone przez Hankę, w istocie przez lata wyręczało państwo. Ministerstwo Sprawiedliwości w tej kwestii posługiwało się ograniczonymi możliwościami Biura RE i Helsińskiej Fundacji Praw Człowieka, zamiast mocno zainwestować w to, żeby sądy i prokuratura zrozumiały, że prawa człowieka stanowią nor-

malny element ich codziennej pracy, a nie czyją fanaberję.

Więc z jednej strony lata 90. jako radosny prawniczy powrót do europejskich wartości, w tym także do praw człowieka, ale z drugiej – jeszcze wciąż wiele do zrobienia. Do dziś smutno brzmią mi w uszach słowa Włodzimierza Chruszcika, prezesa Krajowej Rady Radców Prawnych, mojego własnego samorządu zawodowego, wypowiedziane jesienią 2020 r. na spotkaniu krajowej komisji praw człowieka. Określił on prawa człowieka jako dziedzinę „niszową i kontrowersyjną”.

A teraz mamy za sobą osiem lat odwrotu od europejskich standardów i dwa tysiące sędziów, którzy przyjęli awans z rąk neo-KRS.

Dla mnie symboliczne jest, że symbolem upominania się o przestrzeganie praw człowieka w Polsce jest dzisiaj Hanna Machińska – osoba, której sytuacja życiowa pozwalała na niezależność, chociażby ze względu na to, że jest na takim etapie życia zawodowego, gdzie już nie musi kalkulować szans na przyszłą karierę. Ani obawiać się, że tej karierze zaszkośli.

Patrząc też na dr Machińską jako na wzór dla kobiet: jak można, nie będąc już młodką, dokonać tak imponującego zwrotu zawodowego. Po 25 latach prowadzenia Biura, po pracy w Ministerstwie Spraw Zagranicznych – co jednak było pracą bardziej z pogranicza dyplomacji i nauki niż codzienną prozaiczną robotą sądową – weszła jako zastępczyni RPO w ogień walki. I tu rozbiła bank. Ale też zadaje sobie pytanie, co sprawiło, że u RPO to właśnie ona dostała najcięższy odcinek – prewencja tortur, zakłady karne, pushbacki na granicy? Może dlatego, że tam, gdzie jest najcięższa robota, dobrze jest wysłać kobiety?

MYCIE GARNKA ZACZYNA OD SPODU

PROF. MIROSLAW WYRZYKOWSKI,

były sędzia Trybunału Konstytucyjnego, były dziekan Wydziału Prawa i Administracji UW:



– Moja przyjaźń z dr Hanną Machińską, Hanką, i jej rodziną, trwa od 50 lat. Znając ją tyle czasu, stwierdzam, że los nie rozdaje po równo. Jej dał z dobrze wykorzystanym nadmiarem odwagę.

Hania robiła rzeczy, gdy one jeszcze nie były ani znane, ani tym bardziej modne. Pierwsze zajęcia dla studentów z ochrony środowiska poprowadziła w 1974 r. A w latach 90., gdy organizowałem konferencje na UW, to od niej wiedziałem, że musi być parytet wśród prelegentów, bo inaczej Hanka nie tylko nie wystąpi, ale w ogóle nie będzie uczestniczyła w konferencji. My się zgadzaliśmy co do konieczności tego parytetu, bo wiem generalnie w kwestiach zasadniczych zawsze się zgadzamy. Tyle że ja byłem skłonny zważyć różne racje, np. to, że wtedy nielato było znaleźć tyle kobiet, bo ich zwyczajnie nie było w niektórych katedrach czy instytucjach. A ona widzi takie sprawy pryncypialnie: „tak ma być”. Zawsze stosowała regułę, którą pierwszy raz usłyszałem od prof. Ewy Łętowskiej, gdy była rzecznikiem praw obywatelskich, a mianowicie, że kobiety mają garnki, zaczynając od spodu. Co to znaczy? Że zabierają się za robotę porządną, nie tylko tak, żeby lśniło z wierzchołka.

Przez większość życia zawodowego nie była osobą znaną szerokiej publiczności, choć robiła rzeczy zmieniające polską rzeczywistość. Zmieniła to dopiero altruistyczna postawa prof. Wiącka, obecnego RPO, który dobrowolnie postanowił okryć się nieślawą, zwalniając Hannę Machińską z funk-

cji swojego zastępcy. Wcześniej po prostu robiła swoje, bez zabiegania o rozgłos.

W czasach stanu wojennego była w grupie młodych naukowców, którzy regularnie przychodzili na rozprawy opozycjonistów, by ich wesprzeć. Chodziło o to, żeby usiąść w pierwszym rzędzie, patrzeć sędziemu głęboko w oczy. Żeby oskarżony wiedział, że nie jest sam i że na sali sądowej nie siedzą wyłącznie ubecy. I żeby sędzia wiedział, że podlega kontroli społecznej.

Gdy w 1991 r. Polska weszła do Rady Europy, została pierwszym dyrektorem Biura RE w Warszawie. Dlaczego ona? W stanie wojennym młodymi naukowcami związanymi z Solidarnością interesowały się dwie grupy zawodowe: ubecy i zachodni dypłomaci. Jak ktoś się nie dał ubekom, to w zachodnich ambasadach wiedziiano, z kim warto się spotykać. Gdy rozpoczęły się przemiany demokratyczne, Hania stanowiła osobowe zaplecze zmian.

Jeśli miałbym wskazać trzy największe jej sukcesy z czasów prowadzenia Biura, na pierwszym miejscu byłaby organizacja szczytu Rady Europy w Warszawie w 2005 r., w czasach prezydentury Aleksandra Kwaśniewskiego i rządów Marka Belki. Był to trzeci szczyt RE od czasu jej powstania w 1949 r. i fakt, że odbył się właśnie w Warszawie, miał znaczenie historyczne i symboliczne, był docenieniem naszej roli na arenie międzynarodowej po pierwszych latach demokratycznych przemian.

Drugi sukces to szkolenia dotyczące praw człowieka organizowane przez Biuro dla sędziów, adwokatów i prokuratorów, które odbywały się przez ponad 20 lat, ich częścią były m.in. spotkania z sędziami z Trybunału Praw Człowieka w Strasburgu. Wychowane zostało całe pokolenie znakomych prawników, znawców europejskiej konwencji praw człowieka. Tych szkoleń już nie ma, skończyły się wraz ze zwolnieniem Hanny Machińskiej przez MSZ ze stanowiska w 2017 r.

Trzeci sukces to sieć kontaktów z najważniejszymi osobami w Europie i w Polsce zajmującymi się demokracją, rządami prawa i prawami człowieka, czyli triadą wartości europejskich. W ten sposób jest łącznikiem ludzi i idei. Numery telefonów i adresy mailowe najważniejszych ludzi w jej kalendarzu są efektem dziesięcioleci pracy, odpowiedzialności i osobistej atrakcyjności Hanny Machińskiej.

Ma tę niezwykłą umiejętność kreowania platformy, by tworzyć sieci kontaktów. Także prywatnie. W naszej „rodzinie”, czyli gronie przyjaciół, to ona najczęściej organizuje spotkania i skutecznie dba, żeby przy stole odbywała się jedna rozmowa. Nie ktoś z kimś na boku, ale wszyscy uczestniczą w wspólnym spotkaniu. Przy jej stole każdy uczy się lepiej słuchać.

Dużą część jej działalności to rzeczy, o których wie mało kto spoza najbliższego grona. Wiadomo, że jako zastępczyni RPO wizytowała areszty, zakłady karne, wchodziła w krąg policyjnych „kotłów”, jeździła na granicę polsko-białoruską i polsko-ukraińską. Ale mało kto wie, że więźniarki z Lublińca przyjeżdżały do niej do domu. Zapraszała na kawę, rozmowę, dawała wsparcie. To były kobiety, które popełniły ciężkie i najcięższe przestępstwa. Ale wcześniej latami były ofiarami ciężkiej przemocy domowej, która doprowadzała je do koszmarnego finału.

Tak jak nie wszyscy wiedzą, że w więzieniu na Rakowieckiej zorganizowała pokaz filmu o Irenie Sendlerowej, a potem rozmowę z osadzonymi. Widziałem, że niektórzy mieli lzy w oczach. Tylko ona wiedziała, jak przekonać komendanta więzienia, że takie niestandardowe działanie resocjalizacyjne jest właściwe.

Nie musi się z kimś zgadzać co do formy protestu czy jego intensywności, żeby podjąć wysiłek w obronie jego praw. Mam tu na myśli np. niektórych aktywistów, znanych z demonstracji ulicznych, którym okazała pomoc wykraczającą daleko poza to, co było wprost wpisane w jej obowiązki zastępcy RPO. Pryncypialnie stawała po stro-

nie praw danego człowieka. I ona nie prosiła o ich przestrzeganie przez władzę publiczną, ona tego żądała, wiedząc, że ma po swojej stronie konstytucję i międzynarodowe konwencje.

Nielatwo byłoby zliczyć osoby, którym pomogła znaleźć lekarza, wsparła w chorobie. Nie mówię tu tylko o gronie bliskich. Jest człowiekiem instytucją.

Zapewne trzy inne osoby umarłyby ze zmęczenia, robiąc połowę tego, co ona. Skąd ma siłę? Może jest tak, że im więcej energii się daje, tym więcej się też zwrotnie otrzymuje?

Jej siłą, a zarazem wiarygodnością, jest to, że zawsze mówi jasno, bez względu na to, czy to się komuś podoba czy nie. Prywatnie też. Jednocześnie ma w sobie odpowiedzialność za instytucje, w których pracowała bądź pracuje. Dlatego opinia publiczna nie pozna kulis jej dymisji jako zastępczyni RPO w grudniu 2022 r. czy kulis próby odwołania jej wykładu na UW w styczniu 2023 r. Bo dla niej priorytetem nie są osobiste ambicje, priorytetem jest to, żeby społeczeństwo miało zaufanie do instytucji. Ponieważ to ma szansę przynieść wymierne rezultaty dla potrzebujących.

Czy ma wrogów? Myślę, że jej postawa bywa trudna do zaakceptowania dla tych, którzy kierują się logiką własnej korzyści. Tyle że ona zawsze wygrywa. Jej wykład o prawach człowieka na UW miała obejrzeć grupa zebranych w auli uniwersyteckiej, a skończyło się tak, że był transmitowany na żywo przez TVN24.

Nie jest łatwo odmówić jej prośbom czy sugestiom. Jeśli bierze za telefon, dzwoni do adwokata i mówi, że trzeba daną sprawę wziąć pro bono, to rozmówca wie, że trzeba ją wziąć. Nie wahała się skrytykować publicznie lekarzy, np. za odmowę wykonania aborcji 14-latce, czy sędziów orzekających o skierowaniu do Gostynina, do zamkniętego ośrodka, seryjnych morderców i najcięższych przestępców seksualnych po odbyciu przez nich kary.

Ma instykt królowej, matki i siostry. A jednocześnie najgłębsze rozumienie służby. Jak królowa żąda przestrzegania prawa. Jak matka widzi więcej, dalej i mądrzej. Jak siostra nigdy nikogo nie pozostawi bez pomocy. Ona jest jak lustro, w którym każdy z nas może się przejrzeć, by odpowiedzieć na pytanie: co mną kieruje? Altruizm? Miłość? Dobro? Oportunizm i wygoda? Szczodrość? Odwaga? Męstwo? Proszę zobaczyć, u mnie na ścianie wisi cytat z „Traktatu moralnego” Miłosa. To jest o Hannie Machińskiej:

*„Nie jesteś jednak tak bezwolny,
A choćbyś był jak kamień polny,
Lawina bieg od tego zmienia,
Po jakich toczy się kamieniach,
I, jak zwykł mawiać ktoś inny,
Możesz, więc wpłyni na bieg lawiny,
Łagodź jej dzikość, okrucieństwo,
Do tego też potrzebne męstwo”.*

POJAWIA SIĘ MACHIŃSKA I JUŻ MOŻNA DO TOALETY

MEC. RADOŚLAW BASZUK,

aktywny uczestnik protestów Obywateli RP:



– Listopad 2020 r., demonstracje na rondzie Dmowskiego, czyli rondzie Praw Kobiet, po orzeczeniu TK w sprawie aborcji. To był pierwszy raz, kiedy policja dokonała na taką skalę zatrzymań uczestników Strajku Kobiet. I mowa była już nie tylko o wykroczeniach, ale padły zarzuty z kodeksu karnego: o naruszanie nietykalności i znieważanie funkcjonariuszy. Pojechaliśmy wtedy na Wilczą na komisariat jako obrońca Tadeusza Jakrzewskiego z Obywateli RP. Była ja-

kaś 23, na korytarzu siedziało sporo młodych skutych demonstrantów, my z Tadeuszem akurat w pokoju na przesłuchaniu.

I w pewnym momencie otworzyły się drzwi i stanęła w nich Hanna Machińska, zastępczyni RPO. Popatrzyła na Tadeusza, którego już знаła, na mnie: „Aha, wy to sobie sami poradzicie, idę dalej”. To była cała ona. Najpierw upewniła się, że każdy jest bezpieczny i godnie traktowany. Wiadomo było, że jeśli jest naprawdę grubo i źle, to ona się pojawi. Na miejscu, nie z biurka, pilnowała, żeby procedury były przestrzegane. Często opuszczała komendę dopiero z ostatnim wypuszczonym. Podsumowania, raporty – to było dla niej ważne, ale na drugim miejscu; na pierwszym zawsze ludzie.

11 listopada 2022 r., grupa ok. 30 osób z transparentem „Nacjonalizm to nie patriotyzm” na skwerze Wislockiego, w żaden sposób niezagrażająca przebiegowi marszu narodowców, niestojąca im na trasie, tylko w pobliżu. Policja przenosi ich siłą pod hotel Indigo na Smolnej.

Ja w tym czasie jestem w drodze do Warszawy, ale w kontakcie z Wojtkiem Kinasiwiczem, który tam jest. Na początku pisze, że nie jest źle; otoczeni kordonem, odmawiają wylegitymowania; później jednak mówi: „Zanosi się na powtórkę z nocy sylwestrowej”. W tę noc w 2020 r. stali na mrozie sześć godzin, otoczeni na rondzie de Gaulle’a za to, że wyszli z transparentem „Obywatelskie zatrzymanie godziny policyjnej” – chodziło o covidowe restrykcje ogłoszone przez premiera bez podstawy prawnej. Teraz znowu pat. Policjanci nie chcą wypuścić ich z kordonu, jeśli osoba nie okaże dokumentów, choć to niezgodne z prawem, bo są tylko konkretne sytuacje, w których funkcjonariusze mogą tego żądać. Z drugiej strony część uczestników, to banalne, ale prawdziwe, coraz pilniej potrzebuje do toalety. Nie wiem, jak długo by to trwało, gdyby nie to, że postanowiliśmy poinformować o sytuacji Hannę Machińską. Już dojeżdżam do domu, dzwonię do niej, robię kilka bidonów ciepłej herbaty i pędzę na Smolną. A ona już tam jest.

Pojawienie się w takiej sytuacji zastępczyni RPO zmienia rzeczywistość. Już demonstranci mogą korzystać z toalety, są tam doprowadzani przez policjantów. Część protestujących została formalnie zatrzymana i odwieziona na komisariat, pozostających policja puszcza, niektórym daje nawet protokoły zatrzymań. Na komisariat jedzie Machińska. Dla niej dzień pracy 11 listopada skończył się nad ranem, wraz z ostatnią wypuszczoną dziewczyną. Nie bez powodu w środowiskach ruchów obywatelskich mówią o niej Machina.

Kiedy jako Obywatele RP wręczaliśmy naszą nagrodę „W imię zasad” Adamowi Bodnarowi w Sejmie w 2021 r., Paweł Kasprzak zwrócił się do Hanny Machińskiej: „Ta statuetka nie jest i nie może być dla pani, bo pani jest jedną z nas, a Obywatele RP sami sobie wyróżnień przecież nie dają”. Tym właśnie jest. Jedną z nas.

Co nie znaczy, że jest wobec nas bezkrytyczna. Zdarzyło się, że mnie skarciła. Uznała, że zbyt obcesowo odezwałem się do policjanta. Przyjąłem to z pokorą.

URZĘDNIK MOŻE WYJŚĆ DO LUDZI

ADAM BODNAR,

dziekan Wydziału Prawa Uniwersytetu SWPS, były rzecznik praw obywatelskich:



– Hanna Machińska wykonała gigantyczną misję jako moja zastępczyni, odpowiedzialna za sprawy osób pozbawionych

wolności. To był taki czas, że musieliśmy być bardzo mocno skonsolidowani, nadać jednym tonem: ona, ja, pozostali moi zastępcy, Stanisław Trociuk i Maciej Tabowski oraz dyrektor generalna Katarzyna Jakimowicz. Było poczucie, że wierzymy w to samo, że jest merytoryczność, szacunek i zaufanie.

Już po zwolnieniu z urzędu mówiła, że mój następcą, prof. Marcin Wiącek, zarzucił jej, iż czasem nie informowała go o swoich działaniach przed ich podjęciem. U nas ten problem nie istniał, nie potrzebowaliśmy kontrolować każdego kroku Hanny Machińskiej, bo w jej przypadku nie było wątpliwości, za jakimi wartościami podąża.

Wykonała ogromną pracę w kwestii przeciwdziałania torturom. Bo trzeba powiedzieć jasno – one się w Polsce zdarzają, np. na komisariatach, czego przykładem była prowadzona przez nas sprawa Igora Stachowiaka.

Mniej znanym szerokiej publiczności, a jej wielkim osiągnięciem była praca wokół rocznicy Marca '68. Nie tylko konferencje i upamiętnienia, również podjęcie debaty nad utratą obywatelstwa polskiego przez wypędzonych.

Przełomem w funkcjonowaniu naszego biura była „tęczowa noc” z 6 na 7 sierpnia 2020 r., czyli demonstracje w obronie Margot [Malgorzata Sz., aktywistka LGBT+, osoba niebinarna, 7 sierpnia 2020 r. aresztowana za zniszczenie furgonetki propagującej homofobiczne hasła. Tego dnia na ulice Warszawy wyszli ludzie na znak solidarności z Margot, zwłaszcza wobec informacji, że osadzono ją w męskim areszcie zgodnie z danymi z jej dokumentów, natomiast wbrew płci, z którą się identyfikuje].

Wtedy Hanna Machińska pokazała, jak blisko urzędnik może wyjść do ludzi. I tak już zostało. Ona zawsze była blisko ludzi. Od 2020 r., gdy przyspieszyło tworzenie się państwa policyjnego w Polsce, potrzebne były inne sposoby oddziaływania ze strony urzędu RPO, choćby w sprawie demonstracji po wyroku aborcyjnym TK czy granicy polsko-białoruskiej. I ona zawsze była z tymi, co jej potrzebowali.

ALE CZY ZJADŁEŚ ŚNIADANIE

SĘDZIA IGOR TULEYA:



– Blżej miałem okazję poznać dr Hannę Machińską przy okazji Tour de Konstytucja. Mówiła o prawach człowieka, sytuacji na granicy polsko-białoruskiej, ja o sądach. Dla mnie to był sposób realizacji modelu sędziego obywatelskiego; zobowiązałem się jako sędzia wyjść do społeczeństwa, pokazać, że nie jesteśmy nadzwyczajną kastą, nastawić się bardziej na słuchanie niż pozucanie.

Tam zauważyłem, jak bardzo Hanna Machińska jest pracowita, ile ma energii. Te spotkania z młodymi ludźmi, czasem uczniami, były dla mnie dużą przyjemnością, ale to był też młyn: panel, warsztaty, pytania, zdjęcia. Do młodzieży trzeba się dostroić, bo oni mają swoje tematy: prawa mniejszości, prawa związane z edukacją. Przyznaję, że ja po czymś takim jestem skołowany. Ona wsiada do tourbusa, otwiera komputer i bierze udział w jakiejś konferencji online albo zabiera się za sprawdzanie prac studentów. A weźmy pod uwagę, że atmosfera związana z naszymi działaniami edukacyjnymi bywała różna. Zazwyczaj byliśmy bardzo ciepło przyjmowani, ale zdarzało się, że ktoś robił donos do kuratorium albo jakiś poli-

tyk próbował robić aferę. Mówienie z młodzieżą o konstytucji jest w dzisiejszej Polsce różnie odbierane.

Hanna Machińska jest pryncypialna i zdarza się, że krytykuje sędziów za orzeczenia dotyczące wydalenia uchodźców bądź np. sprawy związane z Gostyninem. Mogę tylko powiedzieć, że ma rację. Nie wątpię, że naszym sądom potrzebne są szkolenia z praw człowieka. Ona potrafi celnie wypunktować, gdzie dany sędzia się nie wglębił, może nie znał orzecznictwa. Wypunktować urzędniczą bezduszność. Pushbacki na granicy z Białorusią są nielegalne i płacimy za to – odszkodowaniami przed ETPC. Hanna Machińska pokazuje, że podstawowe wartości, jak godność ludzka, nie są w konstytucji i międzynarodowych konwencjach ozdobą i można je godzić z kwestiami bezpieczeństwa państwa.

Zauważyłem, że Hanna Machińska to człowiek, który potrafi rozmawiać z każdym: z uczniem, z dorosłym aktywistą, ale też z policjantami i strażnikami. Zawsze z szacunkiem. Nawet w trudnej sytuacji, tak, żeby ten ktoś czuł się godnie. Potrafi docenić, co ten ktoś robi dobrze.

To jest taka osoba, która w wirze pracy potrafi zwrócić uwagę, czy zjadłem śniadanie, jeśli byliśmy w trasie. Albo żebym nie palił papierosów. I to nie jest czysto grzecznościowe. Bo moje próby jakiegoś żartobliwego wykręcenia się od odpowiedzi jej nie zadowalały. Jej troska jest prawdziwa.

PROSZĘ PODAWAĆ MNIE JAKO BLISKĄ OSOBĘ

KATARZYNA AUGUSTYNEK,

wśród opozycji ulicznej znana jako Babcia Kasia:



– Mam w sądach 208 spraw wykroczeniowych i karnych, z czego 55 jest nadal czynnych. Byłam zatrzymywana podczas demonstracji dwadzieścia kilka razy. Od kiedy podczas miesięcznicy smoleńskiej w październiku 2020 wykrzyczałam w twarz Kaczyńskiemu, gdzie jest wrak i że sam jest wrakiem, służby szczególnie mnie obserwują. A ja ciągle jestem na ulicy. Od 2010 protestowałam tylko przeciwko maszerującym po Warszawie naziolom, w 2016 mój udział w marszu czarnych parasolek też był jeszcze spokojny, ale w 2017 pod Sejmem coś we mnie pękło, przestałam być grzeczna.

Nie należę do żadnej organizacji, uczestniczę w protestach jako zwykła obywatelka. KOD, miesięcznice, Litera-dy, demonstracje w obronie sądów i osób LGBT, Strajk Kobiet, marsze proaborcyjne i antypisowskie. Kiedy policjanci mnie zatrzymują, według procedur powinni zapytać, kogo powiadomić: obrońcę i osobę bliską. Obrońców mam, moimi sprawami zajmują się pro bono prawnicy z kolektywu Szpila: radca prawny Agata Bzdyn i mecenas Jerzy Jurek.

Pani Hanna Machińska musiała jednak zauważyć, że nie podaje nazwiska bliskiego, ponieważ jestem osobą samotną. I zdarzyło się, że pani Machińska – będąc w mojej sprawie na komisariacie – powiedziała, żebym podawała ją jako bliską, i przekazała mi swój prywatny numer telefonu. My w ogóle się prywatnie nie znałyśmy. Taki gest ze strony zastępcy RPO był dla mnie ogromnym wsparciem. Starałam się później tego nie nadużywać, przecież wiem, ilu osobom pani Machińska pomagała. Nas po demonstracjach rozwożono po różnych komendach, również poza Warszawę. A ona jeździła, szukała, nieraz

siedziała godzinami na komendach, by dopilnować, czy nasze prawa są przestrzegane. Bo nie zawsze były.

Ja z natury jestem osobą emocjonalną, wobec tego na demonstracjach nie zawsze jestem spokojna. Za dużo jest we mnie wściekłości spowodowanej tym, że jestem w tym kraju pozbawiana moich fundamentalnych praw, praw człowieka i obywatela. Przyznaję, pani Machińska prosiła mnie, żebym spróbowała powściągnąć swój temperament. Obiecałam, że się postaram. Próbowałam, ale nie zawsze mi się to niestety udaje. Sytuacja zagrożenia na protestach wyzwała mój temperament, co nie powinno mieć miejsca. I mimo to ona zawsze była gotowa przyjechać w nocy na komendę. I tego się nie zapomina.

TWOJA WYKŁADOWCZYNI W CZERWCU BYŁA W LESIE

JAKUB DOBOSZ,

student II roku dziennikarstwa i administracji UW:



– Na pierwszym roku dr Hanna Machińska wyklada logikę prawniczą. To trudny przedmiot, taka pierwsza selekcja. Szczęśliwie zdałem! Wśród studentów zawsze krążą informacje, jaki jest ten czy inny wykładowca, więc już przed pierwszymi zajęciami wiedziałem, że dr Machińska jest bardzo wymagająca. Okazało się, że jednocześnie jest bardzo prostudenccka. Masz poczucie, że jeśli potrzebujesz, to zawsze można się dogadać, po partnersku. To nie jest relacja pionowa, czysto hierarchiczna. A z tym na uczelni bywa różnie.

Przede wszystkim jednak dostawaliśmy od niej znacznie więcej niż tylko wykłady z prawa. Trwał kryzys na granicy polsko-białoruskiej, a my mieliśmy informacje z pierwszej ręki, bo od tego często zaczynały się zajęcia. Bo dr Machińska poprzedniego dnia była właśnie w lesie albo wizytowała ośrodki Straży Granicznej. Nawet jeśli śledzisz na bieżąco media, to wysłuchanie takiej relacji ma zupełnie inną wagę. Twoja wykładowczyni właśnie rozmawiała z 14-latką, która była kilka razy pushbackowana. To jest inny wstęp do rozmowy o nielegalności procedury pushback. Zawsze słyszeliśmy: pamiętajcie, najważniejsze prawo to prawo człowieka.

Czy wśród studentów prawa zdarzają się osoby, które inaczej myślą o granicy, że rząd robi dobrze? Jeśli są, to mówią o tym na korytarzu. Otwarcie z dr Machińską nikt nie dyskutował.

MARIA ZŁONKIEWICZ,

Chlebem i Solą, Grupa Granica:



– Na granicę polsko-białoruską pojechałam pierwszy raz w sierpniu 2021 r., do Usnarza Górnego, i wkrótce właściwie przeprowadziłam się tam na pół roku. Szybko okazało się, że to nie tylko Usnarz, właściwie codziennie ktoś gdzieś spotykał w lesie, na drodze, na przystanku, osoby, które właśnie przedostały się z Białorusi. Pierwszym przypadkiem, w którym osobiście się zaangażowałam, była grupa ośmiu mężczyzn – z Iraku, Afganista-

nu i Jemenu. Wtedy wydawało mi się, że skoro już tu są, nakarmiliśmy im i daliśmy ubranie czy śpiwory, i skoro oni opowiedzieli nam swoją historię i wypełniliśmy razem dokumenty poświadczające, że proszą o ochronę międzynarodową w Polsce, to już jest dobrze. Pamiętam, jak zapewnialiśmy ich, że teraz już potocznie się wszystko z europejskimi procedurami, bo w Polsce jest takie prawo, że ich wniosek zostanie rozpatrzony, a do tego czasu mogą się czuć bezpiecznie. Trwałam w przekonaniu, że jako pracownicy organizacji od lat zajmujących się procedurami uchodźczymi jesteśmy ich gwarantem. Jestem świadkiem, zarejestrowałam ich przybycie. Zadzwoiliśmy po Straż Graniczną. Tej nocy zostali wypchnięci na Białoruś. Dla mnie to był szok. Pamiętam, że spaliśmy razem z koleżanką u kogoś w gościnie na jednym łóżku i starałyśmy się tak płakać, żeby ta druga nie widziała.

Kolejne akcje pomocowe kojarzą mi się z ukrywaniem. Kiedy szliśmy przez las, my, aktywiści, padaliśmy na ziemię, jeśli przejeżdżał samochód. Nie używaliśmy latarki, mówiliśmy szeptem, w ciągłym strachu, że nas zobaczą, i przez to wydaliśmy ludzi, do których idziemy.

Kiedy pojawiała się Hanna Machińska, mogliśmy się wyprostować. Mówić otwartym głosem, zażartować, roześmiać się. Zapalić latarkę w nocy. Tam, gdzie pojawiała się ona, pojawiała się prawo. Osoby przez nią zarejestrowane nie zostały poddane pushbackowi. Mam na myśli konkretne przypadki, np. trzyosobowej rodziny z Angoli, z dzieckiem.

Do ukrywających się ludzi z daleka mówiła głośno „dzień dobry”, przedstawiała się, kim jest. Pytała, czego potrzebują, czy jedli, pili. Tłumaczyła, jaka jest sytuacja i co teraz się wydarzy.

Na posterunku Straży Granicznej domagała się, żeby przemarznięci ludzie mogli odpocząć, a nie byli trzymani godzinami na ławce. Wizytowała zamknięte ośrodki Straży Granicznej i szpitala. W szpitalu w Hajnówce chyba musieliby zacząć specjalizować się w ortopedii urazowej, bo teraz stale przywożony jest tam ktoś, kto spadł z pięciometrowego muru – złamane kręgosłupy, biodra, nogi. Dla wszystkich tych ludzi, którzy mieli szczęście zostać odnotowani przez nią, to był ratunek. W przeciwnym razie obowiązywały inne zasady. Niedawno mężczyzną ze złamaną nogą Straż Graniczna po prostu posadziła po białoruskiej stronie i tak został. Nie mógł wstać, chodzić.

Hanna Machińska wchodziła do lasu w czółenkach, garsonce, z elegancko zarzuconym szalem. My w buciorach, nieprzemakalnych kurtkach. Szła przez te rozlewiska, przez śnieg. Wydawało się, że jej się śnieg do tych eleganckich butów nie nasypuje. ●

Mateuszek i inne chłopaki



Nazwanie Zbyszka krową to jednak było coś gorszego niż fanga w nos, bo przecież krowa jest rodzaju żeńskiego.

Michał Rusinek

Nie chcę wyjść na donosiciela, ale to Zbyszek zaczął. Bo Zbyszek, który w naszej klasie zajmuje się wymierzaniem sprawiedliwości i w ogóle należy do paczki Mateuszka, przewodniczącego naszej klasy, w wywiadzie dla szkolnej gazetki zaatakował właśnie Mateuszka, czyli jakby szefa swojej paczki. Zarzucił mu, że ten „pomylił się we wszystkich najważniejszych decyzjach unijnych” i że w efekcie jego zgody na mechanizm warunkowości i KPO nasza klasa „będzie stopniowo tracić suwerenność”.

Mateuszek nie pozostał mu dłużny. On już taki jest, że dłużny być nie lubi, choć klasa jest coraz bardziej zadłużona. Jak on to robi? Nieważne. To znaczy, ważne, ale do rzeczy, że tak powiem. Przewodniczący klasy z tym swoim złowróżbnym półuśmieszkiem powiedział: „Część swojego dzieciństwa spędziłem na wsi i tam rolnicy nauczyli mnie takiego starego polskiego przysłowia: »Krowa, która dużo ryczy, mało mleka daje«,” i dodał, że za każdym razem, kiedy słucha słów Zbyszka, przypomina mu się „trafność tego przysłowia”. Zdając sobie sprawę, że część klasy nigdy nie widziała na oczy krowy, bo takie z nas mieszcuchy, zmienił porównania na bardziej zrozumiałe, bo sportowe, mówiąc, że polityka samorządowa w szkole to „gra zespołowa” i „jak to w zespole – są tacy, którzy ciągle narzekają, marudzą, że im ktoś nie podaje piłki, i są tacy, którzy walczą o to, żeby jak najwięcej osiągnąć w trudnych okolicznościach kryzysowych”. Po tych słowach poczuliśmy się jak na wuefie.

Zapadło milczenie, bo zapachniało salą gimnastyczną. Zbyszek się zmył, ale został Jacek, kolega Zbyszka, który zawsze trzyma jego stronę i tłumaczy nam, co Zbyszek miał na myśli i dlaczego miał rację. Wszyscy spojrzeli na niego i zaczęli pytać, jak zareaguje na słowa Mateuszka. Czyżby między nim a Zbyszkiem był jakiś konflikt? Taki konflikt może przecież zaszkodzić naszej klasie! Jacek się migał, lecz wreszcie powiedział, że nie chciałby „wchodzić w ocenę” wypowiedzi przewodniczącego klasy. I zaapelował do wszystkich, żeby „rozpocząć dyskusję merytoryczną”. Dodał też na wszelki wypadek, że on, Jacek, nigdy nie krytykował Mateuszka „ad personam”. Nie wiem, co to znaczy, ale pewnie mniej więcej tyle, że nigdy nie dał mu personalnie fangi w nos.

Nasza klasa już zdążyła się podzielić na zwolenników Zbyszka i zwolenników Mateuszka i zakasać rękawy, żeby sobie nawzajem pokazać, kto tu rządzi. Wtedy Jacek powiedział: „Usiądźmy do stołu, żeby ta krowa trochę zeszała na bok i żeby zająć się tym, co jest kluczowe”. Dodał, że dziś traktuje się naszą klasę jak „krowę do wydojenia, tylko że za chwilę ktoś może chcieć, aby zrobić z tego dobrego steka”. Tak nas tym skolował, że przestaliśmy chcieć się bić. I dobrze, bo pewnie musiałby nas rozdzielać Rosół.

O co im obu właściwie chodziło? Trudno się w tym połapać. Mateuszek, wiadomo, lubi przysłowia o zwierzętach, to już wiedzieliśmy wcześniej. Ale nazwanie Zbyszka krową, to jednak było coś gorszego niż fanga w nos, bo przecież krowa jest rodzaju żeńskiego, a Zbyszek bardzo nie lubi, kiedy się chłopaka traktuje jak dziewczynkę, choć przecież dziewczynki są fajne. Lecz Zbyszek już taki jest. I cała klasa przez niego cierpi. Tylko ksiądz, który nas uczy religii, się z nim zgadza. A my siedzimy cicho, bo się trochę Zbyszka boimy, choć właściwie nie wiem czemu. Ale i tak dobrze, że Mateuszek nie użył tego przysłowia o pokornym cielęciu, które dwie matki ssie, albo o kocie, którego jak nie ma, to myszy harcują, albo o złym ptaku, co to własne gniazdo kała. Bo wtedy to by się dopiero działo! Dobrze, że mu nikt nie odpowiedział. A Jacek? No cóż, chyba nie uważał na lekcji biologii, bo mu się pomyliły krowy mleczne z krowami mięsnymi. No i na lekcji polskiego, bo nie wie, że przecież robi się stek, a nie steka. Za karę pani od polskiego kałała mu potem zostać po lekcjach i sto razy przepisać do zeszytu: „Mam ochotę na stek”, a on bardzo płakał, bo był głodny. Podobno Jacek się boi, że mu rodzice niedługo zabronią jeść mięso i każą wcinać robaki. Dziwny ten Jacek, nie ma co. Wszyscy się z niego śmieją.

A tak w ogóle to postanowiliśmy się jednak nie dzielić na niczych zwolenników, odwinęliśmy z powrotem rękawy i nawet ktoś zaproponował, żebyśmy się złożyli na popcorn, rozsiedli wygodnie jak w kinie i patrzyli, jak Mateuszek, Zbyszek i cała ich paczka tłucze się ze sobą. Może też kupimy Jackowi coś do jedzenia, bo jak będzie jadł, to nie będzie opowiadał głupot. Może to i dobrze, że się będą ze sobą tłuc, bo wtedy wybierzemy sobie nowego przewodniczącego klasy, który nie będzie taki jak Mateuszek i ta jego paczka. I może wreszcie będzie normalnie. No bo co w końcu, kurczę blade? ●

Żeby było po mojemu

Adresuję ten tekst do wszystkich, którzy uważają, że jedynym sposobem poradzenia sobie z PiS-em jest działanie w stylu PiS-u.

Marcin Matczak



Gdyby istniał rak duszy, byłby nim PiS. Dlatego 4 czerwca pójdę w Marszu Wszystkich, bez względu na to, jak bardzo Tomasz Lis będzie mnie do tego zniechęcał.

Pójdę, bo PiS zżera wszystko, co w polskiej duszy cenne: otwartość na innego, gościnność dla przybysza, szacunek dla myślącego inaczej. Zastępuje tę zdrową tkankę chorą: zamknięciem w swoim świecie, przekonaniem, że tylko moja racja się liczy, nienawiścią wobec każdego, kto nie z nami. To cechy psychologicznego faszyzmu. On jest wieczny, tak jak wieczna jest ciemna strona człowieka, która chce zdominować innego. Zniszczenie państwa, destrukcja instytucji kontrolujących pychę władzy, łamanie konstytucji i wynikające z tego łamanie ludzi to tylko efekty tej pierwotnej przyczyny.

Ale w chwili, kiedy decyzja o tym, by pójść w marszu, wydaje się oczywista, Tomasz Lis zaczyna mnie szantażować, że jak nie pójdę, to jestem złym człowiekiem.

Spotkaliśmy się w życiu ze trzy razy, więc się znamy i nie będę Pana, Panie Redaktorze, obrażał, pisząc o Panu w trzeciej osobie. Zamierzam Pana wykorzystać. Tylko jako exemplum, ale i tak, i nie czuję się z tym dobrze. Nakaz moralny głosi, żeby człowieka traktować zawsze jak cel, nigdy tylko jak środek. Być może usprawiedliwia mnie, że – jak naiwnie sądzę – robię to także dla Pana.

Zawsze darzyłem Pana sympatią, czego dowodem było nominowanie do Hot 16 Challenge – hip-hopowej akcji wspierającej polskie szpitale. I ta sympatia się zmieniła. Mam jednak wrażenie, że to Pan zmienił się pod wpływem PiS-u. Stąd ten list otwarty, adresowany do wszystkich, którzy uważają, że jedynym sposobem poradzenia sobie z PiS-em jest działanie w stylu PiS-u.

W Pana publicznej komunikacji widać ostatnio wyłącznie resentment i agresję (oprócz zdjęć z psem, które są miłe). Schadenfreude, że Holowni i „Newsweekowi” spadło. Promowanie postów, gdzie ktoś wyzywa od Kaczyńskiego, od starych dziadów albo chce go przewijać po defekacji. I szantaż: kto nie z nami, ten przeciwko nam. I krucjata wobec „dziennikarzy symetrystów”.

Byłem kilka razy Pana gościem i poznałem Pański dziennikarski styl. Pytaniami naprowadzał mnie Pan, bym powiedział to, co Pan sam chciałby powiedzieć. Bo przecież nie wypada przeprowadzać wywiadu z samym sobą, prawda? Wtedy miałem wrażenie, że chce Pan mówić mną, teraz, gdy słucham Pana wywiadów, widzę, że chce Pan mówić swoimi gośćmi. To nie jest prawdziwa rozmowa, tylko zakamuflowana forma monologu.

Rozmowa to próba zrozumienia drugiego, nie manifestacja poglądów, z którymi zgadza się prowadzący. W TVP PiS ta zgodność jest całkowita. Czy tak powinno być

wszędzie? Czy rozmowa ma być jak wystawienie pacynki? Być może stąd tyle Pana zarzutów, że politycy PiS-u są wciąż zapraszani do TVN. I oni, i Pan traktujecie to nie jako zaproszenie do rozmowy, bo w nią nie wierzycie, ale jako danie przestrzeni do szerzenia prawdy/propagandy (zależy, kto i z której strony patrzy). Tak rozumiane zaproszenie to oczywisty sabotaż: promowanie idei przez promowanie (złego) człowieka.

Ale to jest dziennikarstwo zakazane PiS-em. Każdy z nas wie, kto się sprzedaje władzy, a kto po prostu myśli inaczej niż Tusk. Atakowanie dziennikarzy (nie funkcjonariuszy TVP) daje tylko poczucie, że trwa wojna wszystkich ze wszystkimi i walka klas się zaostrza. Mądrzy ludzie widzą różnicę między redaktorem Piaseckim a redaktorem Kolanką, a głupich i tak Pan nie przekona, że tej różnicy nie ma. A problemem są tacy jak Kłeczek.

Czasami myślę, że idealny dziennikarz według Pana jest jak bohater filmu granego przez Eddiego Murphye’go, który pod wpływem zaklęcia może do końca życia wypowiedzieć tylko 1000 słów, więc aby je oszczędzać, używa gadających zabawek. Zaklęcie nie daje się oszukać – mówi zabawka, ale słowo zostaje zaliczone Eddie’mu. Bo to jest jego słowo, nie narzędzia, które uruchomił.

Kiedy słucham tych szantażujących wezwania do udziału w marszu, myślę sobie, że tak jak chce Pan ludzi mówić, tak teraz chce Pan nimi maszerować. Coś podobnego robi z ludźmi Kaczyński. On też chce każdego Polaka uczynić na swój obraz i podobieństwo, żeby nie było już poznania, czy Ślązaka, tylko zjednoczeni w PiS-ie. Chce, żeby wszyscy bali się tego, co niepolskie, jak on, żeby obawiali się geja, Niemca i cyklisty. To jest tendencja totalitarna – zmusić świat, by był po mojemu. Ona nigdy się nie spełnia, ale są ludzie, którzy ciągle próbują. Czy Pan też chce, by wszyscy byli Tomaszami Lisami – myśleli jak Pan i robili to, co Pan?

Kiedy nominowałem Pana do udziału w Hot 16 Challenge, nie miałem wizji tego, o czym Pan zarapuje. Zrezygnował Pan ostatecznie z udziału. Gdybym był zarażony pisowskim nowotworem duszy, zacząłbym myśleć, że sabotuję Pan ważną inicjatywę, że staje Pan po złej stronie. A przecież mógł Pan mieć jakiś dobry powód, by tego nie robić. Powie Pan, że rapowanie dla służby zdrowia nie daje się porównać z tym marszem. Pewnie tak, ale samym marszem z PiS-em się nie wygra, a szukanie zdrajców w swoim obozie nie jest obiecującą strategią na zwycięstwo.

Niepisowska wizja Polski to wizja, w której każdy ma prawo wybrać, jak chce zwalczać PiS, a nawet czy chce go zwalczać. W której to, czy pójdzie na marsz, czy też nie, jest jego wyborem, i ma prawo go dokonać w wewnętrznej wolności. Dlatego chcę wziąć udział w tym marszu nieszantażowany, że jeśli nie wezmę, to jestem za PiS-em. Bo nie jestem, a taki szantaż to ich styl, stosowany na przykład w czasie głosowań: jak nie zagłosujesz za ustawą, toś zdrajca i ruski pacholek, którego ścigać będzie teraz specjalna komisja.

W tym marszu trzeba pójść, żeby się odróżnić od PiS-u i ich wizji ujednoczenia świata na wzór lidera. Nie po to, żeby taką wizję powielić. Ktoś powie, że są teraz sprawy ważniejsze niż podnoszenie takich kwestii. Nie ma – jeśli sami nie nauczymy się nie być PiS-em, PiS będzie tu zawsze. Pozdrawiam serdecznie! ●

PS Ten felieton powstał już po aferze z wpisem Redaktora na temat Dudy i Kaczyńskiego. To była wpadka, za którą Tomasz Lis przeprosił. Ten felieton jest poświęcony problemowi ważniejszemu, bo systemowemu.

Zawsze w ogniu jakiejś bitwy

Po co Sikorski to publikuje? Z jakiego powodu taki masochizm? O co mu chodzi?

Paweł Wroński

W kabulskim zoo po zdobyciu miasta przez mudżahedinów jedna z dwóch żyjących tam małp salutowała w radzieckim stylu, niedźwiedź cierpiał z powodu dwóch ran postrzałowych, a sęp kuśtykał ranny po wybuchu pocisku z moździerza. Słonia rozzerwał granat, bo jak głosiła plotka, żołnierz w czasie bitwy wziął go za czołg.

W szpitalu dla psychicznie chorych niewielu pacjentów przetrwało, opalali się, gdy obok spadały rakiety. Dziewczyny opowiadały dziennikarzowi o gwałtach, ale bały się powiedzieć o nich własnemu ojcu. Jeden z samolotów, którym radzieccy dyplomaci usiłowali wymknąć się z Kabulu, został trafiony rakietą.

Radek Sikorski, były już wiceminister obrony i nadal korespondent wojenny z Afganistanu, opisuje w „The Times Magazine” krajobraz po bitwie – miasto w roku 1993 po wkroczeniu mudżahedinów. Obserwując spory między różnymi frakcjami, próbuje wybuch kolejnej wojny.

Zbiór artykułów Radosława Sikorskiego opublikowany niedawno nosi tytuł „W okopie, w redakcji, w ministerstwie”. Tytuł mało nośny i chyba lekko mylący. Sikorski zdaje się być zawsze w okopie, w ogniu jakiejś bitwy. Trzeba przyznać, że czasem, w odróżnieniu od innych polityków, potrafi z okopu wyjść i rozejrzeć się, zamiast obrzucać przeciwnika granatami. Widać jednak, że zarówno w polityce, jak i w publicystyce lubi starcie i ryzyko.

W rozmowie z Grahamem Greene’em, wybitnym angielskim pisarzem i byłym agentem służb specjalnych, przypomina, że ten w młodości kupił sobie rewolwer, wsadził jedną kulę i sam ze sobą zagrał w rosyjską ruletkę. Z nudów? Nie. Po to by sprawdzić, „jak to jest”.

Wygląda na to, że Sikorski też nieustannie sprawdza, „jak to jest”. W Afganistanie, w Angoli, w rozmowach z najważniejszymi ludźmi tego świata. Spotyka na swojej drodze osoby nietuzinkowe. Np. Andy’ego Skrzypkowiaka – operatora, byłego żołnierza SAS, który dla dobrego ujęcia wybrał przed tunelem obok przełęczy Salang takie miejsce, że niemal przejechał go radziecki czołg (zamordowali go ludzie Gulbuddina Hekmatjara, afgańskiego watażki). Czy politologa Leopolda Łabędzia, chodzącą bibliotekę na temat Rosji, z którego wiedzy i zdolności analizy korzystali najwięksi zachodniego świata.

Zbiór rozpoczyna seria tekstów pisanych przez Sikorskiego – wiceministra obrony w rządzie Jana Olszewskiego; szefem MON był wówczas Jan Parys. Autor to w tym czasie nadzieja prawicy, człowiek, z którym Łukasz Warzecha przeprowadził wywiad rzekę „Strefa zdekomunizowana”.

Przypomnijmy, że jeszcze w 2005 r. Sikorski – minister obrony narodowej PiS-u – został Człowiekiem Roku „Gazety Polskiej” (nagrodę potem oddał), a w PiS-ie uważany był za idealnego kandydata na prezydenta po Lechu Kaczyńskim. Kto wie? Gdyby prezydent nie zginął w Smoleńsku, wygrał wybory po raz drugi, a Sikorski dotrwał w swoich poglądach do 2015 r.?

Wychwała Olszewskiego, krytykuje ekipę Tadeusza Mazowieckiego i domaga się rządzenia dekretami. Osobliwie rozjeżdża Adama Michnika jako twórcę w jego przekonaniu „postkomunistycznego układu”, który nie wiadomo dlaczego ostrzegł Polskę przed nacjonalistyczną, radykalną prawicą. Z pełnych uwielbienia pytań w wywiadzie z Margaret Thatcher można wynioskować, że jest zwolennikiem neoliberalizmu w starym stylu.

Teraz stwierdza, że do niektórych osób, np. Michnika, stosunek radykalnie zmienił,

że niektórych tekstów ponownie by nie napisał.

„Nie Kocham już Thatcher, nie cytuję Reagana, ale »byłem głupi« nigdy panu nie powiem” – mówił dwa lata temu Grzegorzowi Sroczynskiemu, który go usiłował (raczej bez powodzenia) przekonać, że interwencjonizm państwowy to najlepsze, co się może Polsce i światu zdarzyć. Tak, z tym samym Sroczynskim, który go obecnie lokuje w gronie internetowych hejterów.

Po co w takim razie te teksty publikuje? Z jakiego powodu taki masochizm? O co mu chodzi?

W jakiej mierze odpowiedź na to daje kilka artykułów Sikorskiego napisanych już po doświadczeniach rządów tzw. drugiego PiS-u. W 2017 r. w rozmowie z Łukaszem Pawłowskim oświadcza, że „polska prawica zwaśniła”.

Kto wie, może Sikorski dokonuje autowiwisekcji? Bo to jest w zasadzie opowieść o tej części polskiej prawicy, z początku lat 90. prozachodniej, proatlantyckiej, modernizacyjnej, która stojąc przed wyborem: rozsądek czy Jarosław Kaczyński i władza, wybrała to ostatnie. Tej prawicy, której bronili przed Michnikiem, pisząc ironicznie w 1997 r. w „Życiu” kierowanym przez Tomasza Wołka, że to „oszołomy” spod znaku Jana Olszewskiego wywalczyły NATO. Tyle że to nie „oszołomy” wprowadziły ostatecznie Polskę do NATO, tylko prezydent Aleksander Kwaśniewski, premier Jerzy Buzek, a traktat waszyngtoński podpisywał Bronisław Geremek.

Sikorski w swojej publicystyce jest uczciwy. Nie stosuje formułki: ja się nie zmieniłem, to świat się zmienił. Mówi, że owszem, on też się zmienił. Pokazuje jednak, że polska prawica mentalnie uzależniła się od Jarosława Kaczyńskiego. Polityka, owszem, biegłego w grze parlamentarnej i w narzucaniu psychologicznej presji, ale tragicznie niekompetentnego. Takiego, który nie ma pojęcia o świecie, Europie, poruszającego się zgodnie z propagandowymi kliszami, które sam tworzy.

Polska prawica z nieznanym powodów stała się wsobna, antyeuropejska i obskurancka. Środowisko polskich, ale i europejskich konserwatystów, żywe intelektualnie, w dużej części obumarło i zamknęło się albo w kruchcie, albo w świecie własnych fobii. I nie jest przypadkiem, że Władimir Putin, szukając naturalnego sojusznika dla swojej antyeuropejskiej idei, zwrócił się właśnie ku niemu.

„Prawicowy bolszewizm to nie konserwatyzm” – mówi Sikorski i wskazuje, że zamiast nowoczesnej Bawarii – tworzony za czasów Franza Josefa Straussa – polska prawica proponuje Polskę podobną do Portugalii Salazara lub Słowacji ks. Tiso.

„Jarosław Marek Rzymkiewicz uważa, że dobrym Polakiem jest się tylko wtedy, gdy popełnia się szlachetne samobójstwo. Ja uważam dokładnie odwrotnie” – stwierdza wiceminister obrony w rządzie Jana Olszewskiego, minister obrony w rządzie Kazimierza Marcinkiewicza i Jarosława Kaczyńskiego, minister spraw zagranicznych w rządzie Donalda Tuska. ●

Radosław Sikorski, „W okopie, w redakcji, w ministerstwie”, tłumaczenie tekstów anglojęzycznych Łukasz Pawłowski, EPP, 2022



Niespodzianka w Radomiu

Wbrew marzeniom aktywistek ze Strajku Kobiet kobiety nie traktują Kościoła jako wroga.

Magdalena Czyż

W zeszłym tygodniu niespodziewanie dla siebie znalazłam się w kościele. W rocznicę śmierci mojej babci ciocia, jedyna zadeklarowana katoliczka w rodzinie, zamówiła mszę i nie mogąc odmówić siostrze, mama wymusiła na mnie przyjazd do Radomia i uczestnictwo w nabożeństwie. Chyba obawiała się, że nikogo oprócz niej i jej siostry na tej mszy nie będzie.

Tymczasem w środku tygodnia kościół został wypełniony w więcej niż połowie. W stosunku mniej więcej, na oko: 80 procent kobiet do 20 procent mężczyzn. Radom to nie jakaś zapyziała wiocha na krańcu Polski (choć wielu jego mieszkańców tak o swoim mieście myśli), tylko spore miasto w centrum kraju. O tej przewadze kobiet wspominam nie przypadkiem, bowiem wbrew marzeniom aktywistek ze Strajku Kobiet dowodzi to, że kobiety w ogromnej swojej liczbie nie traktują Kościoła jak wroga. Gdyby było inaczej, struktura frekwencji na tej zwyczajnej mszy nie rozkładałaby się 8 do 2. Chciałabym, żeby tak nie było, ale empiria pokazuje, że tak jest.

Oczywiście to nie jest żadne badanie socjologiczne. Nie można na podstawie tak małej próbki wyciągać wniosków o całości. Niemniej to cinną aktywność na powietrzu, sporo mieszkańców jednej z dzielnic niemałego miasta postanowiło spędzić w kościele. I to jednak daje do myślenia.

Na szczęście nie tylko mnie. Gdy tumany kurzu wzbite przy okazji wyciągnięcia na światło dzienne faktów o dalece niesatysfakcjonującym zachowaniu Jana Pawła II w sprawie pedofilii w Kościele zaczęły opadać, odzywały się głosy rozsądne i zrównoważone.

Jednym z tych głosów jest tekst Stefana Chwina w sobotnim „Wolnej Sobocie” o prowokacyjnym tytule: „Jeśli jutro w Polsce zniknął katolicyzm, co by nam zostało”. Zasłużonemu pisarzowi udało się wychwycić chyba wszystkie wątki przetaczającej się przez kraj dyskusji o polskim katolicyzmie i odnieść się do nich. Rzadko, zdecydowanie za rzadko zdarzają się w polskiej publicystyce takie teksty.

Nie zgadzam się z Chwinem, gdy pisze, że „to właśnie chrześcijańska barwa sprawiła, że po upadku komunizmu nie doszło w Polsce do krwawych rytuałów zemsty, że dawni wrogowie potrafili uścisnąć przy wspólnym stole i podać sobie ręce, w czym Kościół odegrał ważną rolę”. To nie chrześcijaństwo zakorzenione w tym społeczeństwie, ale ówczesna słabość władzy i słabość Solidarności pozwoliły na pokojową transformację. Gdyby któraś ze stron konfliktu czuła się dostatecznie silna, bez wahania użyłaby siły wobec strony przeciwnej. Nie ma takiej władzy ani takiego społeczeństwa, które chrześcijaństwo jako zbiór zasad etycznych powstrzymałoby przed agresją, która w jego przekonaniu przyniosłaby mu korzyści. Historia dwóch tysięcy lat w chrześcijańskim świecie świetnie to pokazuje.

W co najmniej kilku innych wątkach również się z Chwinem nie zgadzam, ale przynajmniej wiem, że jest sens z nim o tym rozmawiać. W przeciwieństwie do tych, co potrafią tylko głośno wrzeszczeć i na Kościół pluć.

Łączy mnie natomiast z Chwinem myśl zasadnicza: rozmyślania o tym, jak „zaorać” Kościół w Polsce, uważamy za niepoważne i bezplodne. Lepiej skupić się na tym, jak go unieszkodliwić w dosłownym tego sensie. Czyli zmienić tak, aby nie przeszkadzał w zdrowym rozwoju społeczeństwa. Ale tego dokonać mogą tylko katolicy, którzy zdobędą się na odwagę i głośno zareagują, gdy ksiądz podczas kazania będzie mówił o miniówkach Tiny Turner, a nie o Ewangeli. Nie robi tego nikt, kto nie chodzi do kościoła. ●

Nie ma takiej władzy ani takiego społeczeństwa, które chrześcijaństwo jako zbiór zasad etycznych mogłoby powstrzymać przed agresją

wyborcza | magazyn wyborczej WOLNA SOBOTA

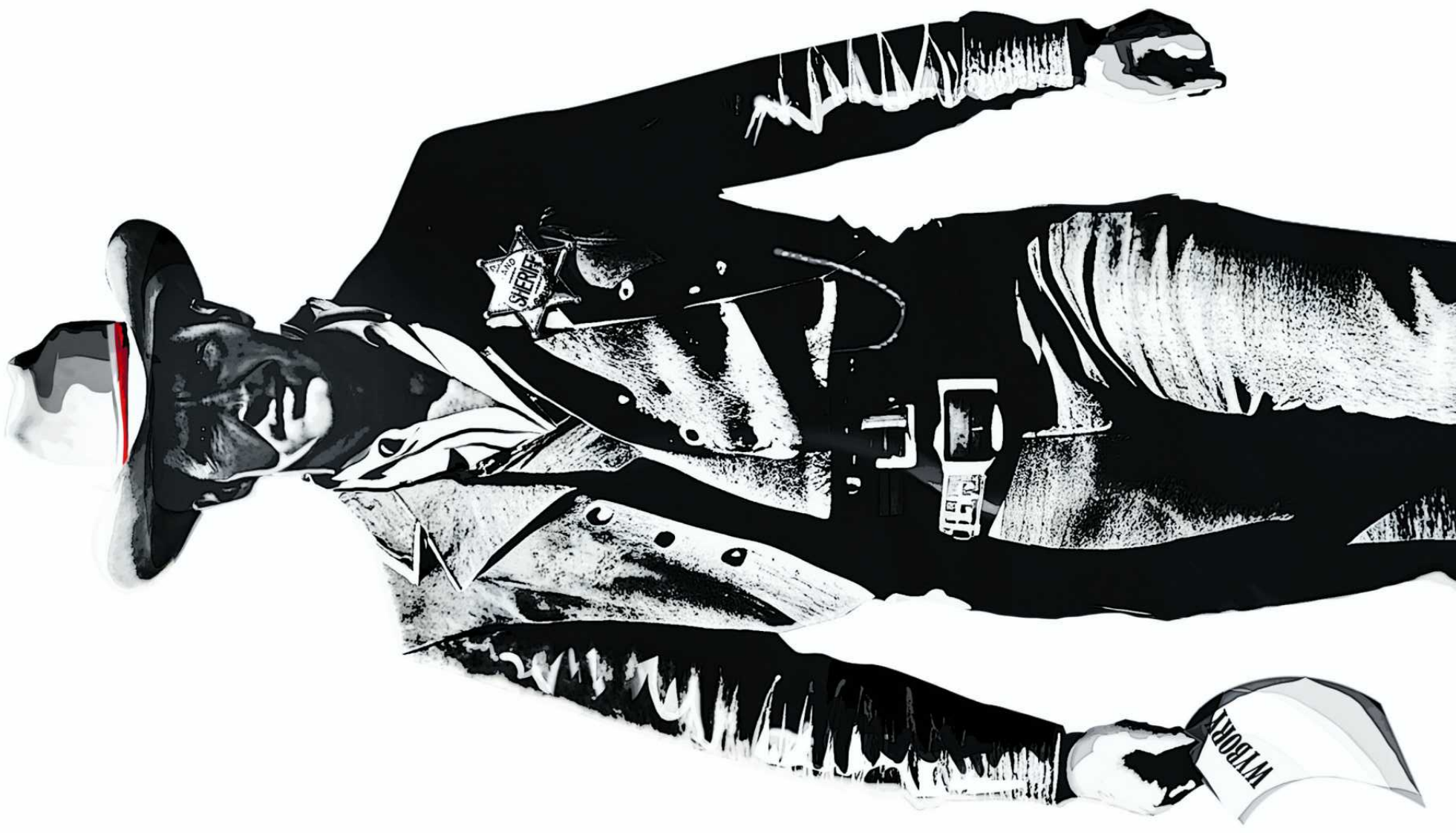
REDAKCJA:
ul. Czerna 8/10, 00-732 Warszawa
Telefon: 22 555 66 00;
E-mail: redakcja@wyborcza.pl
Listy do redakcji: listy@wyborcza.pl
Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo ich redagowania i skracania.
Wnioski i pytania w sprawie ochrony danych osobowych: iod@agora.pl
REDAKTOR NACZELNY:
Adam Michnik
PIERWSZY ZASTĘPCA:
REDAKTOR NACZELNY WYBORCZA.PL: Jarosław Kurski;

ZASTĘPCY: Piotr Stasiński, Mikołaj Chrzani, Roman Imielski, Aleksandra Sobczak, Bartosz T. Wielński
WOLNA SOBOTA: Mirosław Maciowski (szef), Marek Markowski (zastępca), Ewa Wiecezorek, Marcin Kącki, Jan Cywiński
GRAFICY: Dariusz Filippek (prowadzący), Tomasz Lebioda, Jacek Konarowski
FOTOEDYCJA: Rafał Szczepankowski
WYDAWCA: Agora SA, ul. Czerna 8/10, 00-732 Warszawa;
NIP: 526-030-56-44
Biuro reklam i ogłoszeń:
reklam@agora.pl; 22 555 55 55, faks: 22 555 54 44

DYREKTOR WYDAWNICZY:
Wojciech Bartkowiak
DRUK: Agora SA

Rozpowszechnianie redakcyjnych materiałów publicystycznych bez zgody wydawcy jest zabronione.







4 CZERWCA
1989-2023
W SAMO POŁUDNIE

■ wyborcza.pl

PRZYKLEJ NA DYKTE, IDŹ NA MARSZ

ILUSTRACJA IGOR MORSKI, WEDŁUG POMYSŁU TOMASZA SARNECKIEGO

NIE WZYWAJCIĘ KARETKI, PLEASE

Sudańczyk w podlaskim lesie już nikogo nie dziwi. Teraz dziwi, jak nie ma ran i siniaków

Joanna Klimowicz

Dzień dobry, kontrola migracyjna – strażnik graniczny wsadza głowę do auta, sprawdza karnację kierowcy i pasażerów. Przez cały długi majowy weekend patrol stoi na krzyżówce trasy z Białowieży do Bud z drogą Narewowską. Do Puszczy Białowieskiej przyjechało sporo turystów. Wędrują, podziwiają piękno prastarego lasu. Równoległe do szlaku szybkim krokiem przemieszcza się 10-osobowa grupa z małymi plecakami, za chwilę dwie kolejne. Nie zwracają uwagi na przyrodę. Prowadzi ich przewodnik, do punktu, gdzie czeka kierowca.

Jeśli będą mieć szczęście, dziś jeszcze dotrą do upragnionej Europy. Do któregoś z krajów, gdzie człowiek w mundurze pozwoli im złożyć wniosek o azyl i gdzie urządzi się już część rodziny.

Jeśli nie, zostaną wypchnięci przez bramkę dla zwierząt w granicznym pło-

cie, przy akompaniamencie wrzasków: „Go to Belarus!”. Przez paczkomat, okno życia – jak śmieszkuje pogranicznicy.

Białorusini pobiją, okradną i każą iść do Polski, podkopem albo górą, drabinami. Zanim znajdzie się pomysł na dalszą drogę, będzie trzeba koczować w Puszczy, owinąć się we wszystkie ubrania, a twarz ukryć w faldach kaptura i szalika, żeby komary nie zjadły. I liczyć, że wysłana wiadomość z pinezką i błaganiami o pomoc zaowocuje odwiedzinami lokalnych aktywistów, uginających się pod ciężarem plecaków z wodą i jedzeniem.

Ci są coraz bardziej zmęczeni. Majówkę wspominają jak horror: – Pod każdym krzykiem człowiek.

BIAŁORUSINI KIERUJĄ RUCHEM

Przez dwa majówkowe dni pod granicznym płotem – tyle że po tamtej stronie, ale wciąż polskiej (jeszcze 1,2 metra jest na-

sze) – 31-letni mężczyzna z Afryki Subsaharyjskiej z urazem nogi pólży, opierając się o przęsła. Polscy strażnicy każą mu iść dalej, w głąb Białorusi. On nie może się ruszyć. Leje deszcz, temperatura spada. Dziewczynom ze stowarzyszenia Egała udaje się wydebić przekazanie mu kanapek, herbaty, śpiwora i suchego ubrania.

Opisują: – Przed pushbackiem był w polskim szpitalu, miał RTG, noga została opatrzona, po czym zabrała go SG.

Po burzy medialnej udaje się go zabrać do szpitala.

Małgorzata Rycharska z Hope & Humanity Poland zauważa, że 9 maja Białorusini dobitnie pokazali, że potrafią kontrolować ruch: – Nie chcieli mieć problemów na Święto Zwycięstwa, więc sobie wyczyścili przygraniczny pas. W dwa dni wypchnęli do Polski około 300 osób. Jednocześnie nie dopuszczali nowych, ustawili blokady na drogach 40 km od granicy.

Białoruski szlak nie jest niczym nowym, ale dopiero latem 2021 został otwarty na wielką skalę. Łukaszenka, z inspiracji



FOT. AGNIESZKA SADOWSKA / AGENCJA WYBORCZA.PL

Kremla, zapraszał do odwiedzenia Białorusi, oferując wizy i obietnicę łatwego przekroczenia unijnej granicy. Cel – zarobek i zdestabilizowanie UE w odwecie za sankcje po sfałszowanych wyborach. Od tamtego czasu przez granicę przeszły dziesiątki tysięcy ludzi. Po tym, jak loty z Bliskiego Wschodu do Mińska zostały wstrzymane, zimy poprzednia i ostatnia były spokojniejsze, ale od nowego roku ruch przejął Moskwa.

Migranci wyrabiają krótkoterminowe wizy turystyczne do Rosji, skąd organizują sobie transport przy pomocy szmuglerów, do Mińska i dalej. Tak to wyglądało zimą i przez całą wiosnę. Lecz ostatnio znów grupy pojawiły się w Białorusi, np. z Indii, z 10-dniowymi wizami białoruskimi. Białoruskie służby kierują migrantów na granicę z Łotwą i z Polską.

Pod naszą według szacunków Hope & Humanity Poland może znajdować się kilkaset osób. Najwięcej z Syrii. Ostatnio niemiecki „Bild” donosił, że w Turcji jest około 4 mln uchodźców z Bliskiego Wschodu, w tym 3,6 mln Syryjczyków. Według Rycharskiej nie ma znaczenia to, co mówią ludziom szmuglerzy – oni będą próbować wykorzystać szansę na lepsze życie, dopóki jakakolwiek istnieje. – To tylko nasze myślenie, że kogoś zniechęci, że młody człowiek zmarł w lesie. Na pewno nie ludzi z Syrii, którzy mają wojnę od 12 lat i widzieli już tyłu zmarłych.

PRZED KARETKĄ JEDZIE STRAŻ GRANICZNA

Pod polską granicą są kobiety, także w ciąży, i rodziny z dziećmi. Przedostają się mężczyźni, bo im łatwiej pokonać 5,5-metrowej wysokości metalowy płot, zwieńczony koncertiną, naszpikowany elektroniką i stale patrolowany. Przechodzą, ale łamią ręce i nogi, kaleczą się o ostrzowy drut. Poranieni i wycieńczeni błagają aktywistów, by nie wzywali karetki, bo za nią zawsze gdzie Straż Graniczna.

58-letni pan Mohammad spadł z granicznego muru, miał rozszarpany mięsień i tętnicę. Jego żona Fatima nie przyjechała na pogrzeb, bo polski konsul w Syrii nie przyznał jej wizy

Gdy Joanna Sarnecka dotarła do tamtych trzech, napisała w mediach społecznościowych: – Przypomniałam sobie „Tróję Świętą” Rublowa. Trzej aniołowie, kwadraty, koła – symboliczna przestrzeń przeświecona nieskończonością. I droga do Emaus mi się przypominała: „Zostań z nami, gdyż ma się ku wieczorowi i dzień się już nachylił”. To był poranek, ale coś jest w ogólnej atmosferze z wieczora, jakby nad światem powoli gęstniała noc.

Beata Siemaszko z Grupy Granica opowiada o interwencji z 19 maja, która trwała aż 10 godzin. Tym razem nie udało się uniknąć wezwania karetki – kolano młodego chłopaka było obrzmiało albo po upadku z muru, albo po pobiciu prętami przez Białorusinów. Wdał się stan zapalny, nie pomagała kroplówka. – Przyjeżdża karetka, ale przed nią oczywiście Straż Graniczna. W lesie jeden z mundurowych mówi cicho: „Nie przeżyłby bez pomocy”. Rzadko słyszę choć odrobinę współczucia od SG.

Potem godzinami warowała w szpitalu, żeby uchronić chłopaka przed kolejną wywózką.

Internautka Izabela emocjonalnie zareagowała na jej post: „A gdzie ci wszyscy, którzy powtarzają za Turskim: nie bądźmy obojętni. Gdzie UE, gdzie wartości chrześcijańskie? Janka Ochojska i tacy ludzie jak ty Beata zostaliście sami. Auschwitz nie spadło z nieba”.

Ziemkiewicz proponuje wpierdol

Jednak taki komentarz to rzadkość. Przeważają pracowicie przeklejące za szablonu: „Wylapywać i wywozić do Łukaszenki wszystkich NIELEGALNYCH imigrantów. Co do jednego! Przepustką do Unii jest paszport i wiza, a nie Łukaszenka Travel i skok przez płot”.

Od czasu do czasu do tematu wracają prawnicze media. W połowie kwietnia Rafał Ziemkiewicz („Do Rzeczy”) za-twitował: „Kaźdemu nachodźcy przed wypchnięciem z powrotem do Łukaszenki powinno się spuszczać taki wpie*dol żeby mu się odechciało nawet myśleć o kolejnej próbie”. Gdy ktoś skomentował: „To już lepiej zrobić porządek z Grupą Granica”, gwiazdor prawicy przyznał skwapliwie: „Im też, oczywiście”.

Prawnik Kamil Syller, mieszkający na pograniczu i zaangażowany w niesienie pomocy humanitarnej, złożył zawiadomienie do Prokuratury Okręgowej w Warszawie, ta odmówiła wszczęcia dochodzenia. Syller nie poddaje się, składa zażalenie.

Od początku kryzysu humanitarne-go rozkłada na czynniki pierwsze wszystkie przypadki rozmontowywania systemu prawnego przez rządzących, a jednocześnie idzie z plecakiem do lasu. Zauważa: – Człowiek z Sudanu w podlaskim lesie – to już nic dziwnego. Niepobity, bez ran – to już trochę dziwni. Do tego doszliśmy...

Zimą uczestniczył w poszukiwaniach zaginionych migrantów. Przypomniała mu się tamta trauma, gdy media obiegiło szaleństwo „objawienia” na drzewie w Parzewie. – Pareidolia, zjawisko dopatrywania

tam bagien ani rozlewisk. Syryjczycy zmarznięci tak, że mieli problem z poruszaniem się, również byli niedaleko.

OGRYZIONE KOŚCI I ZEGAREK

Od początku kryzysu humanitarne-go dziś, według danych Helsińskiej Fundacji Praw Człowieka i Grupy Granica, po obu stronach granicy zmarło co najmniej 45 osób. Statystyka oparta jest na odnalezionych ciałach, doniesieniach prasowych, relacjach służb czy popartych dowodami relacjach bliskich. Najczęstsze przyczyny zgonów – utonięcie lub wyziębienie.

Ostatnie doniesienia to zwłoki wyłowione 24 maja z granicznej rzeki Świsłocz, w rejonie Łosinian w gminie Krynki. Młody, o ciemnej karnacji mężczyzna, obwiązany liną, plecak, na nogach gumowce, jeden but zgubił. Ciało leżało w wodzie około dwóch miesięcy. Twarzy nie da się zidentyfikować. Jak ustaliliśmy, po drugiej, białoruskiej stronie rzeki, w płytkim trzcinowisku dryfują prawdopodobnie zwłoki dwóch kolejnych osób.

Grubo ponad miesiąc temu tego człowieka szukało Podlaskie Ochotnicze Pogotowie Humanitarne, które wyspecjalizowało się w takich działaniach. Zgłosili policji miejsce, gdzie może znajdować się zmarły, ale wówczas poszukiwania nie dały rezultatu.

Chłopak ze Świsłoczy jest 45. ofiarą. 44. pogranicznicy sami dostrzegli 6 maja po białoruskiej stronie, na wysokości Narewki. 43. był 58-letni Syryjczyk. Pan Mohammad spadł z granicznej zapory, dotkliwie się poranił, miał rozszarpaną nogę: mięsień i tętnicę, stracił dużo krwi. Przez prawie trzy tygodnie walczył o życie w Uniwersyteckim Szpitalu Klinicznym w Białymstoku. Zmarł 23 kwietnia. Polski konsul w Syrii nie przyznał wizy jego żonie Fatimie – ani by mogła być przy umierającym, ani by mogła przyjechać na pogrzeb.

Luty i marzec były ciężkie dla aktywistów. Najpierw szukali Mahlet, młodej Etiopki. Znaleźli ją 12 lutego po tygodniowych poszukiwaniach Katarzyna Mazurkiewicz-Bylok i Piotr Czaban z POPH.

Bardzo przeżyli tę śmierć, ale momentalnie zabrali się do organizowania kolejnych poszukiwań – Abdulkareema z Jemenu, który na początku stycznia odłączył się od grupy po przekroczeniu granicy. 16 lutego około 20 osób przeczesywało tyralierą Puszczę Białowieską w okolicy Czerlonki. Był w tej grupie. Nigdy nie zapomnę widoku ludzkiej głowy i szkieletu. To akurat nie był Abdulkareem, tylko mężczyzna z Etiopii.

21 marca Mariusz Kurnyta, aktywista znany jako Człowiek Lasu, także związany z POPH, Kasia Mazurkiewicz-Bylok i prof. Rafał Kowalczyk z Instytutu Biologii Ssaków PAN w Białowieży odnajdują w rezerwacie ścisłym ciało 27-letniego Mohammada z Afganistanu, którego szukali od 20 lutego (za pierwszym razem dyrekcja Białowieskiego Parku Narodowego nie pozwoliła wejść ratownikom na teren, gdzie mógł być żywy jeszcze człowiek). Zaledwie trzy dni później, 24 marca, znów ekipa POPH – Piotr i Mariusz – podczas rutynowego patrolu niedaleko Starego Masiewa trafia na szczątki. Tylko kości w ubraniach, rozwleczone i ogryzione przez zwierzęta, wiszące na gałęzi zegarek, okulary – chyba męskie – zgaduje Mariusz.

18 kwietnia podczas patrolu Mariusz zobaczył nagie zwłoki uchodźcy rozciągnięte na polu kwitnących zawilców. Pierwsza myśl – „jak Jezus po zdjęciu z krzyża”.

KOŃCZĄ SIĘ HIPOTERMIE, ZACZYNAJĄ ODWODNIENIA

Pod koniec marca pikanie telefonów stawia aktywistów na nogi. Nie ma już mowy o poszukiwaniu martwych ciał, wszystkie

siły rzucają na odcinek niesienia pomocy humanitarnej żywym.

Jakub Wielgo z Grupy Granica, która niesie pomoc od późnego lata 2021, czyli samego początku kryzysu, przedstawia mi dane czarno na białym pokazujące, że ruch rośnie: od 20 do 26 kwietnia GG otrzymała prośby o pomoc od 105 grup (w sumie 434 osób), wśród których było 23 dzieci. Pomoc dotarła do 45 grup (291 osób), w tym pomocy medycznej udzielono 19. Najwięcej wśród proszących o pomoc było Syryjczyków (126) i Afgańczyków (99). Okres od 27 kwietnia do 3 maja to sygnały od 55 grup (223 osób) i pomoc, która dotarła do 148 osób, przede wszystkim z Syrii i Afganistanu. Od 4 do 10 maja GG niesie pomoc 134 osobom, tym razem oprócz Syryjczyków jest dużo osób z Somalii i Erytrei. Ostatni zliczony okres, od 11 do 17 maja, to wezwania od 55 grup (178 osób, w tym 13 dzieci); pomoc otrzymało 38 grup (130 osób, w tym 12 dzieci); interwencja medyczna uratowała 11 osób. Na pograniczu było prawie tyle samo Afgańczyków, Hindusów i Syryjczyków.

Andrzej Ochrymiuk podchodzi do sprawy pragmatycznie: – Kończą się hipotermie, zaczynają odwodnienia. Tak jak w ubiegłym roku.

Jako jeden z nielicznych pomagaczy mieszkających na pograniczu nie zrezygnował z pracy zawodowej, tylko jeździ pomagać po godzinach. Wspierają go żona i dzieci, włączając się przyjaciele – lokalni. Służby są na nich cięte, kontrolują auta, przeszkadzają, zniechęcają jak mogą – choć na lokalnych blachach i tak jest łatwiej. Co raz częściej słyszą od sąsiadów narzekania na mundurowych. Ponoć jakaś formacja pustoszyła sady, wycinając zimą ukradkiem drzewka owocowe, by ogrzewać się przy ogniskach. Do latających nad głowami helikopterów i widoku żołnierzy z bronią jakoś można przywyknąć. Tylko po co to wszystko? Nie słyszeli o ani jednym ataku migrantów na miejscowych. Zazwyczaj „tamci” są tak przestraszeni i umęczeni, że ledwo stoją na nogach. Rozmawiam z mieszkańcami Białowieży. „Teraz, kiedy trzeba nakarmić, napoić, pomogą wszyscy” – słyszę.

Andrzej wylicza rzeczy, z których regularnie opróżniają magazyny: – Woda, izotoniaki, materiały opatrunkowe, środki przeciwbólowe i odkażające. Ubrania letnie, ale nie takie, które wypadną po wietrzniu szafy, tylko przydatne w lesie. Bardziej miejskie przydają się w ośrodkach strzeżonych. I środki przeciw komarom i kleszczom, bo kiedy jeszcze idą, to pół biedy, ale kiedy osłabną i w krzakach czekają na pomoc, to pogryzieni są strasznie.

KACZYŃSKI: TO BYŁA WOJNA HYBRYDOWA

Straż Graniczna codziennie publikuje na Twitterze informacje, ilu „cudzoziemców próbowało dostać się nielegalnie do Polski”. Liczby wahają się od kilkudziesięciu do 150 osób pochodzących z 42 państw. Tyle że statystyki nie dają pełnego obrazu, bo nie uwzględniają osób, które zostały podane pushbackom bez żadnej ewidencji, bywa, że kilka razy odbity się od granicy, a w końcu udało im się osiągnąć cel. SG informuje także, że w tym roku przy granicy zatrzymano 323 pomocników i organizatorów nielegalnego przekraczania granicy. Jaka jest skala udanych działań przemysłowych? Nie wiadomo. Słyszeliśmy o przewodnikach, którzy po przeprowadzeniu grupy na polską stronę dają się pushbackować, korzystając z darmowej podwózki funkcjonariuszy.

SG nie tylko nie dysponuje danymi o szarej strefie migracji, ale wręcz zaprzecza jej istnieniu. Rzeczniczka Anna Michalska w rozmowie z Maciejem Chołdowskim z białostockiej „Wyborczej” przekonywała, że niczego takiego nie ma. Maciej pytał: jak to jest, że mimo zapory wciąż odnajdywane są w podlaskich lasach osoby

nieujęte w statystykach SG. Michalska odpowiadała: – Gdzie te osoby są? Co się z nimi stało? Myśmy tych osób nie widzieli. Czy takie osoby rzeczywiście przekroczyły granicę? Mamy monitoring na całej długości granicy. Czy to przy pomocy urządzeń stałych, czy mobilnych.

Propagandę sukcesu muru odtrąbił już przy wielu okazjach wicepremier i minister obrony narodowej Mariusz Błaszczak. W kwietniu podczas spotkania z żołnierzami i funkcjonariuszami w Gruszkach w powiecie augustowskim przekonywał: – Granica została utrzymana dzięki służbie funkcjonariuszy Straży Granicznej, żołnierzy Wojska Polskiego, dzięki współpracy służb.

27 maja w Kopczanach przy granicy poprawił sam Kaczyński: – To była wojna hybrydowa. Mur pozwolił zatrzymać ofensywę Putina i Łukaszenki przeprowadzoną za pomocą imigrantów.

Przekonywał, stosując czas przeszły, tak jakby problemu już nie było: – To pozwoliło na zatrzymanie tej ofensywy Łukaszenki i Putina przeciwko Polsce z użyciem ludzi, którzy nie byli uchodźcami, byli emigrantami ekonomicznymi, którzy uznali w pewnym momencie, że ta droga, droga przez Polskę, najpierw przez Białoruś, często przez Rosję, otwiera przed nimi jakieś perspektywy. Można powiedzieć, że teraz tereny przygraniczne i cała Polska jest bezpieczna.

STRAŻNIK WPADA DO WŁASNEGO PODKOPU

Kamil Syller przywołuje krążący w internecie mem: Putin dzwoni do Łukaszenki, że rakietą była za szybka i żeby przesłał do Polski coś wolniejszego, np. balon. Łukaszenka oddzwania i mówi, że balon wysłał, ale polskie służby też go zgubiły.

– Od razu pomyślałem o tych naszych podlaskich lasach pełnych uchodźców pokonujących „najbezpieczniejszą granicę w UE”. Z jednej strony – chciałbym żyć w kraju bezpiecznym i dlatego zależy mi na sprawnych, inteligentnie działających służbach, którym mógłbym kibicować. Z drugiej – śmiesz mnie i nawet dają jakąś dziwną satysfakcję te zenujące wpadki, kontrastujące z patosem i lukrem oficjalnej propagandy – komentuje Syller. – Kilka firm przykleiło sporo kasy za graniczny plot. Uchodźcy i migranci pokonują go po drabinach i pod spodem – jest nawet filmik ze strażnikiem granicznym wpadającym do zamaskowanego podkopu przy płocie. Flip i Flap... Nawet kilkuletnie dzieci pokonują granicę polsko-białoruską. Kto i dlaczego wymyślił, że lepiej jest wysłać porucznik Michalską, żeby mówiła, że wszystko jest pod kontrolą? Sensowniej byłoby poinformować opinię publiczną, że zaporą oraz strategią odstraszenia nie działają i że pora na sankcje dla Białorusi. Przecież społeczeństwo to zrozumie. To zadanie komendantów placówek SG – przekazywać, że trzeba zrobić więcej. Każdy woli jednak udawać, że radzi sobie wybornie. To smutne, że w polskim systemie bezpieczeństwa króluje malowanie trawy. Władza na granicy wywaliła miliardy złotych w błoto i wprowadziła do obrotu prawnego przepisy będące pomnikami amatorszczyzny i braku poszanowania ludzkiego życia. Nie było żadnych spotkań z miejscową ludnością i organizacjami pozarządowymi, wspólnego szukania lepszych rozwiązań, podejmowania prób współpracy, ratowania zaufania społecznego do osób w mundurach. Ale propaganda zadziałała – większość społeczeństwa uznała, że kryzys się skończył, nie ma już tam ludzi traktowanych jak rzeczy i nie dzieje się bezprawie.

Helsińska Fundacja Praw Człowieka razem z innymi europejskimi organizacjami 24 marca wezwała władze do zaprzestania działań skutkujących zaginięciami oraz śmiercią migrantów na granicach.

HFPC powołuje się m.in. na wyroki sądów krajowych, które potwierdzają, że mi-

granci są zwracani do Białorusi w sposób zbiorowy, bez należytej oceny ich indywidualnej sytuacji, weryfikacji tożsamości czy wprowadzenia ich danych do rejestrów. I to w sposób, który może narażać ich życie i zdrowie. – Takie działania są nie tylko wysoce niehumanitarne, ale również sprzeczne z prawem międzynarodowym – punktują obrońcy praw człowieka.

GDZIE JEST OPOZYCJA

Tego samego zdania jest dr Hanna Machińska, wieloletnia zastępczyni rzeczniczka praw obywatelskich, na którą zarówno uchodźcy, jak i ludzie pomagający na granicy zawsze mogli liczyć. W rozmowie z Marią Książak, psycholożką z fundacji Międzynarodowa Inicjatywa Humanitarna, podczas niedawnej Nocy bez Granic w Warszawie (video upublicznił na kanale „Czaban robi raban” dziennikarz i aktywista Podlaskiego Ochotniczego Pogotowia Humanitarnego Piotr Czaban), opowiadała, jak interweniując w podlaskich lasach, była wściekła i wściekłość tę wykorzystywała do działania. Jak nasuwały jej się opowiadane przekazy z getta. Wspominała dwóch mężczyzn przykrytych liśćmi, którzy rzucili się całować jej buty, kiedy zorientowali się, że to nie wywózka, tylko pomoc.

– Doprowadziliśmy do takiego upodlenia ludzi, do takiego naruszenia godności, że ja się dzisiaj wstydzę. Polska przechodzi do historii jako państwo opresji – mówiła. A także o odpowiedzialności („Przyjdzie moment rozliczenia”, „Rozpocznie się proces zindywidualizowanej odpowiedzialności”) i o tym, że odpowiedzialne są: propaganda, prawo i praktyka.

■
16 lutego w Puszczy Białowieskiej – głowa i szkielet.

24 marca – ogryzione kości i zegarek.

18 kwietnia – nagie zwłoki wśród zawilców.

24 maja – chłopak bez twarzy, po dwóch miesiącach w rzece.

Kaczyński: Mur pozwolił zatrzymać ofensywę Putina, granica została utrzymana

– Propagandy nie zmienimy, ale możemy stworzyć prawdziwy przekaz. Najtrudniejszy do osiągnięcia jest efekt prawny. Dzisiaj jesteśmy zakleszczeni, bo mamy rozporządzenie i ustawę, na podstawie których dokonuje się masowych wywózek. Co można zrobić z rozporządzeniem? Zaskarżyć do Trybunału Konstytucyjnego – tu Machińska gorzko się uśmiecha – czyli piszcie na Berdyczów. Ale to, co mnie bardzo martwi, to milczenie opozycji w tej sprawie. Nikt nie chce zajmować się tym problemem.

IDZIECIE DO POLSKI ALBO UMIERACIE

W drugiej połowie maja do lasu wychodzą aktywistki z fundacji Bezkrzes. W taki teren, że szły 7,5 godziny, choć do pokonania miały 5 km w linii prostej, realnie ponad 10. Docierają do grupy z Somalii: dwóch kobiet i mężczyzny. – Kobiety spadły z plotu. Wcześniej zostali pobici i okradzeni przez białoruskie służby. No-

WIERSZ POLECA ANDRZEJ ZAGOZDA

Nâzim Hikmet Ran*

Twarze naszych kobiet

*Maryja nigdy nie urodziła Boga.
Maryja tym bardziej nie była matką Boga.
Maryja była matką jak wiele innych,
Maryja stała się matką syna,
Dziecka Adama jak wiele innych.
Dlatego Maryja jest tak piękna we wszystkich swoich postaciach.
Dlatego ów syn Maryi jest nam tak bliski, jak nasz własny syn.*

*Twarze naszych kobiet stały się księgą zapisaną naszym bólem
każdym naszym bólem, całym naszym wstydem i przez nas przelaną krwią
wszystko to wryło bruzdy i twarze kobiet orało jak pługiem.*

*A nasze radości też odbijają się w oczach kobiet
jak świt, kiedy tu znowu rozbłyska na gładkich taflach jezior.
Nasze marzenia rozświetlają twarze kobiet, które kochamy,
widzimy, czy nie widzimy, są tu przed nami
naszych spraw najbliższej i także najdalej.*

1962

przetł. Tomasz Polak



*Nâzim Hikmet Ran – poeta turecki, ur. w 1902 r. w Salonikach, zm. w 1963 w Moskwie. Za swą działalność polityczną i literacką kilkakrotnie aresztowany. Od 1951 r. na emigracji w ZSRR, członek Biura Światowej Rady Pokoju. Autor poezji nawiązującej do twórczości ludowej, sztuk teatralnych, listów do żony uważanych za szczytowe osiągnięcie liryki mitosnej. Jeden z najlepiej znanych poza granicami swojego kraju tureckich pisarzy.

camy gnano ich na granice, a w dzień kazano spać, na ziemi, bez żadnego przykrycia. Służby ustawiały ich w szeregu, kazały pokazywać plecaki i zabierały niemal wszystko, co mieli. Nawet jedzenie. Potem bili pałkami. Całe nogi mieli pokryte wybroczynami. Nawet po silnym zastrzyku przeciwbólowym kobiety nie były w stanie przejść kilkunastu metrów.

Grupa pomocowa ze stowarzyszenia Egala streszcza interwencję u grupy z Egiptu: – Gdy opatrujemy ich bolące stopy okopowe, opowiadają historię podróży. Do strefy śmierci trafili na dwa tygodnie – utknęli między białoruską systemą a graniczną zaporą Polski. Od Białorusinów usłyszeli jasny komunikat: albo skutecznie przedostaną się do Polski, albo umrą w pułapce.

Fundacja Ocalenie podsumowuje zaledwie trzy majowe dni: cztery osoby w bazie, siedem wyjazdów do lasu. Aktywistki proszą, żeby nie wierzyć, kiedy ktoś mówi, że kryzys na granicy się skończył: – Mur nie powstrzymał migracji. Są za to strach, głód, pragnienie, okopowe stopy, zatrucia, rany i urazy kończyny. Są uściski, trzymanie za ręce, cichy śmiech w lesie, parująca zupa, świeże skarpetki, które sprawiają, że świat wydaje się lepszy, niż jest. I wieczorne wiadomości: „Thank you very much especially for all that you do not only for us but for the world”.

OD DNIA MATKI DO DNIA DZIECKA

Gdy Kaczyński fotografuje się na tle granicznego plotu w Kopczanach, na wysokości Białowieży o wpuszczenie do Polski błaga grupa ponad 20 osób. W niej matki i dzieci. Najmłodsza Mila ma półtora roku i buzię pogryzioną przez komary. Amal, mama dwóch synków, opierając się o metalowe przesłę zapory, śpiewa rzewną pieśń. Mały Mustafa dokazuje, ściąga mamie czapkę. Ahmet i Birhat mają 13 i 14 lat, są bez rodziców. Piękną kobietę z jasnymi włosami, w drugim miesiącu ciąży, przytula mąż. Kawthar z czarnym warkoczem boli zęb,

dziewczynka ma najbardziej nieszczęśliwą minę.

W Dniu Matki aktywiści i aktywistki nagłaśniają sytuację, apelują, by wpuścić ich do Polski (a właściwie: przepuścić przez furtkę, bo na terytorium Polski już są) i pozwolić złożyć wnioski o ochronę międzynarodową. Interweniuje obecny zastępca RPO Wojciech Brzozowski, na miejsce jadą przedstawiciele Biura RPO Agnieszka Szmajdzińska i Maciej Grzeszkowiak, a dr Machińska porównuje: – To sytuacja podobna do tej, z jaką mieliśmy do czynienia w Usnarzu Górnym. Apeluję do polskich służb granicznych: nie pozwólmy, aby doszło do tragedii.

Uchodźcze rodziny z Syrii i Iraku są znane aktywistom z Hope & Humanity Poland: uciekły przed prześladowaniami, na Białorusi przeszły niemało, są po pushbackach. Wyczerpane, głodne, spragnione.

Ludzie z Grupy Granica rozbijają obozowisko naprzeciwko zapory, tak blisko, jak tylko pozwala patrol SG. – Nie ruszymy się stąd, dopóki ich nie wpuszczą.

Dominika Ożyńska zna arabski, rozmawia z grupą, próbuje nie dać się emocjom. – Już tylko o nich się boję – przyznaje.

Marta Staniszevska wymyśla dzieciom zabawy, bębnią w metalowe fragmenty zapory jak w perkusję, przesyłają sobie serduszką ze złożonych rąk, dzieci krzyczą po angielsku: „I love you”, a dorośli z polskiej strony odkrzykują po arabsku: „Jesteśmy z wami”.

Śpiewają. „Polska jest moim bezpiecznym krajem” – rozbrzmiewa po arabsku i angielsku z tamtej strony plotu. „Chcemy azylu w Polsce”.

„Imagine all the people...” – intonuje Faustyn Drużycki, podchwytywają wolontariusze.

W tym czasie pod placówką SG w Białowieży za ludźmi zza plotu wstawiają się lokalni mieszkańcy, także najmłodszy: Gabi, Andi, Wojtuś. Trzymają w dłoniach kartony: „Jeden metr Polski to także Polska”, „Dzieci proszą o azyl w PL”.

Komentarze pod artykułami na ten temat: „Kiedy wreszcie plot zostanie podpięty do prądu?!”. ●

NASZAEUROPA

Filozof Michael Sandel:

CZAS
PATRIOTÓW

Lewica boi się mówić o patriotyzmie, ale przez to prawica otrzymała monopol na rozgrywanie ludzkiej potrzeby wspólnoty narodowej. Duży błąd

Pablo Guimón

EL PAÍS

30 lat temu to właśnie profesor Harvardu Michael J. Sandel jako pierwszy podrapał złotą powierzchnię lat 90. i tuż pod warstwą dobrobytu i euforii, która nastąpiła po zakończeniu zimnej wojny, znalazł powody do niepokoju. Ujrzał zapowiedź odrzucenia globalizacji zaprojektowanej przez elity. Bo została narzucona jako nieunikniona, a tym samym wyjęta z demokratycznej debaty obywatelskiej.

Dziś Sandel należy do najbardziej wpływowych myślicieli w Ameryce, a jego pomysły na poprawę koegzystencji kapitalizmu z demokracją wpływają na zachodnią socjaldemokrację, od Joeego Bidena po Olafa Scholza, kanclerza Niemiec, który nie ukrywa wpływu, jaki książka Sandela „Tyrania merytokracji” wywarła na jego widzenie polityki. Sandel wskazywał w niej brak równych warunków dla obywateli, który zasiał w klasie robotniczej uzasadnioną niechęć do elit o katastrofalnych konsekwencjach.

Sandel bada przyczyny głębokiego rozczarowania, które ciąży nad życiem publicznym na Zachodzie. Ma dwie propozycje dla pogubionej lewicy: po pierwsze, tak przekonano gospodarke, aby była faktycznie poddana demokratycznej kontroli; i po drugie, przejąć patriotyzm – ale nie ten, który populistyczna prawica wykorzystuje do budowania murów i strachu, tylko taki, który tworzy poczucie wspólnoty wokół np. powszechnej opieki zdrowotnej czy sprawiedliwości podatkowej.

Niezadowolony z demokracji 30 lat temu było jeszcze „niepotwierdzoną plotką”, jak pan to ujmuje, a teraz nadaje ton polityce na Zachodzie. Co się stało?

– W latach 90. politycy i ekonomiści byli przekonani, nie bez arogancji, że amerykańska wersja ka-

pitalizmu jest szczytowym produktem ewolucji. W konsekwencji główne kwestie polityczne stały się kwestiami technokratycznymi. Przyjęto wersję neoliberalnej globalizacji, która obejmowała outsourcing miejsc pracy do krajów o niskich płacach, deregulację branży finansowej, a wszystko to w imię określonej koncepcji efektywności ekonomicznej. To, co im umknęło, to wpływ, jaki to będzie miało na klasę robotniczą oraz rosnące nierówności majątkowe.

Jest pan zdania, że wielu wyborców populistycznej prawicy, owszem, sympatyzuje z ksenofobicznymi ideami, ale większa część ma po prostu uzasadnione pretensje narosłe przez cztery dekady neoliberalnego paradygmatu. Co się stanie np. w USA, gdy do walki znów staną za rok Trump i Biden?

– Te pretensje są w zasadzie takie same jak wtedy, gdy Trump odchodził z urzędu, dlatego większość republikańskich wyborców toleruje wszelkie jego kłamstwa. Znaczna część ludzi pracy postrzega dzisiejszą lewicę jako reprezentującą raczej wartości i interesy dobrze wykształconych klas profesjonalistów niż klasy średniej i niebieskich kolnierzików. Niestety, lewica nadal nie znalazła jeszcze odpowiedzi na te skargi. Prawicowy populizm jest, patrząc historycznie, symptomem porażki postępowej polityki.

Ale w ciągu ostatnich dwóch lat widzieliśmy wyraźną progresywną politykę Białego Domu.

– Bidenowi należy się uznanie. Jego administracja zrobiła więcej, niż ktokolwiek się spodziewał, by zacząć odchodzić od neoliberalnej wersji globalizacji. Na przykład nie promowała umów o wolnym handlu. Biden to pierwszy od 36 lat lider Demokratów bez dyplomu któregoś z uniwersytetów Ivy League, więc jest mniej przywiązany do merytokratycznej religii niż jego poprzednicy. Jest też nieco bardziej sceptyczny wobec ekonomistów, którzy doradza-

Ludzie czują, iż moralna tkanka wspólnoty rozpada się wokół nich, w obrębie rodzin i dzielnic, ale także na poziomie narodu. Trzeba zaoferować im jakąś alternatywną do ksenofobii koncepcję tego, co trzyma nas razem jako kraj, jako społeczność, jako naród

li poprzednim administracjom, i Demokratów, i Republikanów.

Dlaczego populistyczna prawica nadal przemawia bardziej do klasy robotniczej?

– Polityka to nie tylko kwestie dystrybucyjne. Jest również związana z patriotyzmem. Ludzie potrzebują silnego poczucia tożsamości i wspólnoty. A lewicy nie udało się zaoferować własnej pozytywnej wersji patriotyzmu jako alternatywy dla wąskiego, nietolerancyjnego i ksenofobicznego hipernacjonalizmu oferowanego przez populistyczną prawicę. Ja od dawna jestem zaniepokojony tym, że ludzie czują, iż moralna tkanka wspólnoty rozpada się wokół nich, w obrębie rodzin i dzielnic, ale także na poziomie narodu. Globalizacja, a przynajmniej globalizacja rynkowa, zignorowała znaczenie wspólnoty narodowej. Dla prawicy szczelna granica to sposób na odwołanie się do pragnienia tożsamości narodowej. Lewica chce innego podejścia do imigracji – ale najpierw musi zaoferować jakąś alternatywną koncepcję tego, co trzyma nas razem jako kraj, jako społeczność, jako naród.

Zwolennicy globalizacji wręcz gardzili patriotyzmem jako czymś przestarzałym, niemal atawistycznym. Efekt: zwycięstwo patriotyzmu toksycznego, spod znaku brexitu czy Make America Great Again. Jak teraz zbudować tę inną, zdrowszą wersję patriotyzmu?

– Możemy zacząć od pytania, co jesteśmy sobie winni jako współobywatele. Na przykład deba-

ta o powszechnej opiece zdrowotnej, w najlepszym tego słowa znaczeniu, jest debatą o wzajemnych zobowiązaniach między obywatelami. Reforma opieki zdrowotnej Obamy była broniona przede wszystkim na gruncie technokratycznym – głównie, że była bardziej wydajna – ale leżące u jej podstaw poczucie wspólnoty narodowej nie zostało wyartykułowane. Tymczasem jest to właśnie debata moralna i obywatelska, a nie debata o technokratycznej wydajności.

Kwestią wspólnoty narodowej jest również decyzja, czy firmy mogą przenosić się na inne terytoria, aby płacić niższe podatki. To na pewno można ująć w ramy patriotyzmu gospodarczego. Unikanie obowiązujących stawek podatkowych obowiązujących w kraju, w którym się żyje – to nie jest tylko problem techniczny. To kwestia patriotyzmu.

A może lewica boi się mówić o patriotyzmie?

– Tak uważam, ale przez to prawica otrzymała monopol na patriotyzm jako argument polityczny. Duży błąd.

Podczas pandemii miałem nadzieję, że uwidocznione nagle i jasne nierówności pokażą nam też, w jakim stopniu jesteśmy zależni od pracowników, na których, zgodnie z merytokratyczną logiką, patrzyliśmy z góry. Zaczęliśmy ich nawet nazywać „pracownikami niezbędnymi”.

– Obawiam się, że ten moment minął bez poważnej refleksji nad statusem pracowników niezbędnych, np. sektora komunalnego i szpitali. Nadal nie dostosowali-

• **Profesor Harvard Law School Michael Sandel podczas wykładu „Czego nie można kupić za pieniądze” na UW. Cykl wykładów Sandela na temat sprawiedliwości był pierwszym kursem harwardzkim emitowanym w telewizji**

FOT. BARTOSZ BOBKOWSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

śmy uznania dla nich i wynagrodzeń do znaczenia ich wkładu w funkcjonowanie społeczeństwa.

Kolejną rzeczą, którą przypominała pandemia, jest znaczenie państwa...

– Fakt, rządy wdrożyły zakrojone na szeroką skalę bodźce fiskalne i wydatki, które byłyby nie do pomyslenia jeszcze nawet w latach po krachu z 2008 r. Państwo stało się głównym graczem.

Era globalizacji nauczyła nas, że nie ma alternatywy dla wiary w rynek. Nalegano, że neoliberalna wersja globalizacji jest jak zjawisko meteorologiczne: nie podlega ludzkiej kontroli i dlatego nie powinna być otwarta na demokratyczną debatę. Ale kryzys finansowy i rosnące nierówności były wynikiem świadomych wyborów politycznych, które mogły być inne. Z perspektywy czasu wiadać, że to właśnie polityka rozumiana jako debata publiczna była długo wyeliminowana.

Jest wyzwanie, które jako społeczeństwa musimy wspólnie przemyśleć: zielona transformacja, walka z kryzysem klimatycznym. Jak możemy to zrobić bez powtarzania błędów, bez pogłębiania przepaści między zwycięzcami a przegranymi?

– To będzie najważniejszy test. Istnieje tendencja do traktowania zmian klimatycznych jako kolejnego problemu technokratycznego, polegającego na zapewnieniu odpowiednich bodźców ekonomicznych i mechanizmów rynkowych. Jest to jednak coś więcej: to kwestia arcypolityczna. Potrzebujemy oddolnej polityki klimatycznej, a nie abstrakcyjnych modeli czy technokratycznych rozwiązań. Musi ona rozpocząć się od rozmów z ludźmi, zwłaszcza w społecznościach, w których życie i miejsca pracy zależą od paliw kopalnych. Będzie to wymagało politycznego przywództwa i aktywizmu. Powodem oporu wobec polityki, która doprowadziłaby do zielonej gospodarki, jest głęboki sceptycyzm ze strony mas. W dużych

NASZA EUROPA

obszarach przemysłowych tysiące miejsc pracy zostało już zlikwidowanych w imię globalizacji. Powiedziano im: tak, będą przegrani, ale zyski zwycięzców zrekompensują także straty przegranych. To działało w teorii. Ale prawdziwa rekompensata nigdy nie nastąpiła.

Spirając się z Yuvaalem No-ahem Hararim, powiedział pan, że w kwestii zmian klimatu nie chodzi o znajomość faktów, o edukację. A o co?

– Nie chodzi o pouczanie sceptyków o zagrożeniach związanych z globalnym ociepleniem. Zasadniczo chodzi o zaufanie. Należy je odbudować. To zadanie dla partii politycznych, ale nie oszukujemy się, że zrobią to same. Musimy zrozumieć, że najszybszy rodzaj publicznej rozmowy może pochodzić tylko od społeczeństwa obywatelskiego.

Czy media społecznościowe są odpowiednim forum do takiej rozmowy?

– Wolalbym całkiem inne platformy, które nie będą po prostu akceptować modelu biznesowego opartego na spersonalizowanych reklamach. Modelu, który zależy od utowarowienia uwagi, od zatrzymywania ludzi tak długo, jak to możliwe, aby gromadzić coraz więcej ich danych i aby sprzedawać im kolejne rzeczy.

Jeśli dobrze rozumiem, polecałby pan zatarcie różnicy między socjaldemokracją a bardziej radykalną lewicą?

– Najpotężniejszą kombinacją, która może odmłodzić centrolewicę, jest połączenie pozornie konserwatywnych wartości patriotyzmu i wspólnotowej tożsamości z kreatywnym projektem przekształcenia gospodarki, tak aby była podatna na demokratyczną kontrolę, co tradycyjnie kojarzy się z populistyczną lewicą. Czyli potężna idea wspólnoty plus kontrolowana przez obywateli gospodarka – to jest przyszłość progresywnej polityki.

Pelnoskalowa wojna w Europie – czy to jest czynnik, który wpłynie na jakość polityki?

– Wojna w Ukrainie jest najbardziej dramatycznym przykładem na wyczerpanie neoliberalnej globalizacji. To, że więzi handlowe uczynią wojny niepotrzebnymi, było jej główną ideą. Ale to sięga czasów Monteskiusza, który mówił o doux commerce: im więcej narody ze sobą handlują, tym mniej prawdopodobne jest, że będą ze sobą walczyć, ponieważ będą czerpać dywidendę z pokoju. Słyszeliśmy to wielokrotnie w latach 90. i na początku XXI w. jako argument za przyjęciem Chin do WTO, a na pewno w Niemczech za rozwojem zależności energetycznej od Rosji. Tak się jednak nie stało. Ukraina przypominała nam, że polityka i granice państwowe nie znikną, stoją za tym kwestie znacznie trwalsze niż pieniądze. Musimy opracować nowe wzorce handlu z wiedzą, kto jest wiarygodnym partnerem, a nie kierować się wyłącznie dążeniem do rzekomej wydajności. Żadna gospodarka nie jest autonomiczna – ale to nie znaczy, że nie mamy na nie żadnego wpływu. ●

CHINY KONTRA RESZTA ŚWIATA

Powstrzymać smoka, pogłaskać pandę

Nowe terminy w słowniku dyplomacji: decoupling i de-risking. Tak wykuwa się nowa polityka wobec Chin.

Robert Stefanicki

Europa się nastroszyła, Ameryka spuściła z tonu i powstało wrażenie, że Zachód w relacjach z Chinami osiąga konsensus. Ale na razie jest on chwiejny i złudny.

Zmiana manifestuje się w semantycznych niuansach. W ostatnich latach – zwłaszcza od wybuchu pandemii, która obnażyła ryzyko polegania na łańcuchach dostaw biegnących przez połowę globu – rozważano konieczność gospodarczego rozdzielania (ang. decoupling) od Chin. Ulokowane tam zachodnie fabryki należałoby przenieść, jeśli nie z powrotem do macierzy, to do przyjaznych krajów (tzw. friendshoring). Tam też musimy znaleźć źródła niezbędnych nam surowców.

Udało się to połowicznie, głównie dlatego, że taki proces jest kosztowny, a w państwach demokratycznych rząd ma ograniczony wpływ na biznes.

Teraz pojawiło się nowe sformułowanie: ograniczenie ryzyka (de-risking). Użyła go 30 marca przewodnicząca Komisji Europejskiej Ursula von der Leyen, gdy wyjaśniała, dlaczego pojedzie do Pekinu z prezydentem Francji Emmanuel Macronem i dlaczego Europa nie chce podążać za amerykańskimi wezwaniami do rozdzielania – co, jak orzekła, jest niewykonalne i nie leży w interesie Europy.

Nie minął miesiąc, a doradca ds. bezpieczeństwa narodowego USA Jake Sullivan użył tego samego słowa w ważnym przemówieniu. „Jesteśmy za zmniejszaniem ryzyka, a nie za oddzieleniem” – powiedział. „Redukcja ryzyka oznacza posiadanie odpornych, skutecznych łańcuchów dostaw i upewnienie, że nie będziemy podatni na przymus ze strony żadnego kraju”.

Podczas majowego spotkania grupy G7 w Hiroszynie przywódca kierowanego przez USA bloku również powiedział w komunikacie, że nie „oddzielają się” od Chin, ale „zmniejszają ryzyko”.

Zmianie retoryki przyklasnęły kraje azjatyckie, jak Indie i Indonezja, którym już ciężko przychodzi odcięcie się od Rosji, a perspektywa zerwania więzi gospodarczych z najbliższym mocarstwem, nawet nie lubianym, jest nierealna.

Natomiast Chiny tego nie kupiły. „Zmiana narracji to tylko kolejna gra słowna rozgrywana przez Waszyngton i jego sojuszników w celu powstrzymania Chin”, napisał chiński dziennik „Global Times”.

Ameryka odkrywa azjatycką psychikę

Powstrzymywanie (containment) kojarzy się z polityką USA wobec Związku Radzieckiego w okresie

zimnej wojny. Za jej patrona uważany jest amerykański dyplomata George Kennan, który w sławnym „długim telegramie” do Departamentu Stanu z 1946 r. wzywał, by opracować strategię zapobiegania rozprzestrzenianiu się „złośliwego pasożyta” sowieckiego komunizmu. W artykule z 1947 r. w „Foreign Affairs” Kennan nazwał tę strategię „powstrzymywaniem” i podkreślił, że sowiecki ekspansjonizm ma głębokie korzenie w „rosyjsko-azjatyckiej” psychice.

Amerykanie wprowadzili szerokie embargo na robienie interesów z ZSRR. Środkami gospodarczymi i militarnymi usiłowali też zapobiec przejściu przez partie komunistyczne rządów w kolejnych krajach. Co oznaczało również konfrontację z Chinami Ludowymi, wobec których też stosowano strategię powstrzymywania.

Było to starcie ideologiczne. Istotną rolę odegrała w nim teoria Halforda Mackindera, który sformułował tezę na temat „geograficznej osi historii”. Jej wyznawcy cywilizację europejską postrzegali jako „wynik świeckiej walki z inwazją azjatycką”, której wczesnym przejawem były najazdy mongolskich hord w XIV w.

Aż „skończył się komunizm”

W Pekinie w latach 90. stery przejęli pragmatycy, a w Waszyngtonie – bankierzy z Wall Street. Uwierzono, że Chiny mogą być partnerem Zachodu, młodszym bratem w kapitalizmie, a z czasem i w liberalnej demokracji. Sygnały przeczące temu ignorowano, bo handel z Chinami przynosił sówite zyski korporacjom i przyczyniał się do niskiej inflacji. Przynosił też straty, ale tym mniej sprawczy politycznie – robotnikom, co populistycznie wykorzystał dopiero Donald Trump. Otoczył się on jastrzębiami w rodzaju doradcy handlowego Petera Navarro, który w swoich książkach wskazywał stereotypy „azjatyckich hord” z początku XX w.

Xi Jinping pomagał amerykańskim jastrzębom, jak tylko mógł: rządził coraz twardszą ręką, spacyfikował Xinjiang i Hongkong, groził Tajwanowi, inwigilował na potęgę, dał sobie nieograniczoną władzę, a jego wysłannicy byli butni jak... no cóż, jak stereotypowi dwudziestowieczni Amerykanie. Ci nieco późno zauważyli, że wzrost imperium chińskiego, zwłaszcza technologiczno-militarny, jest tak szybki, że zaczyna ono zagrażać dominacji USA.

Dziwny bilans wojny handlowej USA z Chinami

Ta wojna niby trwa, ale obroty w transpacyficznym handlu biją rekord za rekordem. Chiny są drugim co do wielkości importerem towarów amerykańskich, po Kanadzie, ale przede wszystkim ssanie jest w drugą stronę: w 2022 r. ChRL miała 400 mld dol. nadwyżki w handlu z USA (i tyle samo z UE).

Skuteczniejsze było rugowanie poszczególnych firm chińskich pod pretekstem zagrożenia bezpieczeństwa narodowemu albo ich wkładu w represje w Chinach. Lecz sojusznicy USA się do tego nie palili. Z początku trudno było przekonać nawet Wielką Brytanię, by wykluczyła Huawei z dostaw krytycznego sprzętu 5G. Ostatecznie ulegli nawet Niemcy, jednak statystyki pokazują, że Europa jest w tej materii niezmiernie uzależniona od Chin, które dostarczają jej ponad połowę sprzętu 5G.

Administracja Bidena z początku kontynuowała ostry kurs wobec Pekinu, nieco bardziej ubierając go w przekaz prowolnościowy – Chiny przedstawiano jako złowrogi reżim eksportujący narzędzia do inwigilacji albo korzystający z pracy przymusowej więźniów. Szerzej – jako tyrana usiłującego narzucić światu swoje standardy. Europa przyjmuje tę optykę, ale równie opornie jak naciski na zastąpienie chińskich dostawców droższymi, najlepiej amerykańskimi. W Stanach rywalizację z Pekinem traktują bardziej ideologicznie niż na Starym Kontynencie, gdzie patrzy się na nią głównie przez pryzmat interesów biznesowych.

Wpływ wojny w Ukrainie

Chiny stanęły po stronie Rosji, co potwierdziło konieczność dystansowania się od nich. Z drugiej strony wojna nadwyżyła zasoby Zachodu, który zdał sobie sprawę, że nie stać go na walkę z pełnym zaangażowaniem na dwóch frontach, rosyjskim i chińskim. Może stąd delikatna odwilż w retoryce w stronę „ograniczenia ryzyka”. Być może miało to na celu przetestowanie reakcji Pekinu, ale na razie Xi nie przyjmuje wyciągniętej ręki, najwyraźniej uważając ten gest za fałszywy. Właśnie odrzucił amerykańską propozycję spotkania ministrów obrony w Singapurze. Woli pomrukiwać ustami swego ministra o „powrocie do zimnej wojny”.

Jednak obecna polityka USA wobec Chin nie ma porównania do czasu zimnej wojny. Waszyngton nie zrobił nic istotnego, aby powstrzymać Chiny przed budową baz wojskowych na Morzu Południowochińskim. Amerykańskie uniwersytety nadal szkolą rocznie tysiące chińskich studentów. Handel kwitnie. Dzisiejsza polityka jest raczej rozszerzeniem embarga na broń z 1989 r., nalożonego po masakrze na Tiananmen, o ograniczenia dotyczące niektórych form transferu zaawansowanych technologii, takich jak półprzewodniki.

W tej złożonej sytuacji wypracowanie wspólnej polityki europejskiej jest trudne, zwłaszcza gdy nie wiadomo, w którą stronę pójdzie Ameryka. Kongres i opinia publiczna w USA są wrogo nastawione do Chin. W kampanii wyborczej w 2024 r. może zwyciężyć antychiński republikanin.

Europa jest bardziej ekonomicznie narażona na zerwanie z Chinami niż Ameryka. Według banku Morgan Stanley 8 proc. przychodów europejskich firm giełdowych pochodzi z Chin, w USA o połowę mniej. W niedawnym raporcie austriackiego think tanku oszacowano, że po „odłączeniu” od Chin PKB Niemiec spadłby o 2 proc. rocznie. Słychać opinie, że transformacja energetyczna Europy bez udziału Chin nie jest możliwa. Produkuje się tam m.in. ponad 80 proc. paneli fotowoltaicznych.

Chińskie inwestycje w Europie spadły do najniższego poziomu od 2013 r., podobnie w drugą stronę. Ale statystyki mogą być złudne. Europejskie firmy zaangażowane w Chinach ograniczają ryzyko niekiedy poprzez zbycie aktywów, niekiedy poprzez oddzielenie filii chińskich od europejskiej matki. Niemieckie spółki zależne w Chinach są samowystarczalne już w 85 proc. – napisał „Economist”, nazywając ten proces: „jedna firma, dwa systemy”.

Może Biden łagodzi ton, bo widać, że sojusznicy nie są gotowi na większe wyrzeczenia. Londyn skarży się, że wraz z UE ograniczył związki z Chinami bardziej niż Waszyngton – i rzeczywiście, brytyjski i europejski eksport do Chin spadł, podczas gdy amerykański wzrósł. W Pekinie ostatnio złożyli wizyty kanclerz Olaf Scholz, premier Hiszpanii Pedro Sánchez oraz Macron, który wręcz nalegał, by Europa zdystansowała się od konfliktu o Tajwan. Wszyscy zabrali ze sobą szefów korporacji, żeby zawrzeć nowe umowy inwestycyjne.

Litwa zagrała va banque i postawiła na relacje z Tajwanem, ale już Viktor Orbán chce, by UE „broniła własnego interesu w stosunkach z Chinami”. Węgry spodziewają się, że pozycja najlepszego przyjaciela Pekinu w UE da im 3 mld dol. inwestycji w przemyśle samochodowy.

Polska obecnie nie ma polityki chińskiej, ale jeśli rozdzielenie rządu PiS z UE będzie postępowało, a wojna w Ukrainie wygaśnie lub Chiny się zdystansują od Rosji, to Pekin będzie naturalnym sojusznikiem Warszawy.

Europa powinna wypracować spójną politykę wobec Chin. Jak dalece zmniejszyć zależność, jakim kosztem? I co w razie wybuchu wojny z Tajwanem? Dla współzależnej gospodarki byłby to szok znacznie większy niż wojna w Ukrainie. Także dla Chin. Może więc istnienie silnych więzi ekonomicznych z Zachodem powstrzymuje Xi przed inwazją i nie warto ich pospieszyć zrywać?

Oddzielenie najpewniej nigdy nie nastąpi, ale będzie postępowało. Zachód inwestuje we własne mocne produkcyjne oraz w bezpieczne i odporne łańcuchy dostaw. Infrastruktura strategiczna jest coraz bardziej niedostępna dla chińskich inwestorów, choć Europejczycy nie są zgodni, jak bardzo należy zaostriżyć przepisy. Co ważne, również oficjalną polityką Pekinu jest uniezależnienie gospodarcze w kluczowych sektorach – w pierwszej kolejności od USA i ich sojuszników.

Zimna wojna to nie jest, ale „jedna planeta, dwa systemy” – jak najbardziej. ●

NADCHODZI CIEMNOŚĆ



Symbioza między górnictwem a energetyką to patologia, zgubna dla wszystkich

Z **JAKUBEM WIECHEM**, PRAWNIKIEM, DZIENNIKARZEM, PUBLICYSTĄ I ZASTĘPCĄ REDAKTORA NACZELNEGO SERWISU ENERGETYKA24, ROZMAWIA **DAMIAN NOWICKI**

Czym jest blackout box i kiedy stworzył pan swój?

– To miejsce, w którym trzyma się najpotrzebniejsze rzeczy na wypadek awarii elektroenergetycznej. Wybrałem pudełko, ale to może być cokolwiek, do czego da się dotrzeć po ciemku, nie narażając się na urazy. W środku takiego pakietu powinny być m.in. zapas różnych baterii, koc termiczny, leki przeciwbólowe, rękawiczki ochronne, mocny sznurek, taśma izolacyjna, zapalniczka, szczyrzyk, apteczka, latarki, słodycze itp. Swój stworzyłem na początku pandemii, gdy z powodu fali zakażeń pojawiło się ryzyko braków kadrowych wśród załóg elektrowni. Równolegle, w czerwcu 2020 roku, doszło do kilku bardzo niebezpiecznych incydentów, gdy z różnych przyczyn kilka jednostek wytwórczych zostało odłączonych w tym samym czasie, np. elektrownia Belchatów została zalana. Wtedy też zacząłem myśleć, co by było, gdyby takie wydarzenia spowodowały kaskadowe wyłączanie kolejnych jednostek, i stąd mój blackout box.

Ale skoro słodycze, to trzeba sprawdzać termin ważności.

– Landrynki mają długą datę, wymieniłem je raz.

Dlaczego słodycze?

– W sytuacji kryzysowej oprócz energii dla organizmu mają dać nam psychologiczne poczucie bezpieczeństwa, gdy w wyniku stresu spada nam poziom cukru.

To czym jest sam blackout?

– To poważna i rozległa awaria systemu elektroenergetycznego. Oznacza, że operator stracił kontrolę nad systemem, a istotna część odbiorców energii jest pozbawiona dostępu do niej. Blackout dotyczy głównie awarii jednostek wytwórczych, ponieważ takie typowe awarie systemu przesyłowego czy dystrybucyjnego, czyli przerwane przewody elektryczne, to jest coś prostego do usunięcia. Gdyby doszło do poważnego uszkodzenia bloków jednostki wytwórczej, to problem będzie nie tylko rozległy i skomplikowany, ale też jego naprawa może potrwać nawet kilka dni.

Zalóżmy hipotetycznie, że w wyniku ekstremalnej temperatury dochodzi do wyłączenia jakiejś elektrowni, a – powiedzmy – 15-tysięczne miasto zostaje bez prądu, nie wiadomo na jak długo.

Czy istnieją w ogóle jakieś procedury, jak reagować? I czy to tylko science fiction?

– Blackouty i związane z nimi zamieszanie mogą być czymś powszechnym we wcale niedalekiej przyszłości. Operator systemu ma swoje procedury, ale zwykli obywatele nie są szkoleni, jak postępować, gdyby prądu nie było przez tydzień. Dotychczas nie było potrzeb, by się do takich scenariuszy przygotowywać. Dla przykładu: większość ludzi nie ma w domu dość gotówki, by przez tydzień kupować podstawowe produkty, gdy przestaną działać bankomaty i terminale płatnicze.

Przyjmijmy, że do tego doszło. Co wtedy?

– Najpierw trzeba zabezpieczyć siebie i swoje otoczenie. Potem jak najszybciej rozpoznać skalę: czy dotyczy to bloku, dzielnicy, czy całego miasta. Od tego może zależeć zaspokojenie podstawowych potrzeb, np. zgromadzenie jedzenia i wody pitnej, która przez krótki czas będzie dostępna w kranach, bo wodociągi działają dzięki zasilaniu elektrycznemu, a w sytuacji przerwania dostaw energii przechodzą na agregaty prądotwórcze z ograniczonym zapasem paliwa. Jeżeli ono nie zostanie dowiezione na czas, to wodociągi przestaną działać.

A jaki teren jest bardziej zagrożony: miasteczko czy metropolia?

– Każdy. Może się zdarzyć, że wypadek jednej dużej jednostki spowoduje efekt domina, a energii elektrycznej zabraknie w dużej części kraju. Gdybyśmy w jednej chwili stracili przykładowo jednocześnie elektrownie Belchatów, Kozienice i Polaniec, to cały polski system elektroenergetyczny pozbawiony tych kilku gigawatów mocy może chylić się ku upadkowi. Jeżeli nie zrekomensujemy sobie tych braków importami mocy albo szybkimi działaniami na rzecz zmniejszenia zapotrzebowania, to będzie katastrofa.

Od jakiegoś już czasu mówi pan i pisze, że Polska stoi na skraju katastrofy energetycznej, co powinno być najważniejszym tematem zbliżających się wyborów. Skoro jest tak źle, to do czego decydenci powinni się zabrać?

– Po pierwsze – do nasycenia polskiego systemu energetycznego nowymi mocami, które będą nieemisyjne i stabilne. Bardzo szybko zmniejszamy moce węglowe i mamy już plany wyłączenia Belchatowa, będziemy więc musieli go czymś zastąpić, a rozwój energetyki wiatrowej w Polsce stoi w miejscu. Nie pomoże nawet nowelizacja ustawy wiatrakowej, a program jądrowy się ślimaczy.

Po drugie – nasze moce węglowe są coraz starsze, średnia wieku jednostek węglowych wynosi 50 lat, są podatne na awarie, a ich efektywność jest coraz bardziej nieprzewidywalna. Po 2030 roku luka generacyjna mocy może wynieść nawet 11 GW.

A te 11 GW to jaka część kraju?

– Dla porównania można powiedzieć, że zasilenie Warszawy wymaga ok. 1,1 GW mocy.

Te 11 gigawatów to jakaś jedna piąta obecnej mocy, czyli dwie Elektrownie Belchatów. Obecnie pracująca jednostka w Belchatowie zaspokaja ok. 20 proc. zapotrzebowania na energię elektryczną. To powinno dać poczucie tego, przed jakim problemem stoimy. Nie możemy przy tym liczyć, że zawsze będziemy mieli wsparcie od sąsiadów, jak dotychczas politycy zapewniali. Co zrobimy? Nie wiem, ale skali tego problemu fi-

zycznie nie da się już zmiatać pod dywan. Brak 11 GW mocy jest najczarniejszym scenariuszem, który opracowało Ministerstwo Klimatu i Środowiska, a trajektoria, na której się znajdujemy, nie jest optymistyczna. Nawet połowa tych szacunków będzie potrzebna dziurą energetyczną.

To dlaczego władze nie chcą się do tego zabrać?

– Bo to gorący ziemniak, którym kolejne rządy się przerzucają, a konsekwencje mogą być widoczne za kilka lat. Społeczeństwo tego nie odczuwa, więc się nie niepokoi. Obecna sytuacja to zaniechania różnych ekip, zarówno obozu rządzącego, jak i opozycji. A już przed wyborami to pole minowe.

To dlaczego podczas marcowej wizyty w Katowicach nawet Donald Tusk oświadczył, że „chce wydobywać polski węgiel”? Kielbasa wyborcza?

– Politycy zarówno PO, jak i PiS jeździli po Polsce przed ośmiu laty i przykładowo w Ostrołęce, gdzie planowano otwarcie elektrowni, mówili, że polski węgiel jest potrzebny i będzie fundamentem naszego miksu energetycznego. W ciągu tych lat sporo się jednak zmieniło w polskim społeczeństwie i te wystąpienia są subtelniejsze, ponieważ wiemy dużo więcej, chociażby to, że polityka klimatyczna Unii Europejskiej to nie przejściowa moda, tylko potężna machina, od której nie ma ucieczki. I te zmiany widać także po komunikacji polskich polityków. Natomiast liderzy polskich partii dalej uciekają od trudnych kwestii energetycznych: dekarbonizacja jest fajnym tematem, o ile nie trzeba o niej mówić na Śląsku, a szczególnie przed wyborami. Gdy politycy tam przyjeżdżają, to ich podejście nagle ulega zmianie, a narracje są naginane do tego, o czym mówią wciąż silne i odgrywające znaczącą rolę górnicze związki zawodowe. Z ust Donalda Tuska to brzmi szczególnie komicznie, ponieważ na konferencji klimatycznej przed kilkoma miesiącami szef PO przyznał, że polityka węglowa jego ekipy była błędem i że zna wyniki raportu klimatycznego IPCC.

Nawet w przypadku wydobycia węgla wyłącznie pod kątem paliwa eksportowe-

Dlaczego prawica nie chce rozmawiać o środowisku? Bo uznaje to za ciało obce, jak dyskusje o seksualności



go polskiej gospodarki ten pomysł jest kompletnie bez sensu. Polskie górnictwo jest w oplakany stanie i mówiąc brutalnie, reanimacja tej mumii nie będzie ani przyjemna, ani rentowna. To przyklepywanie pewnych błędów, które doprowadziły nas do momentu, w którym brakuje nam mocy w systemie i nie wiadomo, co z tym zrobić.

To jak powinno wyglądać ponadpartyjne myślenie o energetyce i od czego należałoby je zacząć?

– Zamiast piątki Kaczyńskiego, Morawieckiego czy Tuska, jeżeli na taki pomysł wpadnie, powinna powstać piątka dla energetyki, a może jeszcze więcej kluczowych punktów. Dotychczasowe plany, czyli dokumenty, które niedawno były przyjmowane przez Zjednoczoną Prawicę, są obciążone chęcią załagodzenia pewnych napięć w obozie władzy. Tajemnicą poliszynela jest, że np. kształt ustawy wiatrakowej został ukuty w ramach negocjacji rząd – prezydent. Taka sytuacja jest, delikatnie mówiąc, niepoważna, ponieważ dla krótkoterminowych zysków politycznych wystawiamy na szalę bezpieczeństwo gospodarcze i energetyczne kraju.

Potrzeba nam tego, co zrobili Niemcy. Ich politykę energetyczną realizowały wszystkie rządy – od Gerharda Schrödera, przez Angelę Merkel, po Olafa Scholza. Dopiero ze względu na rozpętaną w Ukrainie wojnę jej podwaliny zostały zburzone, a Niemcy trwają w rozkroku, ale ich konsekwencja jest do pozazdroszczenia. Polsce czegoś takiego niezmiernie brakuje: wyjęcia energetyki poza nawias aktualnych i przyszłych sporów politycznych.

Tylko że PiS zachęca do palenia wszystkim, za normalność uznaje węgiel, diesle, kotlet schabowy, a temat jadalnych insektów to zamach na polskość, szaleństwa ekoświrów albo co najwyżej lewacka utopia. Pan wierzy, że w tej sytuacji może się coś zmienić?

– Coś się udawało ponadpartyjnie, choćby gazoport w Świnoujściu – budowę zainicjował pierwszy rząd PiS, kontynuowała ekipa PO-PSL, a finalnie odebrał go znowu PiS. To wieloletnie przedsięwzięcie okazało się fun-

damentem naszego bezpieczeństwa energetycznego. Bez terminala na początku wojny w Ukrainie bylibyśmy w ogromnym kryzysie gazowym. Nasz problem, wydaje mi się, leży w tym, że ponadpartyjnie jesteśmy w stanie działać, tylko gdy bezpośrednio widzimy realne zagrożenie. Takim była i jest Rosja, ale nie są nim konsekwencje wynikające z unijnej polityki klimatycznej. A trzeba podkreślić, że są nimi nie tylko działania mające wyhamować emisje gazów cieplarnianych, ale też przemodelowanie paradygmatu gospodarczego. Nie tylko w UE, ale także w USA, Chinach czy Indiach funkcjonuje się na zasadzie „kto emituje, ten płaci”. Ponieważ Polska ma trzykrotnie wyższą intensywność emisji z energetyki na jednostkę niż średnia unijna, będziemy ponosić ogromne koszty.

**Polacy się zorientowali,
że rząd umywa ręce,
i wolą sami zająć się swoimi
rachunkami za prąd**

Obecny obóz rządzący, ale także Konfederacja widzą w tej ogólnoswiatowej zmianie szansę nie na rozwój, tylko na stworzenie narracji obłąkanej twierdzy. I to, niestety, działa, bo pozwala scementować uwagę wyborców oraz wyzwolić w nich skrajne emocje. To, co widzieliśmy w temacie sławetnych insektów oraz unijnego raportu C40 Cities, to właśnie tego rodzaju strategia. Co więcej, za tym nie idą żadne konstruktywne rozwiązania problemów, o których wiemy, że istnieją, np. zbliżająca się katastrofa klimatyczna. Prawica nie ma pozytywnej agendy w tym zakresie, ale jedynie kontestuje i podważa tworzone przez innych propozycje polityki klimatycznej. O ironio, z czasem i tak się do nich dostosowuje. Ile razy słyszeliśmy, że będzie zawieszona unijna dyrektywa ETS [system handlu uprawnieniami do emisji gazów cieplarnianych] i podejmowane działania na rzecz wyjścia Polski z polityki klimatycznej UE? Nic z tego nie jest realizowane, a duża część z tego w ogóle nie jest możliwa na gruncie obecnie obowiązującego prawa. Takie wytrychy mają jedynie omamić wyborców i przekonać ich, że są jakieś inne rozwiązania. Takowych nie ma, a jest jedynie scenariusz nastawiony na bardzo krótkoterminowy zysk polityczny.

Przyjmijmy najczarniejszy scenariusz, że nikt nie wyciąga wniosków z ostatnich 30 lat. Jak to się – oprócz blackoutów – odbije na życiu zwykłych ludzi?

– Kryzys nie będzie punktowym wydarzeniem, ale procesem. Najpierw zobaczymy rosnące rachunki za energię, od przemysłu po odbiorców indywidualnych. Gdy zaczną się dobijanie codziennych budżetów domowych, to kolejne rządy będą to łagodzić państwowymi systemami wsparcia, ale cen energii nie da się hamować czy mrozić w nieskończoność. Dojdą koszty alternatywne, ponieważ kiedy przeznaczmy np. 100 miliardów złotych na pomoc w odbiorze energii, to nie wydamy ich na ochronę zdrowia. Przedsiębiorcy przestaną inwestować w Polsce, bo za wysoka będzie cena energii, co już teraz rzutuje chociażby na zapatrywania konsumentów. A jak wszystko pójdzie źle, to pojawią się spadki energii lub inne formy ograniczenia dostępu do niej. Wyobrażam sobie sytuację, gdy w przyszłej dekadzie pierwsze, co będzie robił każdy z nas po obudzeniu, to sprawdzał, czy planowane są tego dnia przerwy w dostawie energii. Codziennością mogą być również SMS-y, na wzór alertów RCB, które będą ostrzegać o złej sytuacji w systemie elektroenergetycznym.

Idąc dalej tą apokaliptyczną ścieżką, pod koniec lat 30. wylądujemy na zupełnych rubieżach ekonomicznych Europy, pogłębimy dystans między Polską a innymi europejskimi gospodarkami, będziemy coraz bardziej uzależnieni od importu energii. Obniży się nasz poziom życia. Dzieje się to już choćby w Kalifornii, gdzie o przerwach w dostawach ostrzegają flex alerty. Z kolei w RPA indolencja polityczna, korupcja i oparcie

się na starzejących się blokach węglowych doprowadziły do permanentnego kryzysu energetycznego. W ciągu ostatniego roku blackoutu występowały w ciągu 205 dni, a trwały nawet po 12 godzin.

Tak będzie wyglądać nasza przyszłość, jeżeli dzisiaj nic w tej kwestii nie zrobimy.

Zalóżmy, całkiem zresztą prawdopodobnie, że tego lata pojawią się kolejne fale mocnych upałów. Czy w związku z tym powinniśmy się spodziewać przerw w dostawach energii w najbliższym czasie?

– Obecnie w Polsce naprawiliśmy trochę sytuację mocami w fotowoltaice, które ratują nas latem. Dzięki tym 12 gigawatom pracującym w panelach słonecznych nie grozi nam tak bardzo powtórka z sierpnia 2015 roku, czyli wprowadzenie 20. stopnia zasilania. Problemy zaczną się, jak z systemu będą znikać duże bloki węglowe.

A skąd się panu w ogóle wzięło zainteresowanie tym tematem?

– Już w liceum mocno ukształtowała mnie literatura science fiction – Lem, Wells, Verne, Dick. Zacząłem wtedy myśleć o formach wykorzystania energii w przyszłości, co ewoluowało do zastanawiania się, jakie dzisiaj mamy i znamy możliwości korzystania z energii. Podczas studiów prawniczych skupiłem się na prawie energetycznym, napisałem z tego magisterkę. A bezpieczeństwu energetycznemu podporządkowałem swoją karierę.

Na Instagramie tytułuje się pan jako „zielony konserwatysta”, z czego prawa strona rodzimej polityki raczej się nabija, a nawet uznaje pana za ideologicznego oszołoma. Mentzen nazwał pana „zielonym totalitarnym” i postawił w jednym rządzie z posłanką Spurek czy prezydentem Trzaskowskim.

– Rzeczywiście mógłbym się tak czuć, gdybym nie rozumiał, jak i dlaczego do tych podgryzań dochodzi, a polska prawica jest dość specyficzna, jeśli chodzi o myśl środowiskową. Przez prawie połowę XX wieku byliśmy pozbawieni pewnych naturalnych

elementów, które prowadziły do powstania dojrzałej świadomości środowiskowej, jak na Zachodzie. Dopiero po 1989 roku wszystkie trendy klimatyczne i ekologiczne doszły do nas w pakiecie z dyskusją o roli rodziny, seksualności itp. A prawica traktuje to wszystko jak jedną zbitkę, a jednocześnie narzuca ciału obce. Każdy, kto podejmuje te wątki, jest uznawany za wroga, tym bardziej jeżeli gani prawicę za niebezpieczne podejście do polityki środowiskowej. Rozumiem to i jestem odporny na tego typu ataki. Jednocześnie bardzo bym chciał, aby polska prawica się zmieniła i zyskała własną, pozytywną agendę.

W swoich materiałach punktuje pan manipulacje albo głupotę zarówno prawicy, np. ministra Kowalskiego kruczając przeciwko wiatrakom, jak i podwójne standardy aktywistów Greenpeace'u wobec atomu.

– Bo staram się nie należeć do żadnego plemienia i dlatego pojawiają się w „Wyborczej” jako felietonista albo w TVP jako komentator. Swego czasu chwaliłem się, że chodzę do obu Kurskich (śmiesz). Bardzo chciałbym to utrzymać, bo uważam, że brakuje łączników pośród dwóch zwaśnionych plemion, co rozsądza naszą wspólnotę.

To niebezpieczne, bo takie społeczeństwo jest podatniejsze na zagrożenie z zewnątrz i oczywiście patrzę tutaj na Rosję, która wojnę z Ukrainą może łatwo rozlać na inne państwa.

Jedna znajoma nazwała pana „najbardziej wiarygodnym i rzetelnym źródłem informacji” i bardziej ufa pana infografikom z Instagrama czy podcastowi „Elektryfikacja” niż dużym redakcjom. Duża odpowiedzialność.

– Media dzisiaj za bardzo stawiają na widowisko i spektakl, przez co odbiorcy zyskują bardzo mało, jeżeli chodzi o merytoryczność. Rozmawiałem z premierem Morawieckim, wysłałem też zaproszenie Donaldowi Tuskowi i chciałbym, by nie musiał się obawiać, że za wszelką cenę będą szukać haków na każde słowo, które powie. Wywiady nie mają być orką dla polityka, powinny służyć zbieraniu informacji o jego poglądach czy planach. Jednocześnie pilnuję, aby każdy polityk, który nieco popłynie i powie rzeczy, które nie znajdują potwierdzenia w faktach, został za to wypunktowany.

A jak pan ocenia rozmowę z Mateuszem Morawieckim? Pytał pan premiera o to, jak jego zapewnienia mają się do polityki węgla w PiS?

– Dowiedziałem się tego, czego chciałem – czyli np. o optyce premiera na współpracę z orbanowskimi Węgrami, niebezpiecznie otwartą na Rosję Arabią Saudyjską czy też z Suwerenną Polską, która chce podważać prawo UE. Potem nagrałem kolejny odcinek podcastu, w którym przedstawiłem moje zastrzeżenia do ośmiu lat działań PiS w energetyce. Teraz umawiam wywiad z decydentami z ramienia PiS, których chcę z tymi zastrzeżeniami bezpośrednio skontaktować. I takie plany mam względem każdego ugrupowania, które startuje do Sejmu.

Ostatnie przekazy upłynęły pod znakiem atomu: obietnic, zapowiedzi oraz wielkich planów. Czy to się uda? Co z niepokojami społecznymi starszych pokoleń po Czarnobylu?

– Mam wysoki poziom poparcia społecznego dla energetyki jądrowej. Utrzymuje się ono nawet w miejscowościach lokalizacyjnych, np. Lubiatowo-Kopalino. Poza tym strachy czarnobylskie już mocno zwiótzały, chociażby informacyjnie. Nie będziemy bu-

dować reaktora RBMK, a tym bardziej w Polsce nie będzie pracować jednostka przeznaczona do celów wojskowych. Myślę, że atom, nawet przez pryzmat reprezentacji parlamentarnej, ma rację bytu. Jeżeli spojrzymy, kto jest za budową reaktorów, to mamy niemal uniwersalną zgodę: PiS, Konfederacja, Razem czy PO, bo Tusk osobiście powiedział, że w wypadku wygranych wyborów będzie kontynuował program jądrowy.

Napisał pan, że aż 92 proc. mocy oddanych do użytku w Indiach w 2022 roku stanowiły źródła odnawialne (OZE), także Francja mocno w nie inwestuje, przegłosowali ustawę, że każdy wielkopowierzchniowy parking ma być pokryty wiatą, na której będzie się znajdować fotowoltaika. No i teraz tak: skoro Polska ani nie ma hulaszczyc wiatrów, ani nie jesteśmy turbosłoneczni jak Hiszpania czy Grecja, to patrząc na geograficzny charakter naszego kraju, na którym sektorze OZE powinniśmy się skupić?

**Nadchodzi czas,
gdymy przebudzeniu
będziemy sprawdzać,
czy planowane są przerwy
w dostawie prądu**

– Praktycznie na każdym, poza elektrowniami wodnymi, ponieważ ten potencjał jest nieduży, a realizacja takich inwestycji wiązałaby się z uszczerbkiem dla środowiska. Jeżeli chodzi o warunki wiatrowe, to mamy je podobne do Niemiec, które czerpią z nich bardzo dużo mocy, bo około 60 GW. Nasi sąsiedzi zbudowali już około 30 tys. turbin, czyli ponad 10 razy więcej niż my. W Polsce mamy także przyzwoite możliwości rozwoju indywidualnej fotowoltaiki, co potwierdził program „Mój prąd”. Możemy rozwijać przydomowe elektrownie słoneczne, co odciąży prywatne budżety i pozwoli na partnerstwo publiczno-prywatne do rozwoju energetycznego kraju. Na pewno powinniśmy iść w biogaz, ponieważ jesteśmy na tej płaszczyźnie bardzo opóźnieni. W Polsce jest 300 biogazowni, a w Niemczech ponad 10 tys., co jest o tyle dziwne, że na tle UE jesteśmy bardzo rolniczym krajem i mamy duże możliwości w tym zakresie. W ogóle uważam, że segmenty OZE są drugą nogą inwestycji mocowych, które powinniśmy najprędzej rozwijać aż do – mam nadzieję – oddania do użytku mocy jądrowych, które wówczas przejmą obowiązki sektora węglowego.

A czy „Mój prąd” to nie jest ryzyko spychania odpowiedzialności transformacji energetycznej z państwa na ludzi? Czy możliwa jest sytuacja, w której zwykli ludzie będą musieli się zatroszczyć o własną elektryfikację, bo inaczej prądu nie będzie w ogóle?

– To już się poniekąd dzieje. Polacy się zorientowali, że rząd niejako umywa ręce od transformacji energetycznej, i wolą sami zająć się swoimi rachunkami za prąd czy zabezpieczyć źródło energii, niż później cierpieć na ich braki. W tej kwestii rząd tak naprawdę pełni funkcję ułatwiciela rozwoju w tym kierunku, chociaż jednocześnie dalej blokuje wiatraki. Moim zdaniem „Mój prąd” spotkał się z tak pozytywnym odzewem, bo byliśmy – i cały czas jesteśmy – przerażeni wizją ogromnych rachunków. Natomiast program ten po-

kazał, że można transformację energetyczną realizować metodą quasi-rynkową, za pomocą niewielkiego wsparcia. Ten program okazał się sukcesem – nie tylko powiększył nasze moce fotowoltaiczne do 12 GW, ale też zbudował całą branżę słoneczną.

W marcu pisał pan o gazowym sojuszu na linii Warszawa – Kijów i że mamy szansę zostać hubem ukraińskiej gospodarki. Rok temu Wołodimir Zelenski powiedział, że „razem jest nas 90 milionów i że możemy wszystko”. Nie chcę zabrzmieć nieelegancko lub oportunistycznie, ale czy moglibyśmy jakoś „wykorzystać” bodziec, jakim jest wojna w Ukrainie, dla rozwoju rodzimej energetyki? To już się zresztą dzieje, gdy zrezygnowaliśmy z rosyjskich węglowodorów.

– Żeby poważniej myśleć o jakimś zespoleniu Polski i Ukrainy pod kątem zysku energetycznego, najpierw trzeba zakończyć wojnę. A gdyby nawet doszło do takiego partnerstwa, to i tak zawsze istniałoby ryzyko chociażby sabotażu ze strony Rosji. Do tego też musimy mieć świadomość, że ukraińska energetyka jest w zgliszczach. Uszkodzono większość jednostek wytwórczych, a także sektora przesyłowego. Takie jednostki jak zaporoska elektrownia jądrowa znajdują się pod kontrolą okupanta. Praktycznie zniszczone są również rafinerie.

Największą korzyścią, jaką teraz możemy odnieść, jest po pierwsze zakorzenienie Ukrainy energetycznie w strukturze Zachodu, poprzez np. dostawy gazu slane przez Polskę. Jest to dla nas korzystne nie tylko politycznie, ale także ekonomicznie, ponieważ z pewnością będziemy na tym zarabiać jako eksporter. Już teraz Ukraina kupuje od nas paliwa, których nie wysyłamy w ramach pomocy, ale komercyjnie. Warto też dodać, że jesteśmy w stanie dołączyć do Amerykanów, którzy chcą wspierać rozwój energetyki jądrowej w Ukrainie poprzez budowę centrum zaopatrzeniowo-logistycznego. Przedsiębiorstwo Westinghouse zadeklarowało, że chce budować tam jednostki atomowe, a Polska może w tym pomóc poprzez postawienie takiego centrum.

Komu np. w Brukseli mógłby się nie podobać nasz sojusz z Ukrainą i przeniesienie środka ciężkości na wschód Europy? W przypadku wspomnianego przez Zelenskiego partnerstwa Polaków i Ukraińców będzie fizycznie więcej niż np. Francuzów i Niemców, co przecież miało wpływ na wewnętrzną dynamikę Unii.

– Na pewno Niemcy byliby sceptyczni, bo śledząc ostatnią dekadę rozwoju sytuacji w Ukrainie, to właśnie oni chcieli odgrywać tam pierwszą skrzypkę. Takie inicjatywy jak formuła Steinmeiera, czyli propozycje uregulowania konfliktu w Donbasie czy w ogóle wpływy polityczne Berlina w Kijowie, dawały jasno do zrozumienia, że wiodąca miała być niemiecka Ostpolitik. Teraz na naszych oczach to się zmienia, ponieważ Ukraina zawiodła się na niemieckim sojuszniku, zrezygnowała z jego wsparcia i przesterowała się w stronę sojuszu z Polską, ale przede wszystkim ze Stanami Zjednoczonymi. To przecież USA teraz mają kluczowe znaczenie dla bezpieczeństwa Ukrainy, co potwierdza chociażby wizyta prezydenta Bidena w Kijowie. Dla Polski to duża szansa, bo wykazujemy zbieżność interesów ze stroną amerykańską, co można przekuć we wspólną politykę, a czego nie może do końca powiedzieć strona niemiecka czy francuska. ●

Wielka Sobota z małym Rudnickim

Pole minowe

Janusz Rudnicki

W chodzę z Manułą Gretkowską do łóżka, jej mąż, Piotr Pietucha, tego nie widzi, chociaż jest zaraz

obok. Wstaje z nią. Łączę z nią i jej psami po podwarszawskich lasach, karmię z nią bezdomne koty na Krecie. Patrzę, jak wpiędała się do strumyka i nie może się z niego wy dostać.

Jestem niewidzialnym członkiem jej rodziny, czytanie dzienników to rodzaj wójeryzmu. To coś jak włam do czyjegoś życia, lubię. Już choćby dlatego, że uciec można na chwilę od swego własnego.

W rodzinie jak w rodzinie, różnice są. Manuela potrafi napisać, że nie ma przypadków, ja bym to zdanie zamienił na takie, że są tylko one. Manuela stawia tarta i pali tybetańskie kadzidla, ale tu będą wyrozumiały, gorzej, że „wyraża się” fekalnie, tu zawsze mam problem. Słowa zapachy mi wydzielają, moja przypałość ma nazwę synestezja.

Scenki „rodzajowe” u Manuły: w Konstancinie wchodzi do sklepu po kawałek sera, stoi w kolejce, przed nią Urban. Nie daje rady, wychodzi, nie wytrzymuje ciężaru tego „jak gdyby nigdy nic”. Kiedyś apostoł stanu wojennego, straszący studentów za rozrzucanie ulotek dożywociem, dziś milioner w kolejce w osiedlowym sklepiku, a ona za nim, po ser. Wychodzi, dezerteruje, telepie nią.

Kronika jej ulicy: 20 lat temu nie żeby aż pobożna ta ulica, ale tak po prostu. Flagi po śmierci JPII, sąsiedzkie koledowanie, te rzeczy. Z czasem, w miarę odpadania z „domów bożych” dekoracyjnego tynku, święta coraz mniej huczne, coraz więcej zachwyty nad przyrodą na przykład, lub jogą. Jezusek frasośliwy w jej ogrodzie coraz mniej widoczny, zarastać go zaczynały gałęzie jabłoni. Na mszę chodzili już tylko starcy, kiedy ci umarli, została trójka w postaci trzódki prawnicowego elektoratu, proboszcza i echa. Pewnego dnia jej mieszkańcy dowiedzieli się o samobójstwie chłopca z sąsiedniego miasteczka. Bo wyrzekli się go rodzice, bo był gejem, więc sam sobie winien, to przecież ciężki grzech mieć takie geny. Jego śmierć była gwoździem do trumny katolicyzmu na ulicy Obywatelki Gretkowskiej, od tej pory grzechem stało się chodzenie do kościoła, a mieszkańcy przeniesli ambonę na pole i ksiądz wygłasza kazania do stracha na wróble.

Pisze: „Pisanie jest poruszaniem się po polu minowym słów”. Nie chodzi jej tu, niestety, o słów dynamiczność, ale o ich poprawność, która staje się dziś „polowaniem na czarownice”. Niebezpieczne może być nadeptanie nawet na stare, poczciwe słowo „alkoholik”, bo przecież „to choroba, nie można człowieka za nic winić”. Wkrótce może być tak, że zdanko „Ala ma kota” też wzięte zostanie w dyby poprawności, jeśli adoptowany ten kot, to szlachetne, jeśli rasowy jakiś salonowiec, to nieszlachetne. I wykastrowany ten kot czy pies na baby? Ja sam tyle już czasu na tym polu minowym, że ono jak drugi mój dom.

No okładce widziecie rybę w sieci światłowodowej lub butelkę w morzu, której treść znajdziecie w środku, wybierzcie sobie. ●

Manuela Gretkowska, „Przeprawa”, Znak 2023

Adam Michnik poleca

Wojna? Jaka wojna?

Restauracje, kawiarnie, zakupy. Moskwa żyje całkiem spokojnym życiem

Jerofiejew*

Koniec wojny jest tuż-tuż... Reakcje na tak prowokacyjne stwierdzenie są najróżniejsze: Co za szczęście! Co za horror! To niemożliwe! Zaraz, kto wygrał? Jakie są warunki pokoju?

Wojny mają dosyć wszyscy. Z wyjątkiem Putina. On jest gotów kontynuować ją do końca życia, karmi się nią jak wampir krwią. Ale ci, którzy chcą końca wojny, dzielą się na różne kategorie.

Wojska rosyjskie i ukraińskie marzą o zwycięstwie, tylko pod tym warunkiem gotowe są zakończyć wojnę. Dla Ukraińców kryteria zwycięstwa są jasne – chcą odzyskać wszystkie utraczone terytoria, także Krym. Nie ma jednak żadnych gwarancji, że takie pełne zwycięstwo nastąpi.

Dla armii rosyjskiej zwycięstwo jest niczym smok we mgle. Cele wojny Putina są nadal, rzecz zdumiewająca, niejasne. Zając Kijów? Zainstalować tam marionetkowy rząd? Podbić całą Ukra-

Są też tacy, którzy zwrócili się ku Putinowi dopiero teraz, po tyłu miesiącach wojny; w końcu dali się przekonać propagandzie. Oburzyła ich pomoc wojskowa Zachodu dla Ukrainy, zwłaszcza niemiecka. Tylko 10-12 proc. Rosjan jest przeciwnych wojnie. Są oczywiście tacy, którzy są bezpośrednio nią dotknięci. To kilka milionów ludzi. Ale kolejne miliony wyobrażają sobie wojnę jako coś odległego, jakby toczyła się na Księżycu.

Moskwa żyje całkiem spokojnym życiem: prawie nie da się odczuć sankcji, nie ma wielkiego wzrostu cen, klasa średnia przesiaduje wieczorami w restauracjach, a młodzi ludzie chodzą do eleganckich kawiarni.

Wojna oczywiście rodzi sprzeczności w kremleńskim systemie władzy. Generalowie są zmieniani, nie widać ewidentnych zwycięstw. Wiele ofiar, wiele trumien stłoczonych w magazynach – każdy może to zobaczyć na filmach w sieci. Ale wydaje się, że czerwona li-

w obcych krajach; jak często Rosjanie są niemile widziani, jak trudno znaleźć przyzwoitą pracę.

Do powojennej Moskwy napłyną dwa wrogie ideologicznie nurty: ci, którzy uciekli przed wojną, i ci, którzy walczyli i zostali na niej okaleczeni. Moskwa przyszłości może się okazać straszną, zbrodniczą Moskwą.

W Europie i w USA niektórzy uważają, że dziś nie ma podstaw do negocjacji rosyjsko-ukraińskich, bo one zależą od rozstrzygnięć na polu bitwy. Takie podejście jest związane ze stanowiskiem Ukrainy, wartościami europejskimi czy poczuciem zagrożenia ze strony Rosji w przyszłości. Dlatego wielu analityków uważa, że wojna będzie się ciągnąć latami. Ale inni dodają, że rosyjskie uzbrojenie się wyczerpuje, a zasoby ludzkie, choć ogromne, nie są wystarczające do zdecydowanych ofensyw, i... ogłaszają, że wojna potrwa kolejne dwa lata.

jest zmęczona. Ukraina od ponad roku broni się przed ogromnym państwem, które chce ją wchłonąć. I jest gotowa wytrzymać jeszcze dłużej. Wspierana przez sojuszników.

Każda ze stron czuje się moralnie usprawiedliwiona, metafizycznie czysta. Toczy się wojna religijna XXI wieku. Putin walczy z demonami NATO. Walczy jednak również dlatego, że lubi walczyć.

Jednak młody Tolstoj w „Opowiadaniach sewastopolskich”, gdzie wojna pokazana jest nie w uroczyściej scenarii, ale przez cierpienie i śmierć, mówił o niezłomności ukraińskiego oficera, który gotów jest sprzeciwić się nawet przelozonym. Chodzi mi o to, że nie jest łatwo pokonać Ukraińców. Ale nie można też pokonać Rosjan, z ich niezliczonymi zasobami ludzkimi. Powstała sytuacja patowa, która zużywa obie metafizyczne strony konfliktu, moralnie i fizycznie.

Dlatego potężne siły sojusznicze po obu stronach, przede wszystkim Chiny i USA, będą próbowały zmusić obu przeciwników do zamrożenia konfliktu. Ukraina w końcu stanie przed problemem wyczerpujących się zasobów ludzkich. Amerykańska pomoc nie przyniesie jej większych sukcesów ofensywnych, ale wzmocni jej obronę. Rosjanie nie będą w stanie przełamać impasu. Nie chodzi o wymianę ukraińskiego terytorium za pokój, ale o wymianę działań armii na zamrożony konflikt, czemu towarzyszyć będą mądre gwarancje międzynarodowe, o ile to możliwe.

Koniec wojny nie będzie odległy, gdy obie strony zadadzą sobie sprawę, że pełne zwycięstwo którejkolwiek z nich jest niemożliwe. Krymu nie da się odzyskać militarnie. Tutaj Putin raczej zafunduje nam wojnę atomową.

Zamrożenie konfliktu to szara przyszłość, z której nikt nie jest zadowolony. Należy szukać opcji dyplomatycznych w celu obrony suwerenności Ukrainy, która udowodniła, że może bronić niepodległości, jest gotowa stać się krajem europejskim i dać przykład demokratycznym ruchom antyputinowskim w samej Rosji. Nie usunie to jednak problemu nienawiści i zerwanych na dekady stosunków między Ukrainą a Rosją.

Zamrożony konflikt pod rządami Putina jest prawie niemożliwą opcją negocjacji z bezpośrednim wrogiem i katastrofą dla rosyjskich liberalów. Ale zamrożony konflikt przy rozsądnej postawie zachodniej dyplomacji wzmocniłby europejską orientację Kijowa. Rosja zaś nie może istnieć wiecznie z iluzją, że nic jej nie ogranicza. Pewnego dnia zda sobie sprawę, że imperialny krwawy błogostan jest w naszym stuleciu nie do przyjęcia.

Europa dostrzegła swoje mocne i słabe strony w konflikcie rosyjsko-ukraińskim. Pacyfizm jest dobry, jeśli wzmacnia, a nie osłabia demokrację. Na straszliwej wojnie skorzysta Europa zadufana w sobie i nieświadoma tego, że niezależnie od doraźnej walki z kryzysami dobrze byłoby pomyśleć o tym, co przyniesie przyszłość. Ale krwawa plama na mapie pozostanie na zawsze. Umarłych nie da się wskrzesić. ●

przet. arp



• **Poniedziałek 29 maja, kijowanie kryją się w metrze przed rosyjskim nalotem**

FOT. EVGENIY MALOLETKA/AP

inę? A może taki hipotetyczny podbój to tylko początek wojny na pełną skalę, mającej na celu odtworzenie ZSRR w dawnych granicach, podporządkowanie sobie Polski i utworzenie nowej NRD? Odzyskanie kontroli nad wszystkimi krajami byłego Układu Warszawskiego, żeby w pełni upokorzyć NATO?

Niektórzy powiedzą: jaka nowa NRD!? Inni pomyślą: Putin jest gotowy na wszystko; dlaczego nie mógłby podporządkować sobie np. Drezna, skoro to w Niemczech zdobywał szlify szpiega KGB?

Myszę, że jako imperator Putin marzy o Rosji bez granic. W każdym razie ważne jest dla niego, aby Europa drżała przed Rosją. Krzyczą o tym nieustannie jego propagandyści.

Ale czy Rosjanie mają tak samo dość wojny jak wielu Europejczyków? To wcale nie jest proste pytanie. Większość Rosjan popiera wojnę, nawet niezależne badania opinii publicznej pokazują negatywny stosunek do tych, którzy Rosję opuścili.

nia, poza którą widać powstanie ludowe, zamach stanu, spisek na samym Kremlu, nie została jeszcze osiągnięta.

Słychać też dość nieoczekiwane dla Zachodu opinie, wypowiedziane w samej Rosji. Oczywiście nie przez większość Rosjan, ale przez stołeczną młodzież.

Oto młoda, bystra osoba niedawno przybyła do Niemiec z Moskwy, w pełnym rozkwicie, jakby z kurortu, a nie ze stolicy. Zapytałem ją: „Kiedy skończy się wojna?”. Odpowiedziała: „Przed końcem lata”. „Dlaczego?”. „Bo Ameryka da Ukrainie wystarczającą ilość broni, żeby mogła wygrać”. „A jeśli Putin użyje broni jądrowej?”. „Nie użyje. Nikt mu na to nie pozwoli”.

Wykształcona młodzież ma oczywiście dość wojny. Wojna powinna się skończyć jak najszybciej, by ludzie nie cierpieli na wewnętrznym wygnaniu. Albo na półemigracji. Jest oczywiście, że setki tysięcy tych, którzy wyjechali za granicę, również mają nadzieję na szybkie zakończenie wojny. Zrozumieli, jak skomplikowane jest życie

Do powojennej Moskwy napłyną ci, którzy uciekli przed wojną, i ci, którzy walczyli i zostali na niej okaleczeni. Moskwa przyszłości może się okazać straszną Moskwą

W Niemczech nasilają się akcje tzw. działaczy pokojowych (przywołując termin radziecki) lub najbardziej radykalnych „bojowników o pokój”. W ZSRR ruch ten zapoczątkował Stalin jako próbę przeciwstawienia się przeważającym siłom NATO. W istocie krył się za nią szybki rozwój radzieckich zdolności wojskowych, broni nuklearnej i technik zimnej wojny.

Na Zachodzie wielu wspierało sowiecką ideę „walki o pokój” – nie tylko komuniści, także ci, którzy naprawdę nie chcieli nowej wojny, ale głupio uwierzyli stalinowskiej propagandzie i nie widzieli lub nie chcieli widzieć tego, co się dzieje w ZSRR.

Dzisiejsza propaganda Kremla również opowiada się za pokojem – ale jakim? Oczywiście na warunkach Putina. Obecni zwolennicy pokoju na Zachodzie, zarówno z radykalnej lewicy, jak i prawicy, są nieodpowiedzialnymi populistami, którzy nie chcą się przylączyć do propagandy Putina, ale wpadają w jej pułapkę. Są pożytecznymi idiotami Kremla.

Wzywając walczące strony do negocjacji, europejscy działacze pokojowi wyrażają raczej ogólne zmęczenie wojną i egoistyczne pragnienie powrotu do wygodnego życia. W opowiadaniu Czechowa „Spać się chce” młoda niańka jest tak zmęczona płaczem dziecka, które ma pod opieką, i tak bardzo marzy o śnie, że w końcu je zabija. Wygląda na to, że zwolennicy pokoju zmęczeni wojną mogą zabić samą możliwość jej zakończenia.

Jednak logika wojny istnieje niezależnie od pacyfizmu zwolenników pokoju. To pokazuje, że wojna sama sobą

***Wiktor Jerofiejew** – ur. w 1947 r., znany pisarz rosyjski. W Polsce ukazała się m.in. jego powieść „Różowa mysz” (Wyd. Agora).

USUNIĘCIE ROSJI Z RADY BEZPIECZEŃSTWA ONZ JEST MOŻLIWE

Skutki pewnego oszustwa

Federacja Rosyjska od 30 lat terroryzuje świat, korzystając z prawa, które sobie przywłaszczyła.

Bernard-Henri Lévy*

Jedną z broni Putina w jego totalnej wojnie przeciwko Ukrainie jest status Rosji jako stałego członka Rady Bezpieczeństwa Organizacji Narodów Zjednoczonych. To właśnie słynne prawo weta pozwala jej zablokować każdą rezolucję, która jej się nie podoba, która jest dla niej niekorzystna lub która stoi na przeszkodzie jej interesom i zbrodniom. Ten potworny absurd, jak wszyscy wiemy, sięga czasów po II wojnie światowej i decyzji o zarezerwowaniu tego statusu w nowo utworzonej ONZ dla pięciu jej zwycięzców, w tym Związku Radzieckiego.

Ale jest też inne wydarzenie, rzadziej wspomniane i mniej chwalebne. Był 21 grudnia 1991 roku. ZSRR miał zostać oficjalnie rozwiązany – 11 z 15 suwerennych obecnie państw, które wyłoniły się z tego rozwiązania, spotkało się w Alma Acie (dziś Almaty) w Kazachstanie. Spotkały się tam, aby podzielić się szczątkami po mającym przestać istnieć podmiocie, a w szczególności – by zdecydować, które z nich otrzyma cenne miejsce stałego członka.

Odpowiedź nadeszła po kilku godzinach debaty w formie prostego listu skierowanego do sekretarza generalnego ONZ przez Borysa Jelcyna, który brzmiał następująco: „My, narody byłego imperium radzieckiego, obecnie ukonstytuowane jako Wspólnota Niepodległych Państw (WNP), rozważyliśmy i mam zaszczyt powiadomić pana, że Federacja Rosyjska jest następcą ZSRR, wznowia swoje miejsce w Organizacji



Narodów Zjednoczonych i odtąd otrzyma związane z tym prawa”.

Odbiorca tego dokumentu mógł wskazać, że w Kartce Narodów Zjednoczonych nie ma nic, co pozwalałoby grupie państw na przejęcie w ten sposób miejsca stałego członka i uczynienie go przedmiotem nie wiadomo jakich negocjacji. Można było też zakwestionować samo pojęcie państwa sukcesora (użyte w „dokumentach z Alma Aty”), które nie pojawia się w żadnym tekście i nie ma żadnej wartości prawnej. Można było zauważyć, że z prawnego punktu widzenia żadne z 11 państw, które właśnie podjęły tę jednostronną decyzję, nie było jeszcze formalnym członkiem ONZ, a ZSRR, podkreślmy, zostanie oficjalnie rozwiązany dopiero kilka dni później.

Biorąc pod uwagę nowość sytuacji, a przede wszystkim wa-

gę tego, o co toczyła się gra (tego dnia, na długo przed memorandum budapeszteńskim, zdecydowano również, że broń nuklearna rozmieszczona na byłych terytoriach radzieckich zostanie przekazana pod rosyjskie dowództwo), powinniśmy byli zażądać zorganizowania przynajmniej jednej debaty na Zgromadzeniu Ogólnym. Jednak tego nie zrobiono. Notyfikacja Jelcyna i związane z nią przejęcie spadku zostały ratyfikowane bez dyskusji. Wiele państw członkowskich dowiedziało się o tej sztuczce z doniesień prasowych.

Ale rezultatem tej dziwnej sekwencji zdarzeń jest to, że bez względu na to, jak bardzo będziemy grzebać w archiwach, status stałego członka przyznany Rosji i związane z nim prawo weta nie mają żadnej podstawy prawnej ani legitymacji, a Federacja Ro-

• **Kwiecień, posiedzenie Rady Bezpieczeństwa ONZ, Wasilij Nebenzia, stały przedstawiciel Rosji w ONZ, rozmawia z Siergiejem Ławrowem, szefem rosyjskiego MSZ**

FOT. MICHAEL M. SANTIAGO/GETTY AFP/EAST NEWS

syjska terroryzuje świat od 30 lat, korzystając z prawa, które nielegalnie przejęła.

Ta sytuacja podsuwa pewien pomysł. Dzisiejsza ONZ powinna ponownie zająć się tą kwestią pod względem prawnym. Ponownie przeanalizować okoliczności podjęcia decyzji, która stworzyła podstawy naszego współczesnego porządku i nieporządku.

I biorąc pod uwagę konsekwencje – od Buczy i Mariupolu po deportację dzieci z Donbasu – lekceważenia przez Federa-

cję Rosyjską idealów założycielskich ONZ, których gwarantem powinien być stały członek Rady Bezpieczeństwa, ONZ bez żalu powinna odebrać Rosji prawo, które Jelcyn i Putin sobie przywłaszczyli.

Co zatem stałoby się z paktem z 1945 roku i dziedzictwem Wielkiej Wojny Ojczyźnianej? Cóż, nie zapominajmy, że każde z 11 państw debatujących w Alma Acie miało równe prawo do dziedzictwa po ZSRR. Weźmy choćby Pierwszy Front Ukraiński, w którym ukraińscy żołnierze byli nadreprezentowani, mieli wielki udział w zwycięstwie w tej wojnie i na przykład wyzwolili obóz zagłady w Auschwitzu.

Jeśli jest jakiś kraj powstały po upadku ZSRR, w którym w tej chwili odradzają się wartości antynazizmu, to jest to Ukraina Wołodymyra Zelenskigo. Bez trudu dojdziemy do wniosku, że to właśnie Ukraina – w nowym powojennym świecie – może i powinna odziedziczyć prawa upadłej Rosji.

Wycofanie miejsca Federacji Rosyjskiej jako stałego członka to właściwy krok, który należałby zrobić. Przeniesienie tego prawa na Ukrainę – pamięć na to pozwala, moralność tego pragnie – i wielka debata między suwerennymi i zjednoczonymi narodami mogłyby o tym zdecydować. ●

***Bernard-Henri Lévy** – francuski filozof, pisarz, scenarzysta. W latach 70. z Andrém Glucksmannem tworzył ruch tzw. nowej filozofii, wchodzący w spory z filozofami akademickimi. Przez 20 lat przewodniczył radzie nadzorczej telewizji ARTE

WSZYSTKIE WOJNY IZRAELA

KONSTANTY GEBERT
POKÓJ Z WIDOKIEM NA WOJNĘ
HISTORIA IZRAELA

”
Barwna opowieść o Izraelu, bez lukru i bez prześlizgiwania się nad najtrudniejszymi dylematami. Fascynująca lektura.

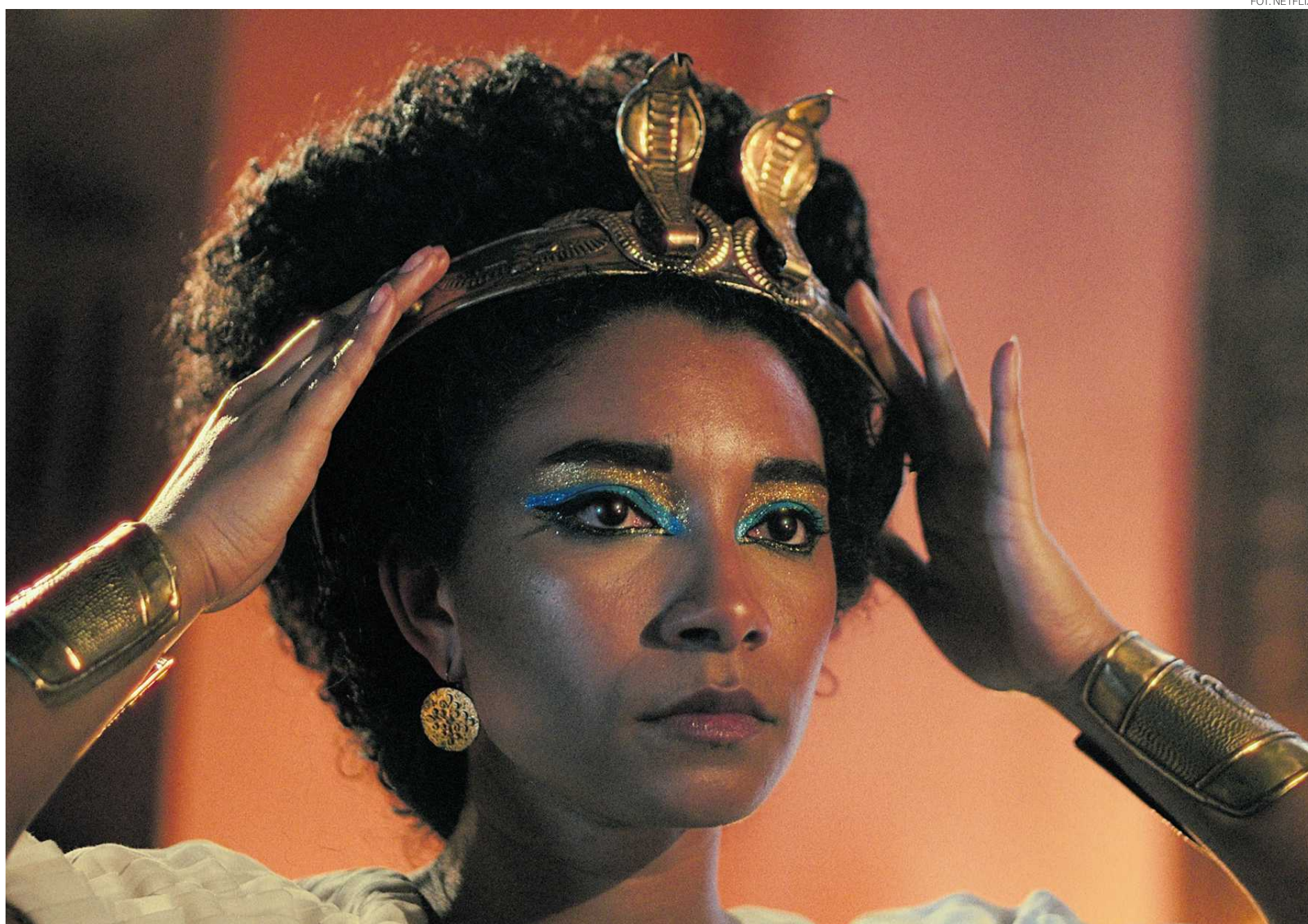
MACIEJ KOZŁOWSKI,
Dyplomata,
były ambasador RP w Tel Awiwie

Nowa książka Konstantego Geberta

CZYTASZ W PAPIERZE? ZAJRZYJ NA KULTURALNY SKLEP.PL WOLISZ EBOOKI / AUDIOBOOKI? ZAPRASZAMY NA **publio.pl**

Wydawnictwo Agora

FOT. NETFLIX



FILMOWA GRA W KOLORY

**Dla Egipcjan czarna Kleopatra
jest przywłaszczeniem
kulturalnego dziedzictwa
nieróżniącym się od kradzieży
starożytnych zabytków**

KATARZYNA WĘŻYK

Amerykański przemysł filmowy, zawsze w pogoni za nowymi, oryginalnymi pomysłami, przypomniał sobie o dwóch ikonicznych dla kultury Zachodu bohaterkach: Kleopatrze i małej syrence. Z lekka je odkurzył, uwspółcześnił język, pozbył się (sporej części) seksizmu, która dominowała w ich poprzednich inkarnacjach, a przede wszystkim obsadził w rolach głównych czarne aktorki.

Tą obsadową decyzją Netflix i Disney zagwarantowały sobie oczywiście darmową reklamę. Debata o czarnej Kleopatrze i czarnej Arielce poniosła się po internecie, a wachlarz reakcji był szeroki: od rasistowskich komentarzy i rytualnych narzekań na polityczną poprawność po sążniste analizy drzewa genealogicznego Ptolemeusza i artykuły o kolonialnym dziedzictwie. Skala i temperatura sporu były przy tym odwrotnie proporcjonalne do jakości obu dzieł, które w swoich kategoriach – aktorski remake kultowej dla mileniów animacji i historyczna dokudrama z elementami opery mydlanej – są nieszczęśliwie porównywane. I akurat najmniej jest to wina Adele James w roli Kleopatry i Halle Bailey jako Ariel.

•••

Głównym grzechem „Małej syrenki” w reżyserii Roba Marshalla nie jest bowiem „polityczna poprawność” objawiająca się zmianą koloru skóry głównej bohaterki, tylko nuda i banał. Ma się wrażenie, że scenariusz napisał komitet, a sprawdził bardzo zachowawczy sztab PR-owy. Wszystko jest tam do bólu słuszne – uprzedzenia nie są OK, ludzie zaśmiecają oceany, ale przecież nie wszyscy, rodzice cię może i nie rozumieją, ale kochają, no i są reformowali, a miłość zwycięża – gładkie, mainstreamowe i pozbawione jakiegokolwiek kreatywnego ryzyka. Przesłanie młotkowane jest głośno, wyraźnie i dużymi literami, na wypadek gdyby widz nie zrozumiał. Efekt jest taki, że po wyjściu z kina masz ochotę zrobić coś niegrzecznego. Albo przynajmniej zjeść sushi. „Mała syrenka” z 1989 roku, narysowana tradycyjną techniką, ręcznie, była komercyjnym i artystycznym sukcesem. Krytycy chwalili wpadające w ucho piosenki, pomysłowe musicalowe sekwencje i radosną animację, a widzowie na wyścigi kupowali bilety, pluszowe Florki i barbie syrenki. Jej aktorski remake złotą zasadę przemysłu rozrywkowego – „lubimy te piosenki, które już znamy” – potraktował zaś dosłownie, bo nowa, kosztująca 250 milionów dolarów wersja często jest kadr w kadr odbiciem starej, z tą różnicą, że piksele zastąpiły kreskę animatora. Problem w tym, że to, co się sprawdza w animacji, czyli zantropomorfizowane zwierzęta, w tak zwanym live action – a raczej green screen action – nie przekonuje. Niezależnie od starań podkładającego głos aktora fotorealistyczny krab nie wyraża emocji równie ekspresyjnie jak ten kreskówkowy, a fotorealistyczna ryba, patrząca na ciebie wylupiastymi, zimnymi oczami, nie jest słodka, tylko z lekka przerażająca.

Jeśli disnejowska „Mała syrenka” mówi widzom: „dostajecie to, co znacie i lubicie, tylko więcej i w lekko zmodernizowanym opakowaniu”, to netflixowa „Kleopatra” w reżyserii Kari Skogland jest przeciwieństwem filmu Josepha L. Mankiewicza. Co, przynajmniej w kategoriach spektaklu, nie jest zaletą: „Kleopatra” z 1963 roku może i jest rozdzęty do czterech godzin gwoździem do trumny tzw. złotej ery Hollywood, ale jaka to piękna katastrofa! Ma epicki rozmach, campową przesadę, burzliwy melodramat po obu stronach kamery (grający Kleopatę i Marka Antoniusza Elizabeth Taylor i Richard Burton mieli na planie płomienny romans, który potępił Watykan), no i diwę w roli głównej. Bardziej oczywiście odzwierciedlał swoje czasy niż „historyczną prawdę”, ale przynajmniej na swojej bohaterce, mistrzyni wielkich wejść i teatralnych gestów, nie oszczędzał. Netflixowa „Kleopatra” przypomina zaś nasze „Quo vadis” z 2001 roku: w zmieniającym bieg historii bitwach walczy na oko po 23 statystów, a legendarna uczta, którą Kleopatra wyprawia dla Antoniusza na statku o purpurowych żaglach, jest rozmową dwóch osób w ciemnej stodołę przy stole niezbyt szczerze zastawionym złotymi pucharami. Film Jerzego Kawalerowicza ma jednak tę przewagę, że tam w rolach drugoplanowych grała czo-

ści” to spekulacja, choć sprzedawana jak poparty autorytetem akademii fakt.

Ale nawet jeśli obie produkcje nie należą do udanych, warto się przyjrzeć stojącej za nimi polityce.

Reżyser Rob Marshall i scenarzysta David Magee, obaj biali, kreują wizję świata ślepego na kolory, postrasową fantazję. Marshall w wywiadach zapewniał, że casting do roli głównej był otwarty i nie było w nim żadnego ukrytego planu. „Szukaliśmy najlepszej aktorki do tej roli, kropka. Przesłuchaliśmy przedstawicielki każdej rasy, bo chcieliśmy znaleźć osobę, która potrafi być niezwykle silna, pełna pasji, piękna i inteligentna, a także ognista i radosna”. Wszystkie te kryteria spełniła Halle Bailey, która, tak się składa, jest Afroamerykanką.

Ariel i jej filmowe siostry – siedem córek króla Trytona – wyglądają jak z reklamy Benettona z lat 90., tylko więcej na nich brokatu niż bawelny: reprezentują wszystkie odcienie skóry (oraz identyczny typ sylwetki; syrenka może być czarna czy brązowa, ale już nie w rozmiarze większym niż S). Grany przez Jonaha Hauera-Kinga książę Eryk jest z kolei biały, ale w dzieciństwie został adoptowany przez czarną parę królewską i w uniwersum „Małej syrenki” nie jest to nic nadzwyczajnego. Owo wyspiarskie królestwo leży zaś w miejscu przypominającym Karaiby, a moda wska-

ta zmiana służy bardziej tym uprzywilejowanym niż tym historycznie dyskryminowanym. Różnorodność i inkluzywność takiego na przykład „Hamiltona”, przekonująco, jest powierzchowna. Jego w przeważającej większości biała i zamożna widownia – broadwayowskie bilety nie są tanie – klepała się po plecach, że jest taka progresywna i że kraj zrobił tak ogromne postępy w temacie rasowej równości, ale dalej ogłądała musical o tym, jak to grupka dzielnych białych mężczyzn zmieniła świat. Grali ich czarni i brązowi aktorzy, ale narracja pozostała biała i mainstreamowa, a opowieści marginalizowanych uczestników wojny o niepodległość – czarnych czy ludności rdzennej – niewysłuchane. W „Hamiltonie” ojcowie założyciele spierają się o niewolnictwo – część z nich zresztą sama posiadała ludzi na własność – ale żaden niewolnik nie rapuje o tym, jak zniewolenie wyglądało z jego perspektywy.

Prawie 30 lat temu czarny dramatopisarz August Wilson wyraził to ostrzej. „Nie potrzebujemy ślepego na kolory castingu”, napisał w tekście „The Ground on Which I Stand”. Według Wilsona jest to narzędzie kulturowych imperialistów, którzy postrzegają wywodzącą się z Europy białą kulturę amerykańską jako doskonałą i jedyną możliwą. „Ich bogowie, ich zwyczaje, ich osoby są jedynymi prawdziwymi i poprawnymi reprezentacjami rodzaju ludzkiego”,

tach, które rządziły afrykańskimi narodami”, przekonywała w materiale promocyjnym Pinkett Smith. Wybór ów spotkał się ze zmasowaną krytyką mniej lub bardziej amatorskich miłośników historii oraz widzów – na portalu filmowym IMDB średnia ocen to 1 na 10 gwiazdek, na Rotten Tomatoes jeszcze gorzej, pozytywną ocenę przynależało serialowi tylko 3 procent oglądających – i gwałtownym protestem Egiptu.

Gharavi na zarzuty fałszowania historii odpowiedziała artykułem w magazynie „Variety”. „Podczas researchu zdałam sobie sprawę, jakim politycznym aktem byłoby pokazanie Kleopatry granej przez czarną aktorkę. To, że jej wcześniejsze przedstawienia były tak bardzo błędne – od Theidy Bary po Monicę Bellucci, a o jej rolę ubiegała się też Angelina Jolie i Gal Gadot – oznaczało, że my musimy zrobić to jeszcze lepiej. Musiałyśmy znaleźć aktorkę, która wprowadzi Kleopatę w XXI wiek. Historycy mogą potwierdzić, że jest bardziej prawdopodobne, że Kleopatra wyglądała jak Adele niż Elizabeth Taylor”, napisała.

Tyle że nawet eksperci i ekspertki w jej filmie nie wypowiadają się jednoznacznie o kolorze skóry ostatniej faraonki. Zaznaczają, że Kleopatra pochodziła z macedońskiej dynastii, która rządziła Egiptem przez 300 lat i żeniła się głównie między sobą – to jest bracia poślubiła siostry – ale przy-

FOT. DISNEY/AP



Głównym grzechem „Małej syrenki” nie jest polityczna poprawność, tylko nuda i banal

łówka polskich aktorów, a u Kari Skogland, no cóż, trzeci albo i czwarty garnitur aktorów brytyjskich (tak, starożytni Rzymianie wciąż mówią po angielsku z akcentem BBC). Juliusz Cezar (John Partridge) zło-wieszczo mruży oczy i syczy dialogi, Marek Antoniusz (Craig Russell) wygląda co prawda trochę jak Jaime Lannister z „Gry o tron”, tyle że pozbawiony energii, charyzmy i wdzięku, a Oktawian (James Marlowe) jako szwarczarakter jest karykaturalnie jednowymiarowy.

Adele James robi, co może, ale lopatologiczny scenariusz bynajmniej nie ułatwia jej zadania. Jej Kleopatra to Silna Kobieta, może i odwrotność Damy w Opre-sji, ale równie stereotypowa. Jak dowiadujemy się z voiceovera czytanego z dudniącym patosem przez producentkę Jadę Pinkett-Smith, ostatnia władczyni Egiptu „miała nieporównywalną władzę”, „nie kłaniała się nikomu” i nigdy, przenigdy nie popełniała błędów. Radziła sobie równie dobrze z rysikiem do pisania (jeśli sceny w bibliotece aleksandryjskiej nie wystarczą, dostajemy też komentarz „powinnaś być naukowczynią”), jak z mieczem, w rozgrywkach damsko-męskich i na polu bitwy. Cezarowi doradzała, jak ma zbudować bibliotekę, a słynnego retora Cyclerona pokonała jego własną bronią. Antoniuszowi powiedziała zaś, że nie odpowiada za to, jak on się czuje; językiem współczesnej terapii, jak widać, też posługiwała się płynnie. Była, podsumowując, pod każdym względem doskonała – co niestety nie czyni jej szczególnie interesującą bohaterką. Dorzucone do fabuły gadające głowy z profesorskimi i doktorskimi tytułami też czasem ponosi fantazja: ich uwagi o temperamencie Kleopatry i jej „kontrolu i pewności siebie odnośnie do własnej seksualności i tożsamo-

zywalaby na osiemnasty wiek. Niewolnictwo w osiemnastowiecznych Karaibach było tak okrutne, że plantacje w południowych stanach USA wypadały przy nich humanitarnie, ale ten fakt się do filmu w żaden sposób nie przebił. W alternatywnym disnejowskim świecie przedstawiciele wszystkich ras żyją w idealnej harmonii i nikt nikogo nie wyzyskuje.

Niewykluczone jednak, że ta ahistoryczna, postrasowa i popfeministyczna narracja to przyszłość popkultury. Podobny format zastosowała niedawno wpływowa czarna scenarzystka i producentka Shonda Rhimes w „Bridgertonach”. Serial zasadniczo dzieje się w Anglii na początku XIX wieku, ale jest to alternatywny świat, w którym czarna królowa Charlotte otworzyła arystokrację dla osób o ciemniejszym kolorze skóry. Efekt nie jest przesadnie spójny – w uniwersum „Bridgertonów” rasy co prawda są równe, ale patriachar i klasizm pozostały niezmiennie – ale bardzo popularny. Twórca kultowego musicalu „Hamilton”, mający portorykańskie korzenie Lin-Manuel Miranda, osoby niebiałe obsadził w rolach ojców założycieli i kazał im rapować o konstytucji, a czarna aktorka Jodie Turner-Smith zagrała w serialu BBC jedną z żon Henryka VIII, Anne Boleyn. Odpryskiem tego trendu jest też czyszczenie literackiej klasyki ze zwrotów niepasujących do współczesnej wrażliwości, co mają uczynić bardziej inkluzywną: z książek Roalda Dahla zniknęły grubasy i brzydala, z powieści Iana Fleminga rasistowskie i seksistowskie opisy.

„Ślepy na kolory” casting wywołuje jednak krytykę nie tylko na prawicy. Przeciwnicy obsadzania czarnych i brązowych aktorów w rolach białych postaci argumentują, że

a obsadzenie czarnych w roli białych bohaterów europejskiej i amerykańskiej klasyki tylko to przekonanie potwierdza. „Wystawienie w czarnej obsadzie »Śmierci komiwojażera« lub jakiegokolwiek innej sztuki napisanej dla białych aktorów w celu badania kondycji ludzkiej poprzez specyfikę białej kultury to odmawianie nam człowieczeństwa i własnej historii, to obraza naszej inteligencji, naszych pisarzy i naszego wkładu w społeczeństwo”, uważa Wilson. W tej optyce mniejszości nie potrzebują Hamiltona Latynosa czy czarnej małej syrenki, tylko redystrybucji pieniędzy, uwagi i przestrzeni, tak by mogli opowiadać własne historie. Można praktycznie za-uważyć, że łatwiej o pieniądze i uwagę, gdy ekranizuje się lub wystawia historie popularne, typu ukochana dziewczęca klasyka czy opowieść o założeniu kraju. I że sukces takich produkcji z niebiałymi aktorami w rolach głównych może osmielić grupy trzymające fundusze do przeznaczenia ich także na bardziej „ryzykowne” oryginalne historie. Wreszcie, że lepiej dość do celu małymi krokami, niż stać w miejscu i mieć słusność. Ale problem legitymizowania ucukrzanej i złudnie bezkonfliktowej wizji przeszłości pozostaje – no i łatwiej dawać takie rady, gdy należy się do grupy uprzywilejowanej.

Twórczyni netflixowej „Kleopatry”, czyli producentka Jada Pinkett Smith i reżyserka Tina Gharavi, poszły inną drogą: mówią wprost, że obsadzenie czarnej aktorki w roli ostatniej władczyni starożytnego Egiptu było świadomym, politycznym wyborem. „Niecześnie widzujemy lub słyszymy historie o czarnych królowych, a to było dla mnie bardzo ważne. To smutne, że tak niewiele wiemy o tych potężnych kobie-

pominają, że nie wiemy, kim była jej babka ze strony ojca ani jej matka. Jedna albo druga mogła, choć nie musiała, być Egipcjanką, a karnacja starożytnych Egipcjan wahała się od jasnego brązu do czerni. Specjalista od renesansowej literatury dr Islam Issa mówi, że każdy może sobie wyobrazić Kleopatę, tak jak sam chce, a on akurat wyobraża sobie, że miała, tak jak on, jasnobrązową skórę i kręcone włosy. Wykładowcy studiów afrykańskich prof. Shelley P. Haley deklaruje co prawda, że babcia jej powtarzała: „nieważne, co ci mówią w szkole, Kleopatra była czarna”, ale dodaje też, że nie znamy dokładnie jej rasowego pochodzenia i że „było wiele badań, które miały udowodnić, że była Egipcjanką, ale pewnej wiedzy nie mamy”. W eseju z 1993 roku „Black Feminist Thought and Classics: Re-membering, Re-claiming, Re-empowering” Haley przekonuje zresztą, że „czarność” Kleopatry jest dla niej, no właśnie, polityczna. „W czarnej ustnej tradycji Kleopatry staje się symboliczną konstrukcją wyrażającą nasze czarne afrykańskie dziedzictwo, tak długo tłumione przez rasizm. Kiedy mówimy, że, zasadniczo, starożytni Egipcjanie byli czarni, a dokładniej, że Kleopatra była czarna, przyjmujemy ich jako część kultury i historii, która zaznała ucisku i triumfu, wyzysku i przetrwania. Kleopatra reagowała na ucisk i wyzysk tak, jak zrobiłaby to Czarna kobieta. Dlatego obejmujemy ją jak siostrę; ona jest Czarna”.

Problem w tym, że dla Egipcjan jest to przywłaszczenie ich kulturalnego dziedzictwa wcale aż tak bardzo nieróżniące się od kradzieży starożytnych zabytków przez kolonizatorów. Kleopatra jako mniej lub bardziej honorowa „czarna siostra” wpisuje ją bowiem w amerykańskie wojny kulturowe. Jest reakcją na amerykański rasizm, dla

której lokalny kontekst nie jest specjalnie istotny – czyli, zasadniczo, kulturowym imperializmem. Jak pisze w „Foreign Policy” Egipcjanka Sara Khorshid, choć to prawda, że Hollywood ma długą historię obsadzania białych aktorów w rolach niebiałych postaci historycznych, to castingowa decyzja Netflixu nie jest zadośćuczynieniem za tę praktykę. Platforma promuje inkluzywność i politykę tożsamości „kosztem innego niebiałego narodu, który też był ofiarą zachodniego kolonializmu i imperializmu” oraz okazuje „brak szacunku i zrozumienia dla żądania tego ludu, by uznać go za właściciela jego własnej historii”. Egipski komik Bassem Youssef ujął to dosadniej: w serialu Netflixu, skarżył się, „wszyscy rzekli Egipcjanie wyglądają, jakby pochodzili z Afryki Zachodniej albo z miejsc na południe od Sahary. Nas, Egipcjan, nazywają najeźdźcami i intruzami w naszej własnej kulturze”. A egipska telewizja Al-Wathaeqya ogłosiła, że wyprodukuje własny dokument o Kleopatrze i będzie to wersja „zgodna z prawdą historyczną”. Czytaj: będzie dla odmiany odbiciem przekonania i realizacją interesów Egipcjan. W czym zresztą nie będzie się różnić od wszystkich pozostałych filmowych wersji życia Kleopatry, także tych, w których grała ją biała aktorka. To też był wybór polityczny, tyle że nie był tak postrzegany. Dla Hollywood było bowiem długo oczywiste, wręcz przeczyste, że najsłynniejsza, najpotężniejsza, najbardziej inteligentna i najbardziej pożądana kobieta antyku po prostu musiała być biała. A najlepiej śnieżnobiała i niebieskooka, jak Liz Taylor.



„Białość” jako koncept socjologiczny i polityczny należy przy tym oddzielić od biologicznego faktu posiadania jasnego odcienia cery. „Białość” zdaniem zwolenników krytycznej teorii rasy to ideologia uzasadniająca nierówną dystrybucję władzy i przywileju na podstawie koloru skóry. Jak to ujął czarny pisarz W.E.B. Du Bois: to religia ufundowana na dogmacie, że biały kolor skóry jest z natury i oczywiście lepszy niż brązowy i ciemny. „Białość” to też przywilej wyznaczania norm, standard, do którego wszyscy inni są porównywani, dominująca kultura, która ma władzę wykluczenia innych kultur. To dlatego ciemna skóra Kleopatry musi być uzasadniana, a biała przyjmowana była jako coś oczywistego.

O ile nie odnajdziemy grobu Kleopatry, a w nim szczątków pozwalających na test DNA, pytanie o rasę ostatniej faraonki pozostanie zapewne nierozstrzygnięte. Ale to, że odpowiedź budzi takie emocje, więcej mówi o nas niż o samej Kleopatrze. W jej czasach, to jest w I wieku p.n.e., kolor skóry był postrzegany inaczej niż dziś: nie ciągnął się za nim jeszcze багаż rasistowskich teorii przypisujących określone cechy posiadaczom różnego poziomu melaniny. Nawet rzymska propaganda, bardzo Kleopatrze niechętna – to ona ugruntuwała na stulecia jej wizerunek nimfomaniki i wschodniej uwodzicielki – nie interesowała się kolorem jej skóry.

Rasa jest konstruktem społecznym, który pojawił się dopiero w XVII wieku i miał być odpowiedzią na potrzebę znalezienia uzasadnienia dla zniewolenia czarnych Afrykanów w brytyjskich posiadłościach w Nowym Świecie. Jak to ujął historyk niewolnictwa i pierwszy premier Trynidadu i Tobago Eric Williams: „niewolnictwo nie narodziło się z rasizmu: przeciwnie, to rasizm był efektem niewolnictwa”. Wcześniej kryterium tego, kogo można było zniewolić, a kogo nie, była religia. Ta praktyka była zresztą jednym z impulsów przyjęcia chrztu przez Mieszka I i innych słowiańskich władców: chrześcijanie nie brali w niewolę innych chrześcijan. Wraz z rozwojem bardzo zyskownych plantacji na Karaibach i w przyszłych południowych stanach USA pojawił się jednak problem: co zrobić, gdy afrykański niewolnik się nawróci? Czy trzeba go będzie automatycznie uwolnić? Plantatorzy potrzebowali bardziej permanentnego uzasadnienia trzy-

mania innych istot ludzkich w kajdanach i znaleźli je w kolorze skóry: cesze, które nie sposób zmienić. Biały, uznali arbitralnie, jest najlepszy, a każdy inny kolor skóry gorszy. Dlatego biały ma prawo niewolnić Afrykanów, zabijać rdzennych mieszkańców Ameryki, eksploatować surowce i siłę roboczą Indii. I tylko biały, ale to już trochę później, ma prawa polityczne.

W XVIII i XIX wieku kamyczki do tego rasistowskiego ogródka dorzuciła nauka. Niemiecki fizjolog Johann Friedrich Blumenbach podzielił ludzkość na pięć ras – kaukaską, mongolską, etiopską, amerykańską i malezyjską – podług koloru skóry, oczu i wymiarów czaszki. Rasę białą, kaukaską, uznał za najdoskonalszą. Później pisał, że czarni pod względem inteligencji wcale nie ustępują białym, ale te wnioski okazały się znacznie mniej popularne.

„Białość” nie jest bynajmniej ustalona raz na zawsze ani zależna wyłącznie od poziomu melaniny czy kształtu czaszki. O jej granicach decydują kultura, religia i opór grupy dominującej przed wpuszczeniem plebsu na salony. Jeszcze w połowie XIX wieku Polacy oburzeni na czarną Kleopatry też na przykład nie byłiby w USA zaliczeni do w pełni białych, bo początkowo tę przyjemność mieli wyłącznie anglosascy protestanci, ewentualnie Niemcy, Francuzi i Skandynawowie. Następnie przywilej „białości” wyszarparali sobie Irlandczycy, potem imigranci z Europy Południowej i z krajów słowiańskich, wreszcie Żydzi.

Twórczynie „Kleopatry” mówią wprost,

że obsadzenie czarnej aktorki
w roli ostatniej władczyni
starożytnego Egiptu
było politycznym wyborem

Dziś „białość” jest żywym poletkiem wojen kulturowych. Na lewicy jest wysoko na liście największych grzechów dzisiejszego społeczeństwa: oprócz niewolnictwa, kolonializmu i rasizmu ma odpowiadać też za zwycięstwo Donalda Trumpa czy brexit. Prawica z kolei mobilizuje wyborców obroną przed szaleństwem woke, które chce wam (białym) odebrać waszą religię, pieniądze, broń, patriotyzm i styl życia, a przede wszystkim status.

I choć trudno poważnie traktować tych, którym status odbiera czarna syrenka, to z awantury o Kleopatry można wyciągnąć kilka ciekawych wniosków. Po pierwsze, nie wszystkie fronty wojen kulturowych da się bezkonfliktowo wyeksportować. Po drugie, interseksjonalizm to broń obosieczna, a kryteria przywileju i opresji są płynne: przedstawicielka dyskryminowanej w USA mniejszości może mieć większą platformę do przedstawiania swojej wizji niż mieszkańcy kraju, którego historię bierze na warsztat. Wreszcie, po dwóch tysiącach złego PR-u i reputacji orientalnej femme fatale, której uroda doprowadzała mężczyzn do zguby, Kleopatra została intelektualistką, skuteczną polityczką i zdolną władczynią, którą do „swoich” chcieliby zaliczyć i Europejczycy, i Egipcjanie, i Afroamerykanie. A to akurat dobra wiadomość. ●

Mrugające drzewo

Weselnicy na cudzie w Parczewie, czyli selfki strzelane z gestem szatana.

Ziemowit Szczerek

Uwaga, będę orientalizował. Trochę. Ale tak, droga na Parczew, gdzie doszło do objawienia pareidolicznego, z którego bekę ma cała Polska, jest – szczególnie pod koniec maja – cudowna. Zieleni, lasy, łąki, resztki starej Rzeczypospolitej: barokowe kościelne kompleksy wznoszące się nad tą sielskością jak skaliste pagóry. Kapliczki w trawie, w krzakach, na rozstajach, rozjazdach. Tylko w przydrożnych restauracjach zjeść nie można, bo sobota i wesela wszędzie. Dominują barwy kremowe, w każdym razie koszule dopasowane, włożone w spodnie, fryzury na Czarnka, na boczek z wygolonym przedziałkiem, w każdym razie eleganckie suknie, tasiemki włosów kręcące się jak dawniej pejsy po jesiwach, zresztą w takim Parczewie, w którym cud się wydarzył na drzewie, połowa mieszkańców przed wojną to byli Żydzi, tylko wywieziono ich do Treblinki.

Do miejsca objawienia Matki Boskiej Drzewnej, jak to ktoś wesoło oznaczył na GPS-ie, zjeżdża się z alei, cóż poradzić, Jana Pawła II, i trzeba szukać miejsca do parkowania na wąskich osiedlowych uliczkach, a co chwilę ktoś tu podjeżdża i odjeżdża popatrzeć. Gdy tylko pojawia się ktoś nowy, od razu zagaja: „ale beka, co?”, „no, ciemnota, ale my nie stąd”. Ale po cichu, bo nikt nie ma ochoty wchodzić w konflikt. Może dlatego, że dzień jest ładny. Z wesel, które się po tych wszystkich okolicznych domach weselnych odbywają, przyjeżdżają co chwilę goście i selfki strzelają. Jedni z namaszczeniem, czasem z przykryciem, inni – ze śmiechem, z palcami ustawionymi w znak szatana. W tle, w otynkowanym kolorowo bloku, bo ogólnie osiedle, trzeba powiedzieć, zadbane, na balkonie wychodzą mieszkańcy i oglądają ten festiwal w milczeniu. Jakiś facet wąsaty wychodzi zapalić papierosa. Jakaś pani w stylowej, acz wygodnej sukience, z tatuażem na ramieniu, balkon maluje. I w ogóle nikt jakby na nikogo nie zwracał uwagi. Ani entuzjaści na sceptyków, ani mieszkańcy na pielgrzymów, zarówno tych sceptycznych, jak i tych entuzjastycznych.

Na stałe to tylko na ławeczce siedzą dwie staruszczyki i tłuką pacierze. Jedna pani rozmowna, druga nie. Ale nawet ta rozmowna nie chce powiedzieć, jak ma na imię. Mówi za to dużo na temat drzewa, na którym dwa jakieś sęki i przebarwienie ułożyły się w schemat ludzkiej twarzy, mniej więcej tak, jak dwa kurki od kranu, kran i dziura odpływowa w zlewie tworzą wrażenie odpowiednio oczu, nosa i ust jakiejś zdziwionej facjaty. No więc po pierwsze, wbrew powszechnemu wyobrażeniu jest to Jezus, a nie Matka Boska. Po drugie – mruga oczami, od 12.00 do 15.00, „ale to trzeba siedzieć i patrzeć, a nie

tak sobie przyjechać na raz”. A ona obserwuje od początku. Po trzeciej – aureola w okolicach wieczora trochę świeci.

Dlaczego się Jezus ukazał? „Żeby tej wojny na przykład nie było, żeby się ludzie nawrócili, bo nie wiem, czy pan wie, ale nie wszyscy są przecież wierzący”. I tak dalej. Kawalek dalej stoją dziewczyna w czerwonej bluzie, facet w koszulce „Acid Drinkers”, kolega w koszulce z napisem „Destylacja” ułożonym w podobny sposób jak „Konstytucja”.

– Ja tu mieszkam naprzeciwko – śmieje się chłopak od destylacji – już ten show to mam obcykany.

– Zróbcie mi jeszcze raz zdjęcie z tą Conchitą Wurst – śmieje się dziewczyna. – Tylko muszę uważać, żeby mnie baby nie pogoniły.

Ale baby nie bardzo mają ochotę kogoś gonić. We wsi obok rodzinie wsi mojej matki też kiedyś było tak, że piorun w drzewo uderzył, gałąź pękła, spadła i wobec pnia ułożyła się poziomo: w kształt krzyża. I też się potworzyły stronictwa: jedni byli zwolennikami teorii cudu, inni stukania się po głowach. My tam staliśmy i robiliśmy za miejscowych, bo to w końcu nasze babki, nasi dziadkowie i mieliśmy płonną, oczywiście, nadzieję, być może wypisaną na twarzach, że ci, którzy przyjeżdżają, nie będą nas wrzucali do jednego worka.



Tak samo było w Parczewie. Kogokolwiek by zagadać – był wściekły. Czy to na osiedlu, czy w rynku, gdzie po lodziarniach siedzi weekendowi rowerzyści albo mieszkańcy, którzy wyskoczyli sobie na kawkę z czymś słodkim i miło chłodnym w ten ciepły dzień. Że teraz wszyscy, przez kilka sekund na drzewie, całe miasteczko mają za nawiedzonych, za symbol polskiego zaścianka.

– Przez tę pieprzoną Conchitę Wurst wszyscy z nas szydzą – wściekał się przez zęby pan pogryzający loda w rynku, niedaleko okazałej rzeźby jelenia, motywu z godła miasta.

Z tą Conchitą Wurst było tak, że to niejaki ksiądz Świątek, którego zatrudniła diecezja siedlecka jako swojego rzecznika, wyśmiewa objawienie, mówiąc, że najbardziej mu to przypomina Conchitę właśnie: słynną brodatą wokalistkę, która swego czasu zatrzęsła festiwalem Eurowizji.

Inna sprawa, że argumenty Świątka też nie są do końca z ziemi, tej ziemi. Ksiądz rzecznik wskazuje na to, że osoby objawiające się wiernym nie objawiają się po prostu na ścianach, szybach czy drzewach. To prawda: na obrazach, na których artyści odmalowali objawienia, widzimy raczej, jak lewitują nad ziemią, pojawiają się w chmurkach. Co zresztą też nie do końca gwarantuje prawdziwość objawienia: wystarczy bowiem przypomnieć, jak mocno sympatycy objawień zostali podzieleni przez kwestię tzw. demona z Medjugorja. Niektórzy bowiem sceptycy wśród katolików wskazują na błędy w medjugorskim objawieniu: między innymi, na przykład, stopy zjawy mającej straszyć w Medjugorju są ukryte – a prawdziwa Matka Boska ukazuje się wiernym w pełnej postaci. No i tak to właśnie wygląda. Gdziekolwiek się odwrócisz, tam mamił przed oczami. ●



Żegnajcie, instagramerki, witajcie, booktokerki

DO KOGO PRZYTYŁA SIĘ TWOJA CÓRKA

O, będziesz pisała o książkach? Lol XD. Nie martw się, pomogę ci, boomerko

Aleksandra Szyłto

Typ, co nasikał swojej matce na grób". Muszę na ekranie wciskać pauzę, bo filmiki na platformie TikTok są tak krótkie i intensywne, że nie dałabym rady przeczytać całego zdania, które akurat się wyświetla. A to zdanie to cała recenzja książki. Zachęca? Jeśli tak, to w tym wypadku chodzi o powieść „Kill Switch” Penelope Douglas.

Jadę dalej. „Typ, co lata za laską, którą poznał w konfesjonale i ogólnie lubi bawić się w księdza” – to o książce „Hideaway”. I jeszcze: „Typ, co kupił swojej dziewczynie kościół, żeby przerobić go na dom” – o „Corrupt”, wszystkie pozycje tej samej

autorki. Poleca Agata, właścicielka profilu „Agata and books”, jedna z najpopularniejszych polskich influencerów książkowych, inaczej booktokerek, 378 tys. obserwujących. Jeśli nie wiesz państwo, co to znaczy, to prawdopodobnie chodzi o PESEL – że macie taki jak mój albo jeszcze gorzej. Dobrze mi znana piętnastolatka od razu wie: „O, będziesz pisała o książkach? Lol XD. Nie martw się, pomogę ci, boomerko”. I dostaję szybką instrukcję poruszania się po TikToku, fololowania booktokerek, podsyłane są mi też pomocne przykładowe linki.

Nie zrozumcie mnie państwo źle. Jestem oczywiście, jak zapewne my wszyscy, za popularyzacją czytelnictwa,

zwłaszcza wśród osób młodych. I nie chciałabym dręczyć ich odpowiadaniem na pytanie: „Dlaczego Słowacki wielkim poetą był”. Moja pierwsza, nieco ambiwalentna reakcja na zjawisko booktokerek wynika jedynie z tego, że do tej pory przyzwyczajona byłam, że książki recenzują na przykład literaturoznawcy. A ich wypowiedzi często zawierały zdania złożone i podawane były w formie kojarzącej się z przestrzenią do refleksji, fotelem i leniwie piłą kawą. Ale czasy się zmieniają! „Wow, czytasz tyle książek, musisz być taka poważna i elokwentna” – tymczasem [tu Agata wstawia znak graficzny strzałki, czyli „patrz tu”, ironicznie odnosząc się do opinii o czytających dziewczynkach]

czynach, jakoby były sztywnymi przymkami].

„Masz piętnaście sekund, weź, ile książek zdążysz w tym czasie, to za nie zapłać” – mówi przed kamerą tato Emilii Jachimczyk, booktokkerki prowadzącej profil „Mrukbooki”, 245,9 tys. obserwujących.

Vela, autorka profilu „Books with Vela”, 223,3 tys. obserwujących, tańczy do strof utworu disco polo: „A teraz łapy w górę i dabu dibu daj; publika dziś baluje”... Następne „dabu dibu daj” już się nie zmieściło. Vela w rękach trzyma stos złożony z trzynastu książek: „Książkary, dziś zaczęło się wielkanocne wolne i mogę czytać 24/7” – głosi napis.

Inny film Veli: „Właśnie wróciłam z Empiki, więc zapraszam was na book haul, kupiłam o wiele więcej książek, niż miałam, i to tak ekstremalnie o wiele więcej” – ogłasza. [Book haul, czyli prezentacja książek na blogu lub vlogu – słownik dla boomerów].

Książkary tańczą. Zamiast opowiadać, często puszczały w tle piosenki, zazwyczaj z wokalem w bardzo wysokich, cukierkowych tonacjach. Używają otulaczy do książek – pluszowych okładek, które z książki tworzą poduszkoksiążkę. Nie chodzą do biblioteki. Kupują. Na torby i stosy. Książki „nad morze”, „na sobotę”, „by płakać” albo „rozwalić psychę”. Książkary mają fanki, zazwyczaj młodsze nastolatki, dla których są autorytetem. „Co prawda stałam sześć godzin w kolejce, ale było super” – napisała jedna z dziewczynek, publikując zdjęcie z targów, gdzie spotkała swoją idolkę.

Emilia Jachimczyk ma osiemnaście lat, czasem opowiadając o książkach, jednocześnie przed kamerą wykonuje makijaż: – Kiedyś nie lubiłam czytać, a lektur nienawidziłam. Marudziłam rodzicom: „Po co mam czytać?”, i słyszałam coś o rozwijaniu się i takie tam, jak to od rodziców. To się zmieniło dwa lata temu. Szłam z koleżanką przez miasto, ona potrzebowała czegoś z Empiki. Czekając na nią, zaczęłam się rozglądać, wzięłam z półki „Sen o okapi” Mariany Leky. Tak mnie wciągnęła, że kupiłam. Drugą książką, którą wtedy szybko przeczytałam, było „Siedem siostr” Lucindy Riley. Wtedy odkryłam, że w fikcyjnym bohaterze można się zakochać. To jest niesamowite, jak to się potoczyło. Obecnie mam patronat nad ostatnim tomem tej serii, „Atlas. Historia Pa Salta”, a moje logo można znaleźć na tylnej okładce.

Szybko zaczęłam obserwować na portalach społecznościowych osoby polecające książki i wkrótce wrzuciłam też moje pierwsze nagranie. U nas w domu zawsze było tak, że jeśli odkrywałam jakąś nową pasję, rodzice mnie wspierali. Mówili: „Jeśli to robisz, rób to dobrze”, „zastanów się, jak to wpłynie na twoją przyszłość, jak to kiedyś wykorzystasz”. Dlatego u mnie nagranie jednego kilkunastosekundowego filmiku na TikTok trwa trzy godziny: pomyśl, zapisać, zapamiętać, nie pomylić się, montaż. Wszystko robię ja, ale pomaga mi tata, na przykład nagrywa, a czasem też występuje w niektórych scenach.

Pomaga mi to, że byłam w Liceum Filmowym, jestem tegoroczną maturzystką. To miejsce było spełnieniem moich ówczesnych marzeń i ono, pomijając rzecz bardzo ważną – zdobycie umiejętności warsztatowych – utwierdziło we mnie szacunek dla innych poglądów, wolności przekonań i luzu intelektualnego niezbędnego dla każdej artystycznej działalności twórczej. Mój polonista zawsze mnie wspierał, śledził mój profil, jak on zaczął się rozwijać. To taki nauczyciel, który zawsze mówił: „Wyrażaj siebie, pisz o własnych emocjach”. Koledzy z klasy zauważyli: „O, zostajesz gwiazdą”, ale to zawsze było pozytywne.

W internecie trzeba bardzo uważać, jeśli publikuje się jakiś żart, a moje nagrania często są żartobliwe. Chodzi o to, żeby nie urazić żadnej grupy społecznej, bo nie dość, że sprawia się komuś przykrość,

to dodatkowo przynosi hejt. Można to zrobić nawet nieświadomie, przez nieuwagę. Dlatego ja przed publikacją zawsze jeszcze trzy razy analizuję, czy na pewno wszystko jest okej. I nie miałam nigdy złej sytuacji. Staram się też obchodzić szerokim łukiem dramy. One pojawiają się i znikają w każdej, dużej czy małej, społeczności. Co najwyżej ktoś napisze: „Jak może ci się podobać ta książka?”. Ale większość komentarzy jest zdecydowanie pozytywna. Najbardziej cieszy mnie, gdy ludzie piszą: „Dzięki sobie zaczęłam/zaczęłam czytać”.

Tato Emilii: – Córka jest skromna, więc tego nie powie, ale ona jest niezwykle pracowita. Osiągnęła sukces, bo każde jej działanie jest profesjonalne, tu nie ma żadnego przypadku.

Emilia: – Jak osiągnęłam 20-40 tys. obserwujących, moim profilem zainteresowały się wydawnictwa. Przyszły zlecenia.

Tato Emilii: – Ja dużo wcześniej mówiłem córce, że czas to zmonetyzować. Bo to jej ciężka praca. Ale długo nie chciała o tym słyszeć.

Emilia: – Nie postrzegalam tego jako pracy, to moja pasja. Jednak w pewnym momencie, przy kolejnym zleceniu, kolega powiedział: „Weź coś za to”. Napi-

salam do wydawnictwa, że chciałabym współpracy na zasadach komercyjnych. Odpowiedzieli pozytywnie. Jak miałam 100 tys. obserwatorów, to jeszcze ja pisałam do wydawnictwa. Przełom nastąpił około czterech miesięcy temu, teraz muszę niestety czasem odmawiać patronatu, jeśli wiem, że się nie wyrobię. Każdą przedstawianą przeze mnie książkę czytam solidnie, od pierwszej strony do ostatniej. Muszę mieć przekonanie, że jest to historia, którą szczerze chcę polecać. Czasem jest przecież tak, że zaczyna się świetnie, ale zakończenie jest rozczarowujące, wtedy odmawiam. Zdarzyło mi się kilka razy nie przyjąć patronatu z tego powodu.

Tato Emilii: – Teraz jest tak, że córka na targach nie robi dziesięciu kroków, żeby ktoś do niej nie podszedł. To są szczególnie młodsze nastolatki, one córkę oglądają i uwielbiają.

Emilia: – Niedawno na targach poszłam na pierogi z grupą booktokkerów, jeden z nich wrzucił relację do sieci, gdzie jesteśmy. Po chwili podbiegły do mnie dwie dziewczynki: „Cały dzień cię szukałyśmy!”. To niesamowite, wzruszające.

Jakie książki zaproponowałabym do kanonu lektur szkolnych? „Sen o okapi” – łatwo utożsamiać się bohaterem, optykiem, który żyje w małym miasteczku. To poruszająca opowieść, łączy bolesny realizm życia mieszkańców małego miasteczka z magią ich marzeń, lęków i obsesji, napisana z olbrzymią dawką życzliwego humoru. Oraz „Spacerujący z książkami” Carstena Henna – o starszym panu, który dostarcza do domów zamówione książki, widać tam, ile można dowiedzieć się o człowieku po tym, co czyta.

Co bym wyrzuciła z kanonu? Na pewno Sienkiewicza, „Potop”.

Plany na przyszłość? Wyjeżdżam na studia kinematograficzne do Rzymu. Specjalnie znaleźliśmy dla mnie jednoosobowy apartament, żeby mogła nagrywać. Kto będzie mi tam pomagał? Tata ma mnie odtąd wiedzieć, a coś czuję, że to nie będzie rzadko. Tak że nie szukam dla niego zastępstwa. To jest mój przyjaciel.

Monika Szymborska, rzeczniczka prasowa i promotorka z wydawnictwa Prószyński i Sówka: – Obecność influencerów książkowych na portalach społecznościowych to zjawisko ostatnich kilku lat, które umacnia się. Faktycznie więcej jest wśród nich młodych kobiet i dziewcząt, choć zdarzają się też mężczyźni. Rosnąca w mediach społecznościowych liczba kont osób zajmujących się książkami może świadczyć o rosnącym indywidualizmie lub lepiej – potrzebie dokonywania osobistych wyborów. Podobnie jak przestajemy jeździć na zorganizowane wycieczki zagraniczne, które coraz większej liczbie ludzi kojarzą się już z obciachem, tak i w dziedzinie literatury odchodzimy od jedynie słusznego kanonu, poszukując tych, którzy mają gusta podobne do naszych. W internecie czytelnicy chcą wiedzieć, co mają do polecenia osoby z ich bańki. Często młodzi szukają młodych; czytelnicy kryminałów albo romanсів – tych, którzy je recenzują, i tak dalej. Zdanie osób mniej profesjonalnych nie jest dla nich mniej ważne.

Czytanie to jest nasz czas wolny. Jest coś dziwnego w przekonaniu, że ono musi być wartościowe według kryteriów, które okre-

walczą. Nauczyłem się od wydawców, że dobrze istnieć na portalach społecznościowych, a najlepiej pod względem sprzedażowym, jeśli to nie jest typowa reklama, tylko ktoś ma osobistą motywację, żeby polecić jakąś książkę.

Raz doświadczyłem tego bardzo wyraźnie. Moja czytelniczka, osoba zupełnie mi nieznana, opublikowała na Instagramie swoje zdjęcie w wannie – z tej wanny stylowo wylaniają się jej nogi i widać, że czyta moją książkę „Pypcie na języku”. To jedno zdjęcie zdobyło taką popularność, że według mojego wydawcy podniosło sprzedaż książki o dziesięć tysięcy egzemplarzy.

Pozytywnym, niezwykłym przykładem promocji literatury są piosenki Sanah – dzięki jej nowoczesnym, chociaż popowym aranżacjom do szerokiego grona odbiorców trafił nie tylko wiersz Wisławy Szymborskiej, ale nawet Adama Asnyka! Zainteresowanie dzisiaj młodych Asnykiem wydaje się zadaniem bardzo trudnym, bo on kojarzy się co najwyżej z przymusem szkolnym. Żartowałem nawet, że może teraz powinniśmy na tomiku Szymborskiej dać opaskę z napisem „Zawiera tekst piosenki Sanah” – może więcej osób by się skusiło? Sanah to oczywiście wyją-

Vela, „Books with Vela”, 223,3 tys. obserwujących, tańczy do utworu disco polo. Trzyma stos trzynastu książek. Napis: „Książkary, dziś zaczęło się wielkanocne wolne i mogę czytać 24/7”

ślili „wielcy”, że trzeba czytać to, co wypada czytać. Czyta się też dla relaksu, literaturę popową i nic w tym złego, jak pisała ostatnio Olga Wróbel, znana krytyczka literatury. Będąc w grupie followersów danej bokstagramerki, ludzie są z tymi, którzy mają podobny gust i do których mają zaufanie. W social mediach tworzą się nowe autorytety. Przeciętny czytelnik, który być może nie ma wyrobionego gustu literackiego, zdobywa poczucie, że nie jest za to krytykowany, ma prawo czytać, co mu się podoba, i nie jest w tym sam.

Współpraca wydawnictwa z influencerami książkowymi ma różny charakter, zainteresowanie jest wzajemne. Gdy my poszukujemy ekspozycji dla danej książki, zwracamy się z propozycją zrecenzowania jej do konkretnych osób. Jest też tak, że to influencerzy zwracają się do nas, bo zainteresowali ich jakiś tytuł. Jeśli to współpraca płatna, zawsze musi to być zaznaczone, takie obowiązują przepisy.

Dzisiaj promocja książki young adult to głównie internet – Instagram, TikTok, podcasty, spotkania online. Ważna jest też tzw. czwarta okładka, czyli ostatnia strona, na której swoje polecenia umieszczają osoby będące autorytetem dla danej grupy odbiorców, niekoniecznie ze świata literatury.

Cenię sobie współpracę z młodymi ludźmi. Ich spojrzenie jest ożywcze. Nawet jeśli u kogoś jest jakaś nieporadność językowa albo zachwyca się czymś, co dla mnie, z racji wieku, nie jest już nowe – to co z tego? Oni mają czas, może ich wnioski będą ciekawsze od naszych?

Michał Rusinek, pisarz, literaturoznawca, były sekretarz Wisławy Szymborskiej: – Dobrze pani szukała, nie ma mnie na TikToku. Nie widzę potrzeby, to nie moje medium, nie moja poetyka. Ale jestem na Instagramie. Czy książka jest produktem? Tak, oczywiście, że tak. I nowe media pozwalają dotrzeć z nią do osób, które nie śledzą branżowych publikacji dotyczących czytelnictwa. Sposoby komunikacji w ostatnich latach bardzo się zmieniły. Cennym dobrem jest uwaga odbiorców, o którą trzeba stale

walczyć. Nauczyłem się od wydawców, że dobrze istnieć na portalach społecznościowych, a najlepiej pod względem sprzedażowym, jeśli to nie jest typowa reklama, tylko ktoś ma osobistą motywację, żeby polecić jakąś książkę.

Czy razi mnie, że na portalach społecznościowych promowana jest głównie literatura popowa? Nie. Staram się być optymistą, myślę, że sam fakt przyzwyczajania młodych do czynności czytania jest cenny. Od czegoś trzeba zacząć. Niech to będzie nawet literatura, która spełnia jakąś konkretną potrzebę: bo ktoś chce sobie popląkać, podniecić się albo przeżyć przygodę. Jest to jakaś alternatywa dla kanonu mini-stry Czarnka, według którego celem edukacji czytelniczej miałyby być budowanie tożsamości narodowej. Bardzo podoba mi się pomysł Włochów, którzy w szkołach podstawowych odeszli od listy lektur obowiązkowych i każde dziecko po kolei proponuje swoją ulubioną książkę, którą czyta cała klasa, a następnie jest ona omawiana z nauczycielem. Bo ważne jest nie tylko, co młodzi czytają, ale przede wszystkim jak z nimi o tym rozmawiamy.

Czy dziwi mnie, że większość influencerów książkowych to dziewczyny? Nie. Nie wiem, jak jest na świecie, ale w Polsce skłonność do czytania to ewidentnie czwartorzędowa cecha płciowa żeńska. To kobiety częściej odwiedzają biblioteki. Może to taki atawizm? Ona czyta, a on w tym czasie jest na polowaniu?

Na targach książki widziałem niedawno zaskakującą dla mnie scenę: bardzo długą kolejkę do młodej pisarki, gwiazdy platformy Wattpad, o pseudonimie „Pizgacz” [przepraszam, ale tu hasło musi być rozbudowane: Wattpad – portal, na którym każdy może opublikować swój utwór literacki i bezpośrednio komunikować się z czytelnikami, dostając od nich wskazówki, oceny czy zachęty. Tu debiutowała 16-letnia wówczas Katarzyna Barlińska „Pizgacz”, autorka trylogii „Hell”, oraz Weronika Marczak, autorka serii „Rodzina Monet”; oba cykle okupują szczyty list sprzedaży].

Dziewczynki stały tam już nawet nie po to, żeby zdobyć autograf czy zrobić selfie, tylko żeby po kolei się do niej przytulać. Pomyślałem: „Chwała Bogu, że to nie do mnie”. Chociaż pisarce oczywiście serdecznie gratuluje. ●

weekendówka

55

CHODŹ NA ROWER!

Autorem wielu haseł jest **Marcin Wesółka**

W latach 80. obowiązkowym elementem wakacji był sierpień spędzany u dziadków na wsi w Żytnie. Zażarte mecze w piłkę na miejscowym „Wembley”, o ile krowy nie pozostawiły tam placowych niespodzianek, zabawy w wojnę w lesie, mistrzostwa lekkoatletyczne, ze skokiem wżwyż, po którym lądowało się na sprasowanej kostce słomy, wypadki na piaszczyste urwisko, zwane górą piachu – ależ tam wybornie robiło się kilku-metrowe skoki w dół! I rzecz jasna – rower.

Bez roweru nie sposób było sobie na wakacjach poradzić. Był środkiem transportu i inspiracją do kolejnych zabaw (jak wyścigi na żużlu, podczas których szpetnie przeorałem sobie kolano podczas walki o jak najlepszą pozycję na pierwszym wirażu). Z grupą kumpli, do której zaliczali się moi dwaj bracia cioteczni, zwykliśmy nazywać siebie Rowersami, co było rzeczą jasną nawiązaniem do motocyklowego gangu Rockersów.

Rower był przedłużeniem woli człowieka – wyjście z domu równało się pojechaniu gdzieś na rowerze.

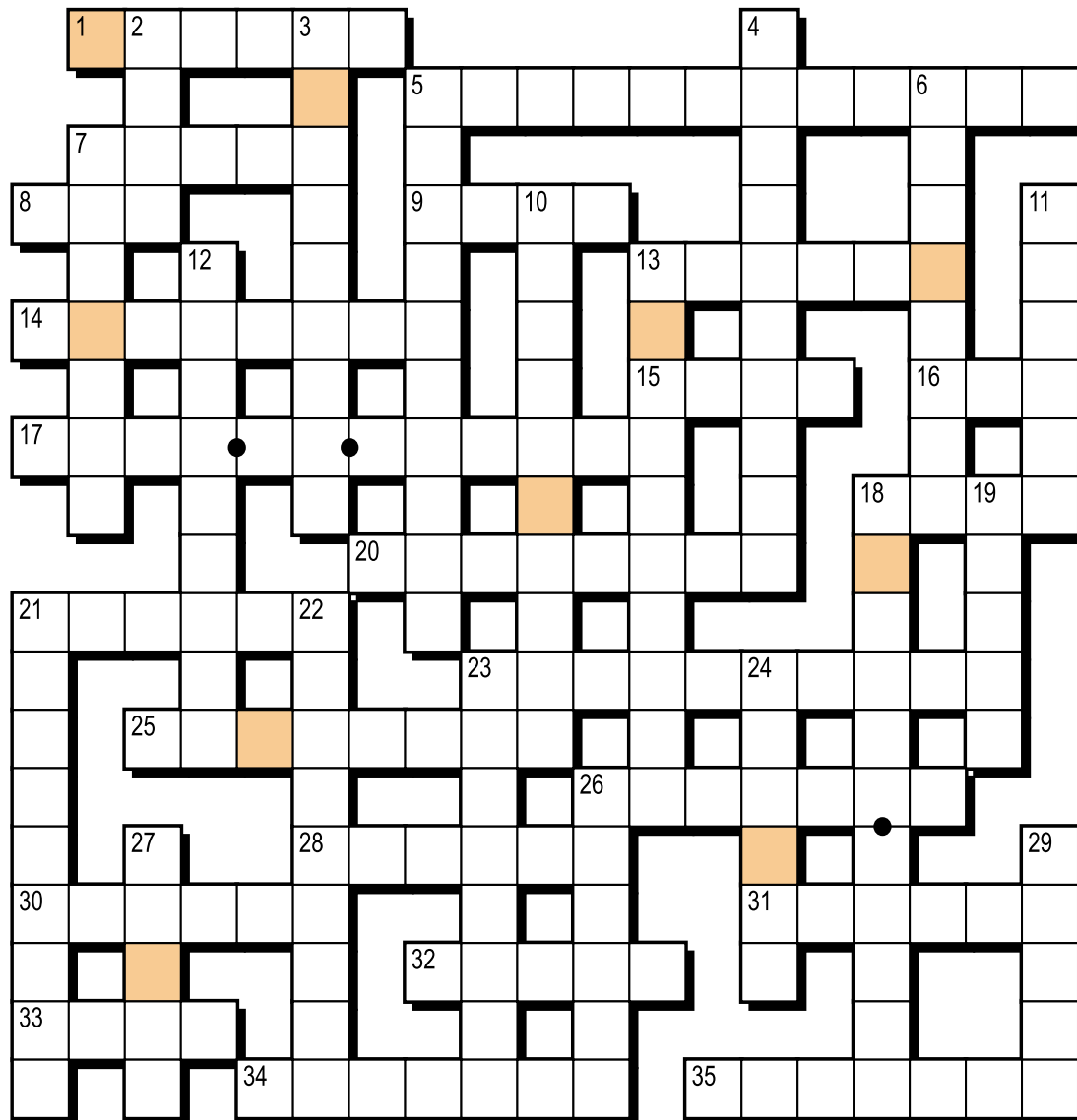
Najwyraźniej podobne przemyślenia miał Leszek Sibilski, polsko-amerykański socjolog, a swego czasu czynny kolarz, młodzieżowy reprezentant Polski, wielokrotny mistrz kraju juniorów w kolarstwie torowym. Albo może pan doktor po prostu też spędzał często wakacje na wsi?

Otóż dr Leszek Sibilski, który wówczas, gdy ja śmigałem sobie z Rowersami po polach i bezdrożach, pracował już dla zajmującej się sportem niepełnosprawnych organizacji Achilles Track Club w Nowym Jorku, nawet po zakończeniu kariery zawodniczej nie porzucił kolarstwa. W 2015 opublikował tekst „Cycling is Everyone's Business” („Kolarstwo jest sprawą każdego”), co było wstępem do jego opus magnum. Mianowicie dr Sibilski zamierzał ni mniej, ni więcej, tylko ustanowienie Światowego Dnia Roweru. Miał pomysł, potrzebował kogoś, kto przedłoży odpowiedni wniosek na forum ONZ. Udało się, bo najwyraźniej członkowie delegacji Turkmenistanu też spędzali wakacje u dziadków na wsi.

Zresztą szybko okazało się, że takich osób jest więcej, bo kiedy 12 kwietnia 2018 poddano pod głosowanie projekt ustanowienia 3 czerwca Światowym Dniem Roweru, „za” były 193 państwa.

I tak świętujemy rowerowy dzień, bowiem, jak głosi rezolucja, najpopularniejszy jednoślad świata jest środkiem transportu prostym, niezawodnym (nooo, wiadomo, że czasem łańcuch zleci czy flak się w oponie zrobi), powszechnie dostępnym i co bardzo istotne – przyjaznym dla środowiska naturalnego. A do wspólnego świętowania i pomocy przy ułożeniu haseł do „Weekendówki” rowerowej zaprosiliśmy Marcina Wesółka, szefa działu sportowego „Gazety Wyborczej”, założyciela kultowego B-klasowego Odlewu Poznań, co zawsze podkreślamy, gdy tylko zapraszamy Marcina do zabawy. A także dziennikarza, który regularnie pisze o kolarstwie, bo się na nim wyznaje bardzo dobrze. No to jedziemy! ●

Andrzej Kulasek, andrzej.kulasek@agora.pl



Rozwiązanie „Weekendówki” nr 54 z 27.05:

Poziomo:

4) Joanna 7) Mekka
10) sztuka
11) Dobrawa
13) Gertruda 14) List do M. 15) ikona
17) Rakuszanka
21) Teresa 23) Jennifer
25) Anna 26) Bona
28) Matka Polka
30) Faustyna
32) chrestna
36) milicjant
38) Nie ma jak u mamy
39) córka

Pionowo:

1) dzieci 2) Kurt Vonnegut 3) natura
4) Jokasta 5) Niobe
6) Aurelia 8) Ewa
9) Alma Mater
12) Wyszconi
16) Muminek
18) Telemach
19) Majka
20) Afrodyta
22) Salomon
24) Edyta
27) Anastazja
29) Kybele 31) szczyt
33) Rinn 34) teatr
35) Agata 37) Irma.

HASŁO:
SMAMMA MIA!

ROWERY

Hasła Marcina Wesółka oznaczono inicjałami (MW). Litery w kolorowych polach, czytane kolejno rzędami, utworzą rozwiązanie.

Poziomo:

1) ... świetlna, do bagażnika rowerowego z tyłu auta
5) Maja, dwukrotna wicemistrzyni olimpijska w kolarstwie górskim
7) udzielana kontuzjowanym
8) wyciskany przez kolarzy z tubki, często tuż przed ciężkim podjazdem (MW)

9) tęczowe – na koszulce kolarskiego mistrza świata
13) np. rower
14) ... Stanisława Szozdy, organizowany w Prudniku
15) „droga dla rowerów” (C-13) lub „zakaz wjazdu rowerów” (B-9)
16) łagodny zakręt drogi
17) Wielka Pętla
18) obiekt z welodromem
20) oderwała się od peletonu
21) Zbigniew, kolarz szosowy, wicemistrz świata z 2000 r.
23) obiekty chętnie odwiedzane przez właścicieli BMX-ów

25) specjalność m.in. Filippo Ganny, Tobiasa Fossa i Stefana Künga (MW)
26) części roweru, w których są zamontowane koła
28) lewy i prawy w każdym rowerze (MW)
30) odległość 7 pionowo od 20 poziomo
31) Giro d'...
32) imię Armstronga, kolarza, który wygrał z rakiem, ale przegrał z dopingiem
33) góry, w których leżą znane z Tour de France przełęcz Col de Ramaz i Col de Joux Plane (MW)
34) klasyfikacja
35) do zabezpieczenia roweru przed kradzieżą

Pionowo:

2) sportowiec uwielbiany przez kibiców
3) najbliższy mu do żółtej koszulki np. na Tour de France (MW)
4) ojczymna Fabiana Cannellary i Nina Schurtera
5) obowiązkowa, by drużyna mogła marzyć o sukcesie w tourze
6) rowerowe „krzeselka”
7) mknąca chmura stu ram
10) najszybsza z kolarek
11) wypadek z udziałem kolarzy
12) Joaquim, hiszpański kolarz, trzykrotny zwycięzca klasyfikacji UCI World Tour
13) służą do zmiany biegów w rowerach

18) był trenerem m.in. Szurkowskiego i Szozdy
19) dawne ... kolejowe, nierzadko przerabiane na ścieżki rowerowe
21) imię Królaka, pierwszego Polaka, który zwyciężył w Wyścigu Pokoju
22) ojczyzna Alberta Contadora, Miguela Induraina
23) rowery lub kajaki turystyczne
24) lotna albo góraska
26) Paryż – Nicea albo Tour de Pologne
27) drużyna, zespół
29) Rafał, kolarz, brązowy medalista olimpijski z 2016 r.

Leszek Rydz

Byle do

weekendówki

W aplikacji więcej jolek, krzyżówek klasycznych i tematycznych.
Pobierz za darmo!



**KRZYŻÓWKI
WYBORCZEJ**

Pobierz z
App Store

POBIERZ Z
Google Play